

Pedofilia w Kościele: nowe poważne oskarżenie • Strajk **mężczyzn**
PiS się szykuje • **Prawy** czerwcowy • Rewolucja **Ozempicu** • Pijące **ciężarne**

POLITYKA.PL

POLITYKA

**LIDER
SPRZEDAŻY**
1

Uznańscy-Wiśniewscy Jak się robi odlotową karierę

Wydanie w sprzedaży do 8.07.2025

ISSN 0032-3500



27>

9 770032 350503

ROZRUSZAJ SZARE KOMÓRKI!

OMNIBUS

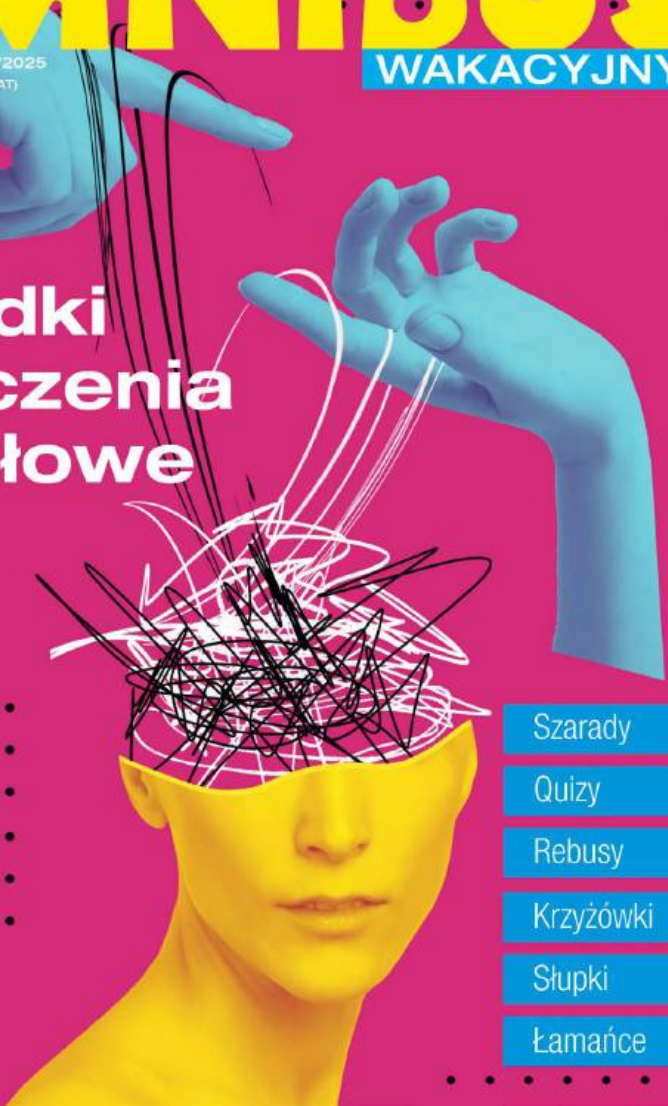
Wydanie specjalne nr 4/2025

Cena 11,99 zł (w tym 8% VAT)

POLITYKA

WAKACYJNY

Zagadki
i ćwiczenia
umysłowe



Szarady

Quizy

Rebusy

Krzyżówki

Słupki

Łamańce



Letnie łamanie głowy!

Zagadki logiczne, liczbowe, słowne
i wiedzy – każdy znajdzie coś dla siebie!

Do kupienia w punktach sprzedaży oraz na sklep.polityka.pl



16

Strajk mężczyzn

Tematy tygodnia

- 12 Aleksandra Żelazińska **Aleksandra i Sławosz Uznańscy-Wiśniewscy: kosmiczna kariera**
 16 Joanna Podgórska **Bunt samców beta**

Polityka

- 20 Mariusz Janicki **Powyborczy przełom epok**
 23 Anna Dąbrowska **PiS zwierza szyki**

Spółczeństwo

- 26 Paweł Walewski **Leki na cukrzycę odchudzają świat**
 30 Martyna Bunda, Agata Płachecka **Wstrząsająca opowieść ofiar prałata Platera-Syberga**
 34 Psycholog Katarzyna **Okulicz-Kozaryn** o jej badaniach, z których wyszło, że połowa uczestniczek piła w ciąży
 37 Filip Zagończyk **Blind football, czyli widowiskowa piłka niewidomych**

Rynek

- 40 Adam Grzeszak **Iran grozi blokadą**
 44 Cezary Kowanda **Targi o przetargi**

Świat

- 48 Łukasz Wójcik **IRAN**
Paradoksy Chameneiego
 51 Mariusz Zawadzki **USA**
Duch makkartyzmu znów straszy

- 54 Tomasz Bielecki **UE**
Esencja z polskiej prezydencji
 56 Katarzyna Tubylewicz **SZWECJA**
Obyczajowa kontrrewolucja
Nauka/projekt pulsar.pl

- 58 Agnieszka Krzemińska **Drapieżni wegetarianie**
 61 O badaniu nad ludzką psychiką w kosmicznej izolacji opowiadają dr **Agnieszka Skorupa** i dr **Mateusz Paliga**
 64 Marcin Rotkiewicz **Fałszywe prorocтва**
Raya Kurzweila?

Historia

- 66 Dariusz Łukasiewicz **Kiedy pojawiły się pierwsze łazienki**
 70 Przemysław Urbańczyk **Nieświęty Bolesław Chrobry**

Kultura

- 76 Muzyk **Ryszard Tymon Tymański** o słynnej płycie Kur „P.O.L.O.V.I.R.U.S.”, trójmiejskich kibolach i prezydencie elekcje
 80 **Aleksander Bednarski i Mariusz Komraus**, tegoroczni laureaci naszej **NAGRODY ARCHITEKTONICZNEJ**, o „Ajnfarcie”, czyli bramie do sąsiadów



NAGRODA
ARCHITEKTONICZNA
POLITYKI

- 82 Aneta Kyzioł **Lato bez teatrów (z nielicznymi wyjątkami)**
 86 Bartek Chaciński **Jak popkultura i kobiety zabiły feminizm**
 88 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

- 94–97 • **Prosty włoski tenisista**
 • **Rel i refreny**
 • **Zawijanie z portu**
 • **Zawód: biały miś**
 • **Pesto z bazylii**

Stałe rubryki

- 4 Przypisy • 6 Ludzie i wydarzenia
 • 72 Afisz • 89 Sulej • 90 Lis
 • 91 Hartman • 92 Mizerski
 • 92, 98 Galeria POLITYKI
 • 93 Do i od redakcji
 • 98 To jeszcze nie koniec

DRODZY CZYTELNICY!

Przypominamy, że POLITYKA jest już dostępna w ciągłej sprzedaży w 2100 sklepach sieci Biedronka. Polecamy się Państwu uwadze przy codziennych zakupach i zapraszamy do lektury!



Stan nieważkości

Jerzy Baczyński

Pierwsze słowa Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego, wypowiedziane po wystrzeleniu w kosmos kapsuły Dragon, nawiązywały do legendarnej księżycowej frazy Neila Armstronga o małym kroku człowieka i wielkim ludzkości. Sławosz mówił o „ogromnym kroku w stronę przyszłości”, jaki Polacy wykonują wraz z nim. Nie odbierając patosu tej chwili, po prawdzie nie był to lot w przyszłość, tylko w przeszłość. Na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej ISS, obok astronautów z NASA, przywitało go trzech Rosjan, choć po inwazji Putina na Ukrainę świat zerwał współpracę naukową z Rosją, a jej oficjalnym przedstawicielem nie podaje się ręki (dodatkowo jeden z Rosjan okazał się dezenterem z Ukrainy, skazanym za zdradę stanu). Zresztą cała ISS jest reliktem przeszłości, i technologicznej, i politycznej. Pamiątką pełnych iluzji lat 90., ówczesnej nadziei na pokojową współpracę Amerykanów, Europejczyków i Rosjan w podboju kosmosu. Ta bardzo kosztowna konstrukcja („najdroższa, jaką stworzyła ludzkość”) ma być już za dwa-trzy lata, zapewne w 30. rocznicę wysłania na orbitę pierwszego modułu, zezłomowana. Więc to nie „początek epoki” – jak mówił Sławosz – ale raczej koniec. Zdażyliśmy polecieć w ostatniej chwili.

Akurat w ubiegłym tygodniu padło wiele politycznych wezwań do „powrotu na ziemię”, twardego realizmu w stosunkach z Rosją, skupienia wydatków na zbrojeniach. Pod tym względem oczekiwany z niepokojem szczyt NATO w Hadze okazał się dużym sukcesem. Wszyscy uczestnicy obawiali się tego, co zrobi i powie Donald Trump; czy nie zerwie obrad, nie wycofa poparcia USA dla art. 5 Traktatu (obowiązek wzajemnej obrony), nie ogłosi wycofania amerykańskich wojsk z Europy. Ale Donald podobno był w dobrym humorze po świeżym „dumnym zwycięstwie” nad Iranem, a usłyszawszy, że europejskie kraje NATO deklarują – jak żądał – zwiększenie wydatków na obronność z 2 do 5 proc. PKB, z ociąganiem, ale potwierdził, że USA pozostaną w Sojuszu.

Zaraz potem, już w wyraźnie zrelaksowanej atmosferze, odbył się w Brukseli szczyt Unii Europejskiej, kończący jednocześnie półroczną polską prezydenturę w Radzie UE. Bardzo chwalono naszych dyplomatów (podsumowanie s. 54) za ekspresowe wdrożenie programu SAFE: 150 mld euro tanich pożyczek na rozwój przemysłu obronnego (Polska zamierza wyciągnąć z tej kieszeni 20–25 mld euro). Szefowa KE przypomniała,

że do puli SAFE kraje członkowskie mogą dodać jeszcze 650 mld euro, wyłączonych z unijnej kontroli deficytu. Wyjaśniło się też, że owe – zadeklarowane przed Trumpem – 5 proc. PKB na obronność dzieli się na 3,5 proc. przeznaczone na inwestycje i wydatki twarde (broń, amunicja, armia) oraz 1,5 proc. na te „podwójnego zastosowania”, cywilno-wojskowego. Wielu komentatorów uznało to za typowe unijne cwaniactwo, bo niby mówimy pięć, ale naprawdę będzie wzrost może z 2 do 3 pkt proc. w cztery lata, a resztę się księgowo doliczy, np. inwestycje w drogi, kolej, szpitale, cyfryzację. Jeśli nawet tak było i zastosowano negocjacyjny trik, aby uzyskać zgodę bardzo niechętnych zbrojeniom krajów (Hiszpanii, Włoch czy Węgier), to w sumie dobrze się stało.

Patrząc trzeźwo, te 1,5 proc. wydaje się wartościowsze niż owe 3,5. Jest jasne, dlaczego Europa musi szybko wydać setki miliardów euro na produkcję i zakupy amunicji oraz rozmaitego sprzętu wojskowego, lecz cywilizacyjnie oznacza to regres, wyrzucenie gigantycznych pieniędzy w błoto. Zbrojenia w jakimś stopniu napędzą wzrost PKB, ale patologiczny. Te miliony pocisków, tysiące czołgów, pojazdów piechoty, armat, helikopterów (coraz mniej użytecznych w dzisiejszej cyfrowej i dronowej wojnie), setki samolotów i rakiet będą pochłaniać ogromne zasoby materiałów, energii, czasu pracy, innowacyjności – po to, aby odstraszać Rosję, a w razie czego mieć czym rozwalić jej sprzęt. Szaleństwo Putina zaraziło kawał świata: wydatki wojskowe stają się realną konkurencją nie tylko dla ekskluzywnych programów kosmicznych, ale przede wszystkim dla bardzo przyziemnych programów społecznych, rozwojowych. Ogłoszenie w Brukseli – także przez Donalda Tuska w imieniu polskiej prezydencji – że Unia porozumiała się w sprawie skokowego wzrostu wydatków na zbrojenia, ścisłego zamknięcia granic zewnętrznych, zmniejszenia wymagań dotyczących ochrony środowiska i w ogóle, że odchodzi od „naiwnego idealizmu”, można uznać za znak czasu – ale raczej złego czasu.

U nas, choć zaczynają się wakacje, nie zanoszą się na polityczne zawieszenie broni. Do konfliktów wewnątrz rządzącej koalicji, wciąż przeżywającej powyborcze traumy (art. s. 20), wkrótce dojdą rozgrywki między rządem a ośrodkiem prezydenckim. Karol Nawrocki już zapowiedział, że będzie składał liczne „prospołeczne projekty ustaw”, często brane wprost ze słynnych 100 konkretów PO oraz obietnic koalicyjnych partii. Ma być ustawa o obniżeniu cen prądu, podwyższeniu kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł; będą także własne „patriotyczne” projekty Nawrockiego: zerowy PIT dla rodzin z dziećmi, obniżenie VAT na żywność, zniesienie podatków od spadków, nadgodzin, emerytur. Z drugiej strony jest też powszechne oczekiwanie, że rząd po rekonstrukcji przedstawi własny ambitny program społeczny i inwestycyjny. Będzie więc piękna licytacja. Tymczasem budżet na 2025 r. ma już prawie 300 mld zł deficytu, w przyszłym roku same koszty obsługi długu publicznego wzrosną do niemal 100 mld; a jeszcze na obronność powinniśmy wydać 200 mld. To wszystko nie trzyma się ziemi. Cóż, polska polityka już dawno odleciała w stan nieważkości i nie wraca.

Transylwania i jej perły kultury

Transylwania, historyczna kraina Rumunii położona w Karpatach, zachwyca średniowiecznymi fortecami, saskim dziedzictwem i zabytkami UNESCO.

Odwiedzimy m.in. średniowieczny Sybin założony przez siedmiogrodzkim Sasów, Sinaię z Królewskim Pałacem Peleş, Zamek Drakuli w Bran, wpisaną na listę UNESCO cytadelę w Sighişoara – miejsce narodzin Władcy III Palownika – pierwowzoru Drakuli, Czarny Kościół w Braszowie, imponującą kopalnię soli w Turdzie oraz Bukareszt – z architekturą z okresu belle époque i komunizmu. Do tego zachwycające krajobrazy, urokliwe wioski i doskonała kuchnia oraz rumuńskie wina i miody.

Hotele 3* i 4*

8 dni

Wylot z Warszawy

19/09 2025

6.998,-



**4,7
5**

Z Rio de Janeiro do Buenos Aires

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Rio de Janeiro. Dz. 2 Rio de Janeiro. Wjazd kolejką na punkt widokowy Głowa Cukru i powitalna kolacja. Dz. 3 Rio de Janeiro. Rejs statkiem po zatoce Guanabara i wizyta w szkole samby (dodatkowo płatne). Dz. 4 Rio de Janeiro – Góra Corcovado, Pomnik Chrystusa i słynne plaże. Wycieczka do faweli (dodatkowo płatne). Dz. 5 Czas wolny. Przelot do wodospadów Iguazu. Dz. 6 Iguazu. Wodospady Iguazu po brazylijskiej stronie. Dz. 7 Wodospad Iguazu, strona argentyńska. Dz. 8 Buenos Aires. Zwiedzanie miasta oraz degustacja wina i pokaz tanga z kolacją (dodatkowo płatne). Dz. 9 Całodniowa wycieczka do Colonia del Sacramento w Urugwaju. Dz. 10 Buenos Aires. Zwiedzanie miasta z dzielnicami La Boca i Recoleta. Dz. 11 Buenos Aires, Pampa, gauchos i obiad na rancho (dodatkowo płatne). Dz. 12 Buenos Aires i powrót do Polski. Dz. 13 Przelot do Warszawy.

13 dni | Wyloty z Warszawy 24/02, 03/11 2026 | od 18.998,-



2 posiłki dziennie

„Dolce vita” w Toskanii

Fantastyczna podróż kulturowa, podczas której odkryjemy tajniki włoskiego stylu życia i poznamy włoską kulturę, kuchnię, język oraz doskonałe wina.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Rzymu. Przyjazd do Chianciano Terme. Dz. 2 Umbria i magiczne Orvieto. Dz. 3 Asyż – miasto Świętego Franciszka. Wizyta w kościele Św. Franciszka. Dz. 4 Całodniowa wycieczka do Sieny wpisanej na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO i spacer szlakiem Via Francigena. Dz. 5 Włoski targ i lokalne muzeum. Dz. 6 Warsztaty kulinarne. Przygotowanie włoskiej pasty. Podstawy jęz. włoskiego i czas wolny. Dz. 7 Degustacja win i uroczne popołudnie w San Gimignano. Dz. 8 Piękne renesansowe miasto Pienza, spacer do Cappella di Vitaleta i wizyta w Montalcino. Dz. 9 Dzień wolny w Chianciano Terme. Dz. 10 Wylot z Rzymu do Warszawy.

10 dni | Wyloty z Warszawy 20/09 2025 | 5.498,-

albatros.pl

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: PL25

eprasa.pl 83103c1998

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

Prawica szczuje i straszy

W poniedziałek premier Tusk poinformował, że zwróci się do kanclerza Niemiec Friedricha Merza z prośbą o przekazanie dokładnych danych na temat liczby migrantów, którzy są odsyłani na terytorium Polski przez służby Republiki Federalnej. To reakcja na coraz głośniejsze ataki na koalicję rządzącą ze strony polityków PiS oraz Konfederacji. Parlamentarna prawica zarzuca obecnym władzom bierność wobec Berlina w czasie, w którym zachodnia Polska poddawana jest coraz większej presji migracyjnej. W komentarzach płynących z tej strony regularnie padają oskarżenia wobec rządu o sprowadzanie migrantów do Polski oraz nawoływanie do zatrzymania „inwazji” czy „zalewania” miast przez migrantów z Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu, którzy rzekomo mają trafiać tam, przerzucani przez granicę właśnie przez Niemców. Podsycane są nastroje nie tylko ksenofobiczne, ale i jawnie rasistowskie.

Zasadniczy problem z narracją prawicy jest jednak taki, że ma ona niewiele wspólnego z rzeczywistością. Zgodnie z obowiązującymi przepisami UE dotyczącymi ruchu migracyjnego Niemcy mają prawo odesłać do Polski każdego, kto na ich obszarze znajdzie się nielegalnie, próbując granicę przekroczyć właśnie z polskiej strony. Należy przy tym sprecyzować, że istnieją trzy różne mechanizmy przeprowadzania tej procedury. Pierwszym jest odsyłanie graniczne, czyli natychmiastowe zawrócenie przez służby kogoś, kto nie ma odpowiednich dokumentów. Drugi to tzw. pełna readmisja, realizowana z mocy procedury dublińskiej – mechanizmu odsyłania migrantów do kraju, w którym pierwszy raz przekroczyli granicę zewnętrzną Unii. Trzecim jest deportacja – i w tej grupie równie



„Patrol obywatelski” na granicy w Lubieszynie, 27 czerwca

dobrze znaleźć mogą się obywatele Polski, którzy z jakiegoś powodu nie spełniają warunków pełnoprawnej rezydencji na terenie Republiki Federalnej.

L iczby osób poddawanych takiej procedurze są jednak bardzo małe, zwłaszcza w porównaniu z innymi krajami Wspólnoty. Nawet sumując wszystkie trzy mechanizmy, wynoszą one ok. 10 tys. osób w 2024 r. – wynika z danych Straży Granicznej. Nie przeszkadza to jednak polskiej prawicy budować narracji o wielkiej inwazji imigrantów. Wykorzystuje to m.in. Robert Bąkiewicz, były szef Marszu Niepodległości i kandydat do Sejmu z list PiS, który dziś prowadzi nową organizację – Ruch Obrony Granic. W ramach jej działalności organizowane są marsze i patrole obywatelskie (również na terenie Republiki Federalnej), mające rzekomo powstrzymać Niemców przed zalewaniem Polski przybyszami z innych krajów. (MAZZ)

Kim jest morderca alpak

D ziennikarz prawicowych mediów, związany z Konfederacją i lobby futrzarskim, myśliwy, 47-letni

Robert W. został zatrzymany przez bydgoską policję. Według organów ścigania mężczyzna ma związek z tragedią, która wydarzyła się półtora roku temu w minizoo prowadzonym przez jego żonę. Nieznany sprawca poderżnął gardła trzem alpakom, oblał je benzyną, podpalił zabudowania. Pozostałe zwierzęta (kolejne trzy alpaki i lama) spłonęły żywcem.

Prokuratura zapowiedziała postawienie zarzutów zatrzymanemu. Jak się nieoficjalnie dowiadujemy, podejrzewa, że Robert W. wynajął kogoś do zamordowania zwierząt i podpalenia, a motywem miała być zemsta na byłej żonie.

Do pożaru doszło w Ostrówku koło Kruszwicy nad jeziorem Gopło na początku listopada 2023 r. Małżeństwo W. prowadziło tam ośrodek Wyspa Perperuny, minizoo, hodowlę alpak i ośrodek terapii dla dzieci autystycznych, do której wykorzystywano lamy i alpaki. Tuż po pożarze ktoś założył zbiórkę na zrzutka.pl. Robert W. dziękował



darczyńcom na swoim profilu na Instagramie, w imieniu swoim i żony. Zebrano 35 tys. zł.

N a swoim Instagramie Robert W. ma też zdjęcie z Krzysztofem Bosakiem. Z kolei Robert Biedroń opublikował zdjęcie Roberta W. z czasów, gdy ten blisko współpracował z Ewą Zajączkowską-Hernik, dziś europosłanką Konfederacji, wówczas dziennikarką w [wSensie.pl](https://www.wsensie.pl) i [Świata Rolnika](https://www.swiatrolnika.pl). Wydawcą obu portali jest Fundacja Wsparcia Rolnika Polska Ziemia, założona przez Szczepana Wójcika, jednego z największych hodowców norek w Polsce – po to, by „chronić rolników przed organizacjami pseudoeologicznymi”, które zagrażają futrzarskiemu biznesowi. Robert W. był redaktorem naczelnym skrajnie prawicowego portalu [wSensie.pl](https://www.wsensie.pl). Ale publikował także w „Do Rzeczy” i „Tygodniku Bydgoskim”. Był również redaktorem naczelnym magazynu „Na Psi Temat”, wydawanego przez Polskie Porozumienie Kynologiczne, zrzeszające organizacje, które nie należą do Międzynarodowej Federacji Kynologicznej i powstały, gdy znowelizowana ustawa o ochronie zwierząt wprowadziła zakaz rozmnażania psów i kotów poza zarejestrowanymi hodowlami. Większość pseudohodowli założyła wtedy własne stowarzyszenia.

Dziennikarz WP Szymon Jadczak przypomniał na X, że Robert W. był już skazany w 2012 r. za bezprawne wyniesienie z czytelnicy IPN dokumentów służb PRL – w tym oryginalnego zobowiązania do współpracy – podając się przy tym za dziennikarza, którym wtedy nie był. (AS)

Śmierć dziecka pretekstem do ataków

Mnożą się domysły w głośniejszej sprawie śmierci czteromiesięcznego Oskara umieszczonego w rodzinie zastępczej. Jak na posiedzeniu sejmowej komisji ds. dzieci tłumaczyła Aleksandra Gajewska, wiceministra rodziny, matkę chłopca kilka miesięcy wcześniej skazano na prace społeczne, których nie wykonała. Kobieta nie poinformowała kuratora o tym, że jest w ciąży. W połowie maja Magdalena W. została w asyście funkcjonariuszek policji (to jedna ze zmian dokonanych za rządów PiS) przetransportowana do aresztu. Oskar i jego trzyletnia siostra Lena zostali umieszczeni w dwóch różnych rodzinach zastępczych. Krewne nie chcieli się nimi zaopiekować. Ich ojciec także nie stawiał się po odbiór dzieci.

Cztery dni później opiekun zastępczy założył, że chłopiec jest zasiniony. Reanimował go, wezwał pogotowie, dziecko jednak zmarło. Raport z sekcji zwłok stwierdził „cechy niewydolności krążeniowo-oddechowej.



Na ciele dziecka nie ujawniono żadnych śladów obrażeń wskazujących, że do śmierci dziecka doszło w wyniku urazu. Nie ujawniono również treści pokarmowej w drogach oddechowych dziecka, co mogłoby wskazywać na zachłyśnięcie się. Rodzina, w której umieszczono chłopca, jest rodziną zawodową od 12 lat, opiekowała się prawie 60 dzieci, posiada nieposzlakowaną opinię. O szczegółowej przyczynie śmierci dziecka – jak mówi prokurator Karolina Staros – dowiemy się dopiero za sześć miesięcy.

Sprawa nabrała rozgłosu po opublikowaniu zdjęć z pogrzebu chłopca; **Magdalena W.** uczestniczyła w nim skuta kajdankami zespolonymi. Służba Więzienna przyznaje teraz, że przymus bezpośredni był

nieuzasadniony. Politycy PiS wykorzystują sytuację do ataku na władzę; podważają sens przekazania chłopca do nowego miejsca, haniebnym nazywają to, że „matka małego dziecka przebywała w odosobnieniu”, prowokują nagonkę na rodziny zastępcze – systemowo wciąż niedofinansowane i społecznie niedocenione.

Po interwencji Rzecznika Praw Dziecka Magdalena W. resztę kary odbywa w systemie dozoru elektronicznego. – *Służby nie były w stanie udowodnić, że kobieta wiedziała, że może wnioskować o odbywanie kary z dzieckiem lub o jej odroczenie. Dobrze byłoby takie uprawnienia każdorazowo podawać do podpisania* – wskazuje Anita Kucharska-Dziedzic z Lewicy.

Policja twierdzi, że w rodzinnym domu Oskara nie było warunków dla zapewnienia mu odpowiedniej opieki. Dlaczego w takim razie instytucje nie interweniowały? Pojawiają się postulaty powiązania świadczenia 800+ z weryfikacją wizyt położnych patronażowych i wykonywania bilansów zdrowotnych. Bo to kolejna tragiczna lekcja, z której państwo musi wyciągnąć wnioski.

(AGSZCZ)



Uważaj, lecąc do USA

Dziennikarze OKO.press, redaktorka naczelna Magdalena Chrzczonowicz i Piotr Pacewicz, zostali poddani drobiazgowym godzinnym przesłuchaniom przy wjeździe do Stanów Zjednoczonych. Przejrzano także zawartość ich telefonów.

– *Poproszono mnie o odblokowanie aparatu. Gdy zaoponowałam, powołując się na status dziennikarki, postawiono mi ultimatum: bez przekazania PIN-u nie wjadę. Wręczono mi także ulotkę informującą o prawie służb do zatrzymania telefonu. Mój wyniesiono z pokoju przesłuchań na około pięć minut, straciłam go z oczu i nie wiem, co się z nim w tym czasie działo. Piotra przeglądano w jego obecności. Zwrócono uwagę przede wszystkim na zdjęcia* – relacjonuje Chrzczonowicz.

Służby pytały o wcześniej odwiedzane kraje, szczegóły życia prywatnego, linię redakcyjną portalu, stosunek do Rosji itd. Chrzczonowicz z Pacewiczem wysłali protest do ambasady USA w Warszawie. Jechali do Nowego Jorku, by w imieniu portalu odebrać Nagrodę im. Karola Pilarczyka przyznaną OKU za wspieranie demokracji i praworządności przez Polski Instytut Naukowy w Ameryce.

Zagraniczni reporterzy są obecnie przepytani (ostatnio pewien Australijczyk przez 12 godzin) i deportowani. Organizacje dziennikarskie protestują. Stoją na stanowisku, że stosowane praktyki, będące rezultatem przepisów

wprowadzonych przez Donalda Trumpa i antyemigranckiego nastawienia jego rządu, godzą w zobowiązania państw demokratycznych do ochrony prasy przed inwigilacją i zachowania poufności źródeł. – *Stany Zjednoczone uprzedzały, że zamierzają zaostrzyć procedury wjazdowe. Kto chce wjechać, zobowiązany jest do stosowania się do amerykańskich przepisów* – rozkłada ręce Paweł Wroński, rzecznik MSZ.

Wszyscy podróżujący do Stanów powinni liczyć się z surowym traktowaniem na granicy. Wjazdu nie gwarantuje bowiem ważna wiza czy elektroniczna autoryzacja ESTA. Rozstrzygającym jest werdykt urzędnika, który weryfikuje, czy przyjeżdżający nie stanowią zagrożenia dla Ameryki. Urzędnicy nie potrzebują nakazu, by żądać telefonów czy danych biometrycznych, bo strefy graniczne nie są objęte 4. poprawką do konstytucji. Z kolei cudzoziemscy reporterzy mają mniej praw wynikających z poprawki 1. mówiącej o wolności słowa. Rzecznik MSZ dodaje, że Polska nie rozważa wprowadzenia analogicznych kroków w stosunku do obywateli amerykańskich. Podobne przestrzogi wydają inne kraje UE.

(JWIN)

Jak się dziś tworzy narracje

Jarosław Kuźniar

Dziennikarz, twórca platformy podcastowej Voice House.



W świecie Donalda Trumpa awans przychodzi z lojalnością. Jego rzeczniczka prasowa przerwała swój urlop macierzyński, kiedy jej syn miał ledwie cztery dni. Trwała kampania, Trump o mało nie zginął od kuli. Karoline Leavitt poczuła powołanie. Słuchając jej dzisiejszych konferencji, mam jednak wrażenie, że to mieszkanka szalonej fascynacji, cynizmu i wazeliny.

„Ona mówi płynnie Trumpem” – celnie podsumowuje artykuł o najmłodszej sekretarz prasowej Białego Domu „The Wall Street Journal”. Leavitt przesiaduje godzinami w Gabinetie Ovalnym. Zna tajniki Trumpa, wie, co powiedzieć, a czego nie. Cytowany przez „WSJ” rzecznik Billa Clintona sugeruje, że gdyby obiektywnie oceniać pracę Leavitt, nie byłoby zaliczenia. Ale na podstawie kryteriów zadowolających Trumpa wypada celująco. Narratorzy wokół prezydenta USA mówią tylko do swoich ludzi. Tylko tyle potrzebują, żeby utrzymać Republikanów u władzy. Brzmi znajomo?

To współczesna kolej rzeczy: wybory w USA wygrały podcasty (Joe Rogan), w Polsce YouTube (Krzysztof Stanowski). Zasięgi tradycyjnych mediów w USA i w Polsce przegrywają walkę o widzów i słuchaczy ze streamem. YouTube, TikTok i Instagram przyciągają ludzi na dłużej. Nie trzeba koncesji, nie ma standardów, jest wolnoamerykańka. Z perspektywy kampanii wyborczej (a ta trwa właściwie cały czas) to narzędzia nie do zlekceważenia.

Przegrana Rafała Trzaskowskiego ciągnie za sobą rekonstrukcję rządu i stylu komunikacji premiera Tuska. Uznano, że dotąd Polacy za mało usłyszeli o tym, „co się rządowi udało”. Sugeruję zmiany kolejności: najpierw zrób, potem mów. Wtórne, czyje usta to zrobią. Przegrana Trzaskowskiego jest nie tylko o słabo zaprojektowanej kampanii, ale też o braku dostatecznej skuteczności Tuska. Rozumiem argumenty, że „lewica, Hołownia, Kosiniak i Duda”, że trzeba się układać. Taka robota. Jeśli się nie udaje, powiedz to głośno. Wyjaśnij dlaczego. We współczesnej komunikacji, w świecie totalnie zdemolowanego skupienia, nie chodzi tylko o mówienie co (bo to każdy gdzieś słyszy), ale też dlaczego (bo tego nikt nie tłumaczy).

Trump zbudował własne media. Wszyscy nadawcy robią teraz screeny z jego infantylnych wpisów na platformie Truth i podają dalej. Truth Trumpa (sic!) stała się największą agencją prasową świata. Wojna w Iranie, Gaza, Ukraina, NATO, imigranckie czystki. Nie ma znaczenia skala bullshitu, istotne są tempo i ton. Dokładnie realizowana jest mantra doradcy Trumpa Steve’a Bannona: „flooding the zone”. Zalewanie opinii publicznej taką liczbą komunikatów, żeby nikt nie zdążył sprawdzić, co jest prawdą, a co fałszem. Dla Republikanów przeciwnikiem nie są Demokraci, są nim media.

To samo dzieje się w Polsce. I dopóki rząd tego nie zrozumie, nie ma znaczenia, czy będzie rzecznik i kto nim będzie. Nowy sondaż sugeruje, że sporo ludzi nie słyszało o nominacji Adama Szłapki, drugie tyle nie ma o niej dobrego zdania, a najwięcej w ogóle to nie interesuje. Premier chce „mieć dobrego rzecznika, który od rana do wieczora prostuje kłamstwa i mówi, co robimy”. Mylenie funkcji rzecznika z klakierem to początek katastrofy, a tą ścieżką Szłapka już idzie. Współcześnie wygrywa się, słuchając wyborców i dając im tego dowód w dobrze dobranych mediach. Tam, gdzie oni teraz są, a nie tam, gdzie byli w poprzedniej kadencji.

Razem się sadi

Pierwsza tura wyborów prezydenckich przyniosła **Adrianowi Zandbergowi** długo wyczekiwane osiągnięcie. Lider Razem zdobył 4,9 proc. głosów, wyprzedzając byłą partyjną koleżankę i zarazem współprzewodniczącą ugrupowania Magdaleny Biejat (4,2 proc.), startującą z poparciem Nowej Lewicy. To pierwszy taki sukces Razem od lat, a przecież jeszcze pod koniec ub.r. partia według sondaży balansowała na granicy 1,5-procentowego poparcia.

Dziś w badaniach notuje średnio niespełna 5 proc. (w ostatnim sondażu IBRIS – 3,9 proc.) i nie kryje ambicji samodzielnego wejścia do Sejmu. Już teraz szykuje się zresztą do kolejnej kampanii. Przed Razem stoi jednak wyzwanie utrzymania zainteresowania wyborców, którzy pod koniec kampanii Zandberga tłumnie zapełniali miejskie rynki na wiecach „potężnego Duńczyka”. W końcu łaska młodych wyborców na pstrym koniu jeździ, a to oni przecież



stanowią teraz największą część elektoratu Zandberga (62 proc. według exit poll, Ipsos). Dlatego Razem chce postawić na przekaz internetowy, zwłaszcza na YouTube, który obecnie zdominowała prawica spod znaku Stanowskiego i Mentzena.

– Zandberg, choćby z oczami na zaparku, ma regularnie publikować filmy angażujące sympatyków – słyszymy w partii. W objazd po kraju ruszają też popularni posłowie i posłanki; do tego: spotkania z wyborcami oraz budowanie rozpoznawalności młodszych polityków w regionach. W tych działaniach mają pomóc rosnące w siłę struktury partyjne. Do Razem w trakcie kampanii

prezydenckiej dołączyło bowiem ponad 9 tys. nowych członków. Wcześniej w partii zarejestrowanych było raptem 3 tys. osób.

Politycy Razem przyznają, że nowi to przede wszystkim 20- i 30-latkowie z większych miast, ale widać też szanse na budowę zupełnie nowych struktur chociażby w mniejszych powiatach na ścianie wschodniej.

Są jeszcze działania sejmowe, gdzie koło poselskie Razem ma się trzymać wyrazistej lewicowej opozycji wobec rządu, tak jak podczas niedawnej debaty i głosowania nad wotum zaufania. Kampanijna opowieść Zandberga o koalicji odartej z ambicji i marującej dziejową szansę na rozwój będzie lejtmotywem działań razemowców. Przed nimi w końcu trudny bój o utrzymanie się na powierzchni i samodzielne wejście do Sejmu w 2027 r. W partii mają jednak plan: utrzymać impet i przekonać wyborców, że Razem nie samym Zandbergiem stoi. (MPIED)

POLITYKA

Zaprenumeruj nasz tygodnik przez

InPost Paczkomat 24/7

- **Gwarantowana dostawa w środę**
do wybranego InPost Paczkomat 24/7
- **Darmowa przesyłka**
przez cały okres prenumeraty
- **Niższa cena za egzemplarz**
niż w punktach sprzedaży



Jak to działa?

- Podczas zakupu wybierasz swój ulubiony InPost Paczkomat.
- Otrzymasz SMS i/lub email o tym, że możesz już odebrać nowy numer „Polityki”.

- **569 zł za rok**
Oszczędzasz 150 zł
Tylko ~~13,90~~ 11 zł za numer
- **299 zł za pół roku**
Oszczędzasz 60 zł
Tylko ~~13,90~~ 11,50 zł za numer



Do pierwszych 500 zamówień prenumeraty przez InPost Paczkomat 24/7 dodajemy **Pomocnik Historyczny „Piastowie”** w prezencie

Wejdź na polityka.pl/paczkomat lub zeskanuj kod QR:



Sądny dzień Trumpa

Prezydent Stanów Zjednoczonych, jak sam twierdzi, idzie „od zwycięstwa, do zwycięstwa”. W zeszłym tygodniu zaprowadził pokój na Bliskim Wschodzie, był fetowany na szczycie NATO w Hadze, potem zakończył wojnę między Kongiem a Rwandą. A przed weekendem zdominowany przez konserwatystów Sąd Najwyższy podarował Donaldowi Trumpowi największy prezent. Orzekł mianowicie, że decyzje federalnych sądów okręgowych, które dotychczas blokowały wprowadzenie w życie jego niezgodnych z konstytucją dekretów, są ważne tylko w odniesieniu do konkretnych przypadków i nie mają mocy ogólnokrajowej. Taka moc, zgodna z zasadą kontroli prezydenta przez władzę sądowniczą – cłou amerykańskiego systemu wzajemnej równowagi władz – był główną bronią liberalnych przeciwników nadużyć władzy. Sąd Najwyższy odebrał ją opozycji.

Jego orzeczenie dotyczyło m.in. kampanii Trumpa na rzecz pozbawienia prawa do amerykańskiego obywatelstwa dzieci nielegalnych imigrantów i cudzoziemców przebywających w USA tymczasowo. Konstytucja gwarantuje je wszystkim urodzonym tam osobom, więc prezydencki dekret w tej sprawie oceniono jako nielegalny. Sąd Najwyższy nie wypowiedział się o meritum sprawy, ale uznał, że sądy okręgowe nie mogą w takich sytuacjach blokować działań władz federalnych.

Oznacza to, że setkom tysięcy nowo narodzonych dzieci imigrantów bez dokumentów – w większości od lat osiadłych w USA, pracujących i posiadających rodziny – grozi status bezprawnych. To dopiero początek batalii o prawo do obywatelstwa



z urodzenia. Jednak orzeczenie **Sądu Najwyższego** ma ogromne znaczenie już dziś, bo wzmacnia władzę Trumpa (i przyszłych prezydentów) w takich obszarach jak prawa osób LGBT czy samorządność uniwersytetów.

Uzasadniając orzeczenie, konserwatywni sędziowie argumentowali, że pierwszy Kongres, który ustanowił system sądownictwa w 1789 r., nie przewidywał, żeby sądy okręgowe mogły wydawać decyzje ważne w całym kraju. Liczba orzeczeń blokujących dekrety w ostatnich dekadach rosła, gdyż prezydenci, nie mogąc przeformować swej polityki w Kongresie, coraz częściej uciekali się do tej metody. A w drugiej kadencji Trumpa pobito wszelkie rekordy w tej kwestii. Sąd Najwyższy pominął jednak fakt, że była to wypadkowa aktywności obecnego prezydenta. Żaden jego poprzednik w Białym Domu nie wydał tylu dekretów wątpliwej legalności.

Nie przyjeżdżajcie!

Sezon wakacyjny ledwie się rozkręcił, a już zaczęły się manifestacje. W kilkunastu miastach zorganizowało je Stowarzyszenie Południa Europy (SET) powołane w Barcelonie. To liczące 1,6 mln mieszkańców miasto w 2024 r. odwiedziło 26 mln zwiedzających. I tu narodził się ruch pod hasłem „Tourists go home!”. Teraz imprezy protestacyjne, których wspólnym znakiem było strzelanie do turystów z pistoletów wodnych, odbyły się także na Ibizie, w Maladze, Palma de Mallorca, San Sebastian i Grenadzie, w Genui, Neapolu, Palermo, Mediolanie i Wenecji, raz w Lizbonie, wcześniej ruch protestu przetoczył się przez Wyspy Kanaryjskie.

Każde z miast i regionów ma specyficzne problemy, np. z wizytami wielkich wycieczkowców czy fumą o suto zakrapianych hałaśliwych zabawach, ale i jeden wspólny – liczby, które rosną o kilkanaście procent rocznie. Włochy dobijają już do 140 mln turystów rocznie (30 mln odwiedzi Watykan



w roku świętym, by zobaczyć nowego papieża), Hiszpania – do 100 mln, Francja już 100 mln przekroczyła, a 23 mln gości przypada na sam Paryż. Z covidu ludzie wyciągnęli lekcję, że trzeba korzystać, póki czas. Maszynkę rozkręca internet i niezliczone systemy rezerwacji, tanie linie lotnicze, kwatery Airbnb i emocjonalna instagramowość dzisiejszego sposobu poznawania świata, czego symbolem stał się smartfon na patyku. Masową turystykę napędzają fotki, jak te z Santorini, i seriale, które ponętnie oddają lokalne uroki. Podróżowanie nigdy nie było tak łatwe.

Amiejscowi mają tego dosyć. Dla nich ten pęd oznacza obok codziennych niedogodności rosnące koszty

utrzymania, ceny nieruchomości, które poszybowały ponad zdrowy rozsądek, kurczącą się miejską infrastrukturę, często kłopoty z wodą i odpadami oraz nieustanny hurgot walizek na kółkach. Weźmy Baleary (1,2 mln mieszkańców i 18,7 mln turystów), gdzie zabrakło lekarzy, pielęgniarek, policjantów i innych funkcjonariuszy, bo ludzie już nie stać na wynajem. Nauczyciele w połowie maja wynoszą się na pola kempingowe, bo kwatery do połowy września będą zajmować turyści.

W takim klimacie wyrósł **protest w Wenecji** przeciw hucznym zaślubinom Jeffa Bezosa (tego od Amazona) z Lauren Sanchez (tą od wspólnego lotu w kosmos z Katy Perry), co pociągało za sobą „aneksję” wyspy San Giorgio, spore zamieszanie i szarogęszenie się bogaczy. W mieście, gdzie liczba miejsc hotelowych przewyższa już liczbę mieszkańców, których zostało ledwie 49 tys., w tym roku podwyższono opłaty wstępu dla jednodniowych turystów, co jednak ich nie odstrasza. Panuje tu nastrój obłożonej twierdzy.

Węgry maszerują

Nawet 200 tys. osób mogło przejść w **budapeszteńskiej Paradzie Równości**. Uczestnicy nie wystraszyli się Viktora Orbána, który ostrzegał, że udział w tym – nielegalnym jego zdaniem – sobotnim zgromadzeniu grozi „określonymi konsekwencjami: służby mogą wykorzystać kamery rozpoznające twarze demonstrantów, co ułatwi karanie ich grzywnami; organizatorom grozi do roku pozbawienia wolności; policja ma prawo rozproszyć tłum itd.

Jeszcze w lutym premier radził nie zwracać sobie głowy paradą, bo rząd do niej nie dopuści. W marcu kontrolowany przez niego parlament uchwalił ustawę o ochronie dzieci. Faktycznie chodziło o dalsze ograniczanie swobód demokratycznych, co tworzy podstawę do głębszej inwigilacji obywateli. Na mocy nowych przepisów policja nie wydała zgody na paradę, ale zrobił to opozycyjny wobec rządu liberalny burmistrz stolicy Gergely Karácsony. Uznał ją za wydarzenie miejskie niewymagające zezwolenia władz państwowych.

Marsz zamienił się w antyrządowy wiec, jeden z największych w okresie 15-letniej dominacji partii Fidesz. Represje osób LGBTQ



oraz przedstawianie mniejszości seksualnych jako źródła zagrożenia dla wartości chrześcijańskich i zdrowej węgierskości to sprawdzony sposób na mobilizację jej żelaznego elektoratu, głównie z mniejszych miejscowości. Sukces frekwencyjny parady – wydarzenia według Orbána „obrzydliwego i haniebnego” – premier przedstawia teraz jako wypełnienie rozkazu Brukseli, która skrzyknęła do Budapesztu swoje marionetki. Poparcie dla marszu wyraziło ponad 30 ambasad.

Tej okazji nie przegapił główny rywal Orbána i jego dawny stronnik Péter Magyar.

Lider ugrupowania TISZA atakuje rząd za rozkład usług publicznych, upadek opieki zdrowotnej, niedomagania kolei i rosnące koszty życia. Od kilku miesięcy TISZA prowadzi w sondażach (ma 46 proc. poparcia, czyli o 10 pkt proc. więcej niż Fidesz. Jednak i taka przewaga może nie wystarczyć do zwycięstwa nad obozem Orbána. Pokonać trzeba także sprzyjającą mu mapę okręgów wyborczych, stronnictwą ordynację i narrację prorządowego monopolu medialnego. Wybory parlamentarne powinny odbyć się w kwietniu 2026 r.

Szpiegini na czele

Rzeczywistość dogoniła filmową fikcję z serii o Jamesie Bondzie. Na czele MI6, brytyjskiej Tajnej Służby Wywiadowczej – po 116 latach jej działalności pod dowództwem 17 kolejnych mężczyzn – stanie wreszcie kobieta. **Blaise Metreweli** kierownictwo obejmie jesienią, a w pracy posługiwać się będzie tradycyjnym inicjałem C. Czyli innym niż w bondowskich historiach, gdzie przełóżeni agenta 007 występują jako M.

Skądinąd realne życie ma 30 lat opóźnienia. Dziennik „New York Times” zauważa, że Judi Dench zagrała M już w filmie „Goldeneye”, w którym zwraca się do Bonda, granego przez Pierce’a Brosnana, jako do „seksistowskiego, mizoginistycznego dinozaura i reliktu zimnej wojny”. Teraz mianujący Metreweli premier Keir Starmer mówi o historycznym awansie, choć szklany sufit w wywiadzie niechybnie został stłuczony. Ustępujący szef MI6 Richard Moore promował kobiety. W 2024 r. zrezygnował też z członkostwa w męskim elitarnym klubie, gdy jego członkowie opowiedzieli się za nieprzyjmowaniem pań. O stanowisko po Moorze ubiegała się jeszcze Barbara Woodward, była ambasadorka przy ONZ i w Pekinie.



MI6 nie dzieli się szczegółami z prywatnego życia kierownictwa. Wiadomo, że przyszła C dołączyła do tej służby tuż po studiach w 1999 r. Ma biografię wszechstronnej agentki. Sensację budzą wyszperane przez prasę informacje o nazistowskiej przeszłości jednego z dziadków. Nazwisko to ślad gruzińskich korzeni ojca, radiologa z wojskowego korpusu medycznego, służącego w różnych miejscach świata. Wychowywała się m.in. w Hongkongu. W Cambridge studiowała antropologię. Wiosłowała w osadzie, która w 1997 r. w regatach na Tamizie pokonała ekipę z Oksfordu. Posługuje się biegle arabskim, jako agentka pracowała w Europie i na Bliskim Wschodzie.

Dotąd piastowała funkcję Q. W książkach i w filmach byli to zbrojmistrzowie, panowie od śmiercionośnych zegarków czy sportowych samochodów wyposażonych w działka i katapultujące się fotele. Jako dyrektorka ds. technologii i innowacji nadzorowała rozwój AI w brytyjskich agencjach wywiadowczych. Jej zadaniem będzie dostosowanie służb do wyzwań szybko zmieniającej się współczesności. Chodzi nie tylko o zagrożenia ze strony nieprzyjaciół i przemian technologicznych, ale także o wiarygodność sprzymierzeńców, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych pod wodzą labilnego prezydenta.

Para nie z tej ziemi

On przebywa w kosmosie, ona, z zawodu posłanka, czeka i dopinguje męża na Ziemi. Oboje państwo **Uznańscy-Wiśniewscy** są przykładem niezwykłych w Polsce, zaplanowanych i przemyślanych karier. Oraz, raczej typowych, zawiści i podejrzeń.



ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Z tej historycznej wyprawy w kosmos zostaną dla potomności na pewno ładne obrazki. Sławosz Uznański-Wiśniewski wielokrotnie żegnał się z żoną przed startem misji Axiom 4, szeroko uśmiechnięty, wzruszony, z ręką na sercu. Aleksandra Uznańska-Wiśniewska, politolożka, posłanka Koalicji Obywatelskiej, zaliczyła potem istny medialny maraton, występując w roli dzielnej, wspierającej partnerki, ale i łączniczki z „naszym człowiekiem w kosmosie”. „Dzwonił”, oznajmiła przejęta i przekazała pozdrowienia dla Polaków. Oboje znaleźli się z dnia na dzień w centrum potężnego zainteresowania. Z domieszką hejtu i hysterii, z przewagą jednak – nomen omen – uznania. Ale żadne z dwojga nie chce świecić światłem odbitym.

Przeżyjmy to jeszcze raz. Podejść do startu rakiety Falcon 9 było sześć, za siódmym wreszcie się udało. Część rodaków traciła już nadzieję, ale to się zdarza w kosmosie. Usterki i pogoda na zmianę

stawały na przeszkodzie i opóźniły misję Axiom 4 o prawie miesiąc, skazując czteroosobową załogę na dłużącą się kwarantannę.

Leć, Sławosz, leć!

W środę 25 czerwca o godz. 8.31 rakieta ostatecznie poderwała się do lotu z przylądka Canaveral na Florydzie. I ruszyła w poгон za Międzynarodową Stacją Kosmiczną (ISS), gubiąc kolejne moduły po drodze. To emocjonujący i kluczowy etap wyprawy, gdy trzeba dogonić obiekt poruszający się z prędkością, bagatelą, ok. 27 tys. km/godz. W chwili startu statek typu Crew Dragon firmy SpaceX nosił zwyczajowe miano C213, dopiero na orbicie okołozemskiej – też zgodnie ze zwyczajem – otrzymał imię Grace (z ang. wdzięk albo łaska). Grace osiągnęła cel w nieco ponad dobę.

Astronauta bezpiecznie zadokowali i wfrunęli na pokład ISS solidnie odwodnieni, ale szczęśliwi. Podjęło ich tutaj siedmioro aktualnych gospodarzy ISS: trzech Rosjan, troje Amerykanów

(dwie kobiety i jeden mężczyzna), jeden Japończyk. Przygotowaniem wjazdu na przyjęcie gości zajmowały się wyłącznie panie.

Rodzice proroczo nadali mu oryginalne imię – piszą internauci o przesławnym Sławoszu, urodzonym 12 kwietnia 1984 r., w Dzień Kosmonauty, upamiętniający dziewiczy lot Jurija Gagarina z 1961 r. *Santo subito!* – wołają. Albo ciut przyziemniej: Sławosz na prezydenta!

Polską sieć opanowała sławoszomania – tak to nazwaliśmy na polityka.pl, na wzór małyszomanii i podobnych fenomenów, które przyćmiewają na chwilę szarość codzienności. Start rakiety z Uznańskim-Wiśniewskim na pokładzie premier Donald Tusk śledził na żywo w Centrum Nauki Kopernik w Warszawie. Wstał z fotela, zaklaskał i zanotował na X: „Mamy to. Polska sięgnęła gwiazd”. Prezydent Andrzej Duda podsumował pompacyjnie na tej samej platformie: „Niech ten lot stanie się inspiracją dla młodych Polaków – tych, którzy odważnie marzą o rzeczach pozornie niemożliwych”. I zakończył: „Lećcie z Panem Bogiem”.

O Bogu nic nie wiadomo, ale Sławosz zabrał do kapsuły polską flagę, bryłkę soli z Wieliczki, kawałek bursztynu, pamiątki po Hermaszewskim i Marii Skłodowskiej-Curie, mapkę z „O obrotach sfer niebieskich” Mikołaja Kopernika, trzy wiersze Wisławy Szymborskiej, manuskrypt Mazurka As-dur Fryderyka Chopina, skrawek stroju regionalnego z Muzeum Etnograficznego w Łodzi (Sławosz jest łodzianinem) i wydrukowane w 3D polskie litery ze znakami diakrytycznymi (ą, ć, ę, ł, ń, ó, ś, ź, ż). Wysycony symboliką jest też tzw. patch, który Polak nosi na ramieniu skafandra: centralnym elementem jest biało-czerwony orzeł z rozpostartymi skrzydłami, które układają się w kontur tatrzańskiej Orlej Perci. Ogon orła wiję się jak płomień, bo nazwa misji – Ignis – znaczy „ogień”. W samej nazwie jest zaszyta aluzja do ISS. Nad wszystkim wznosi się gwiazdodziób Tarczy (Scutum) i majaczy horyzont, który ma zwiastować nową erę w eksploracji kosmosu.

Polak dołoży swoją cegiełkę, wykonując 13 eksperymentów m.in. z zakresu biologii i biotechnologii (część z nich opisywaliśmy niedawno w POLITYCE 21). Sławosz jest pierwszym Polakiem na ISS i jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, pobije rekord Mirosława Hermaszewskiego, który w 1978 r. spędził w kosmosie 7 dni, 22 godziny i 3 minuty. Misja Axiom 4 ma potrwać łącznie dwa tygodnie.

Z głową w gwiazdach

„Miałem 37 lat, byłem dorosłym, ukształtowanym człowiekiem. I nagle stałem się niezwykle popularny. Strasznie mnie to peszyło”, wspominał w rozmowie z POLITYKĄ gen. Hermaszewski. 47 lat dzielące obie kosmiczne wyprawy Polaków to w świecie wieki, a w internecie to cała epoka. Sławosz z miejsca, może i mimo woli, został celebrytą, a wyprawie towarzyszy nieodłączna dziś tiktokowa, instagramowa otoczka.

Bohater, jak się zdaje, nie obraża się na rzeczywistość, przeciwnie, oboje z żoną weszli zgrabnie w role kosmicznych przewodników. „Reprezentuję was wszystkich, 40 mln Polaków” – mówił Sławosz, gdy pierwszy raz połączył się z Ziemią. Robią furorę liofilizowane pierogi i zupa pomidorowa, sypią się pod postami w socialach lajki i wirtualne serduszką. „Nasz Sławosz już pochłonięty pracą badawczą na ISS. Zwróćcie uwagę na jego pucłowatą buzię i napuchnięte oczy – eksperci wyjaśniają, że to wpływ braku grawitacji, czyli efekt przebywania organizmu w stanie nieważkości” – zauważa na Facebooku twórca kanału „Łódź zwana pożądaniem”.

Wpisów publikowanych ze znanostwem kosmicznej materii też jest oczywiście mnóstwo. ISS okrąży Ziemię ok. 16 razy na dobę, pasjonaci sprawdzają więc dokładnie, czy i kiedy będzie blisko Polski. Karol Wójcicki, który relacjonuje podróż Sławosza dzień po dniu i z detalami, na swoim fanpage'u „Z głową w gwiazdach”, radził wypatrywać jasnego punktu na niebie m.in. w ostatni weekend. O godz. 2.10 z sekundami stacja mknęła na południe od Polski i dało się ją wypatrzeć gołym okiem.

Krzywa popularności haseł związanych ze Sławoszem, jego żoną i misją jest w przeglądarkach internetowych, pikowała potężnie w okolicy 25 czerwca i już nazajutrz zaczęła opadać. Zapewne znów podniesie się mocno, gdy statek będzie wracał. To dobrze ilustruje, jaka jest żywotność ekscytujących newsów. W dobrym tonie jest zarówno relacjonować wyprawę w przeświadczeniu, że „trzyma się rękę na pulsie”, jak i publicznie oświadczyć, że temat nas nie interesuje. Co też dokarmia algorytmy. Taki mamy klimat na Ziemi. Wiele zależy od samych bohaterów oraz ich własnej opowieści.

Sławosz i Aleksandra Uznańscy-Wiśniewscy już zostali obwołani nową polską *power couple*. Znajomi mówią: ich związek to nie nasz biznes. – *To jest jakaś dziwna sprawa* – powątpiewa w szczerość uczuć jeden z naszych rozmówców. Trudno się rozwodzić (tego nie życzymy), bo to młode małżeństwo i nie taka długa znajomość, w dodatku rwana stale szkoleniami przed wyprawą na ISS. Dopiero po powrocie astronauty na Ziemię małżonkowie mają pokazać sobie nawzajem ulubione miejsca. Dziś to raczej związek na kosmiczną odległość. Nie zdążyli się nawet solidnie pokłócić. – *Zdarzały się między nami chwile z combustion* (ang. zapłon, eksplozja), *różnice zdań, ale związek to sztuka negocjacji* – mówi POLITYCE Aleksandra Uznańska-Wiśniewska.

Poznali się dopiero co, w kampanii przed wyborami w 2023 r. „Przygotowywała się ze swoim sztabem na ulicy Piotrkowskiej. Akurat przechodziłem i zobaczyłem Aleksandrę, która się do mnie uśmiechnęła. Ten uśmiech mnie pokonał” – opowiadał Sławosz w programie „Halo, tu Polska”. Aleksandra tak to zapamiętała: – *Jechałam na rowerze w ramach akcji „Rowerem do Sejmu”, zachęcaliśmy z wolontariuszami do udziału w wyborach. Sławosz szedł akurat Piotrkowską do galerii sztuki swojego taty. Podobno się do niego uśmiechnęłam... Nie pamiętam dokładnie, dużo uśmiechów wtedy rozdawałam* – śmieje się. Sławosz znalazł ją potem w social mediach. Na randkę też się umówili na Piotrkowskiej.

Zaręczyli się ubiegłego lata w Teksasie, w styczniu tego roku wzięli ślub w Łodzi i przyjęli nawzajem swoje nazwiska. Część osób jest tym podekscytowana: postępowo. Dla innych to wciąż nie do pomyślenia. Tempo Uznańscy też mają iść kosmiczne. – *Przez wiele miesięcy dzielił nas ocean. Oboje prowadzimy ekstremalny tryb życia i z dużą intensywnością rzucamy się w projekty zawodowe* – mówi Aleksandra Uznańska-Wiśniewska. – *Sławosz ma 41 lat, ja 31, metrykalnie nie jesteśmy jakimiś ekstremalnie młodymi małżonkami. Powiedziałabym, że tempo nadawał tu mąż*.

Polska „branża” kosmiczna ceni i po ludzku lubi Sławosza. – *Nie jest typem „dzikiego imprezowicza”* – mówi Tomasz Rożek, fizyk, dziennikarz, założyciel fundacji Nauka. To Lubię. – *Przed wszystkim był i jest bardzo pracowity. Gdy wyznaczał sobie cel, zapierał się, aż go osiągnął. Nigdy nie odmawia pomocy ani wyprawy w góry. Kocha żeglować*.

Specjalność Sławosza: promieniowanie kosmiczne. Zaprojektował przed laty odporny na promieniowanie sterownik konwertera mocy dla Wielkiego Zderzacza Hadronów, i to jeden ►

► z najważniejszych punktów w jego naukowym życiorysie. Już w 2011 r. dołączył do kadry w CERN w Genewie, prestiżowym ośrodku naukowo-badawczym. Ma papiery, ale i warunki, żeby latać w kosmos – sprawność fizyczną i odporność psychiczną. To się jeszcze przyda. Zwłaszcza na planecie. Aleksandra też o sobie mówi, że jest „zahartowana”. Jako nowicjuszką w polityce prędko wzbudziła zainteresowanie i rzecz jasna podejrliwość, zresztą od skrajnej prawicy po skrajną lewicę.

Ciemna materia

Dla Uznańskich-Wiśniewskich – wtedy jeszcze nosili swoje nazwiska – kluczowy i w jakimś sensie przełomowy był właśnie 2023 r. Sławosz zakwalifikował się wtedy do korpusu astronautów Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA), co oznacza, że rewelacyjnie wypadł w testach, do których przystąpiło ponad 22 tys. kandydatów, w tym kilkuset z Polski. Aleksandra tamtej jesieni dostała się do Sejmu z list Koalicji Obywatelskiej i debiutowała w ławach poselskich po ośmiu latach rządów prawicy. Zebrała 25 436 głosów, uzyskując drugi wynik dla KO w okręgu łódzkim (po Dariuszu Jońskim). Dziś pracuje w komisji obrony narodowej, przewodniczy parlamentarnemu zespołowi ds. relacji Polski z Ameryką i jest członkinią paru innych, również związanych głównie z polityką zagraniczną. Co prawda internet często pyta o mniej istotne aspekty z jej życiorysu, np. „Czy Aleksandra Uznańska-Wiśniewska jest Azjatką?”. Ma azjatyckie korzenie i podwójne obywatelstwo, jej matka jest Tajką. W zeszłe lato poleciała do Tajlandii po długiej przerwie i od razu z narzeczonym. Przedstawiła babci Sławosza (po tajsku). Może wróci tu na emeryturę?

Oboje są z tzw. dobrych domów, wynieśli z nich spory kapitał (kulturowy i finansowy). Rodzice Aleksandry zajmują się głównie biznesem (co budzi kontrowersje – o czym dalej). Piotr Uznański, ojciec Sławosza, wiele lat prowadził galerię sztuki przy Piotrkowskiej. „Dziennikowi Łódzkiemu” opowiadał, że syn od dziecka budował różne „ustrojstwa”. Mikołaj, młodszy brat Sławosza, studiował stosunki międzynarodowe na Uniwersytecie Łódzkim. Wspólnie we trzech chodzili po górach, chociaż Sławosz chciał ciągle wyżej – najpierw były Alpy, potem Himalaje, wreszcie kosmos.

Maja Marquardt-Uznańska, mama, też zajmuje się sztuką, rzadko się publicznie wypowiada. „»Trzymaj się Sławoszu!« albo »Dbaj o siebie!« – to zawsze mu mówiłam. Nie jestem zwolenniczką patetycznych pożegnań... Choć przyznam się, że trochę w domu popłakuję – opowiadała portalowi TuOława. – Obiecałam sobie, że lepiej w domu. Tam, przy nim, już nie będę płakać. Ostatnią rzeczą, której Sławosz potrzebuje, to płacząca matka”. Bo Sławosz jest wrażliwcem. Maja Marquardt-Uznańska: „Zapytano go [podczas testów psychologicznych], co by zrobił, gdyby musiał zostawić kolegę w przestrzeni kosmicznej. Powiedział, że nie jest na to gotowy. Że sprawdziliby wszystkie możliwości, żeby pomóc. No ale jakoś go zakwalifikowali, mimo tej jego wrażliwości”.

Oboje z Aleksandrą są solidnie wykształceni. On kończył studia na Politechnice Łódzkiej i Université de Nantes we Francji, doktorat pisał na Université d'Aix-Marseille, jest inżynierem, ma dyplomy z wyróżnieniem, biegle zna angielski i francuski. Ona studiowała w London School of Economics i na Oxfordzie, jest politolożką, pracowała humanitarnie na rzecz uchodźców m.in. na wyspie Lesbos, w Dunkierce i Calais, była w Jemenie podczas pandemii Covid-19, a wcześniej epidemii cholery. Współpracowała z PAH i z Janiną Ochojską, którą wspomagała w social mediach

w kampanii przed wyborami w 2019 r. Pracowała też przy ewakuacji ukraińskich dzieci po wybuchu wojny w 2022 r. W Łodzi jest pełnomocniczką Hanny Zdanowskiej ds. zaangażowania społecznego, przed wyborami 2023 została ambasadorką akcji pro-frekwencyjnej „Odważysz się?”. Jej twarz była wszędzie: i na billboardach, i w spotach, m.in. u Radosława Sikorskiego (śmiały się z rosyjskich czołgów).

Wojtek Kardys, specjalista od mediów społecznościowych, ocenił, że kampanię poprowadziła wzorcowo. Skrytykował tylko wyuczone pozy – podziękowała za feedback. Można odnieść wrażenie, że oboje ze Sławoszem wytyczyli sobie ścieżki kariery dość wcześniej i konsekwentnie nimi szli – on w kosmos, ona w świat polityki. Ukończony przez Aleksandrę oxfordzki The Blavatnik School of Government kształci przyszłych liderów i liderki, uczy rządzić. Sławosz od dziecka w urodziny słyszał: „szczęśliwego Dnia Kosmonautów”. Zainteresowania mają odmienne, ale zbliżone temperamenty. Aleksandra 12 lat spędziła za granicą, Sławosz 20. – *Oboje w dosyć wczesnym wieku wyruszyliśmy jak najdalej od domu, jak tylko się dało, żeby szukać siebie i mierzyć się ze światem. Jesteśmy też oboje bardzo prywatni. Dopiero zobowiązania wypchnęły nas w świat publiczny* – mówi Uznańska-Wiśniewska.

Do ojczyzny wrócili z poczuciem misji i wrażeniem, że moment jest dziejowy. – *Ja czułam, że jeśli nasze pokolenie się teraz nie zaangażuje, to obudzimy się za parę lat w faszystującym kraju.*

Nigdy przedtem nie pracowała nawet w Polsce i po polsku. Gdy Donald Tusk ogłaszał w sierpniu 2023 r. kandydatów KO, którzy mieli być lokomotywami kampanii i pociągnąć demokratów do zwycięstwa, Aleksandra stała na scenie tuż za nim. To miała być „świeża twarz” polskiej polityki i „nowa gwiazda” nieco odmłodzonej ekipy ówczesnej opozycji. Media pisały, że „skradła show”, choć gwoździami w programie mieli być m.in. Apoloniusz Tajner, Bogusław Wołoszański, Adam Bodnar czy Michał Kołodziejczak. Na prawicy zaczęło się więc prędko szukanie brudów, zarzucano mało znanej 29-latce, że jest produktem marketingowym z wymyślonym życiorysem (podobnie jak dziś „aranżowany” związek ze Sławoszem). Wypominano, że urodę ma po mamie, a majątek po ojcu.

Ciszej, ale narzekała też druga strona. – *Łódzka Platforma Obywatelska Oli nie lubi. Przyszła znikąd, pewnie z walizką pieniędzy, i wskoczyła z dnia na dzień na piąte miejsce na liście wyborczej* – opowiada osoba zorientowana w łódzkich strukturach. – *Zastanawialiśmy się: to tak można? Nie potrzeba wielu lat politycznej pracy u podstaw?*

„Nie finansuję kampanii KO ani na poziomie regionalnym, ani ogólnopolskim. Nie było żadnego »coś za coś«, zapewniał Renatę Kim na łamach „Newsweeka” Radosław Wiśniewski, ojciec Aleksandry, z wykształcenia lekarz, z zawodu... biznesmen, założyciel spółki Redan odpowiedzialnej m.in. za markę modową Top Secret. Stworzył też fundację Happy Kids, która prowadzi rodzinne domy dziecka. To za jej pośrednictwem Aleksandra wspomagała ukraińskie dzieci. Jej ojciec współzakładał oprócz tego spółkę Hotele ADC z ośrodkami wypoczynkowymi. Dziś udziały ma w niej Pien-gaj Wiśniewska, mama Aleksandry.

Przed laty „Wprost” oszacował wartość majątku Wiśniewskiego na 290 mln zł. A jak wygląda stan konta córki? Według oświadczenia majątkowego, które jako posłanka musi regularnie składać, ma ok. 256 tys. zł i 700 dol. oszczędności (w 2023 r. to było ok. 386 tys. zł i ponad 2 tys. dol.). Do tego mieszkanie (132,88 m kw. warte 1,3 mln zł) i własnościowe spółdzielcze prawo do jeszcze



Kadry z Instagrama, z profili Aleksandry i Sławosza. Od lewej: zaręczyny w Teksasie, ślub w Łodzi i odliczanie ostatnich godzin do startu.

jednego lokalu (52,77 m kw.). W rejestrze wpłat na partię (PO) Aleksandra figuruje – z dwoma przelewami: jeden na kwotę 20 tys. zł, drugi 1 tys., oba z września 2023 r.

„To jest jedna z najbardziej fantastycznych dziewczyn, jakie poznałam. I myślę, że ten atak na nią wynika po części z zazdrości. Bo ona tak wiele osiągnęła w tak młodym wieku. I to wcale nie przy pomocy tatusia, tylko sama”, mówiła Renacie Kim Janina Ochojska.

Cień tamtych awantur widać i dziś, to łyżka (liofilizowanego?) dziegciu w tej kosmicznej opowieści. Cięży ojcowski bagaż, a Sławosz obrywa rykoszetem, w kręgach sympatyków partii Razem nazywani „zięciem dewelopera”, który trwoni w kosmosie publiczne pieniądze. „Jego żona już wielokrotnie zaznaczyła się na kartach historii – pisał złośliwie Dawid Wildstein na łamach „Gazety Polskiej”. – Jeśli wierzyć jej samej, zaprowadziła pokój na Bliskim Wschodzie oraz ratowała setki uchodźców tonących w lodowatej wodzie podczas burzy na morzu”.

Jedni piszą, że Aleksandra ogrzewa się w blasku męża i promuje przy okazji sama siebie, drudzy – że przykładowie wspiera Sławosza. Raz Uznańscy-Wiśniewscy są „wspaniałymi przedstawicielami Polski na arenie kosmicznej”, innym razem atencjuszami. Tu nie ma nic pomiędzy. – *Jeżeli nie opowiemy dobrze tej historii, to człowieka, który odniósł sukces, bardzo łatwo będzie zamienić w kogoś, kto wykorzystał pieniądze publiczne albo zrealizował po prostu swoje marzenia* – ostrzega Tomasz Rożek. – *Zaraz ktoś zapyta: a co my z tego mamy?*

Zejdźmy na Ziemię

Wróćmy więc na Ziemię i do potrzebnej Polsce opowieści. Poza atrakcyjnymi dla mas wątkami love story, power couple i tropieniem rozmaitych sensacji i skandali istotne – w zasadzie najważniejsze – jest ujawnienie przy okazji zapotrzebowanie na autorytet, nowoczesny role model naukowca, utalentowanego człowieka, który coś sobie zamierzył i to osiągnął, wykonuje fascynującą, ważną pracę, inspiruje młodzież itd. Młodzi marzą, by zostać influencerami. Czemu by nie astronautami?

Jeden Sławosz tu nie wystarczy, nawet z żoną do spółki. – *Jednym z najważniejszych osiągnięć programu Apollo było w istocie wytworzenie całego pokolenia inżynierów, naukowców i odkrywców*

– przypomina Piotr Rzymski, profesor Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu, biolog środowiskowy i medyczny, współautor badań dotyczących eksploracji Marsa. – *To z takich inspiracji rodzą się wynalazcy, wizjonerzy, ludzie o nieszablonowym spojrzeniu na rzeczywistość i naukowcy, których paliwem jest pasja.*

Polska śledzi postępy kosmicznej misji i czeka akurat na wyniki matur. Spłyną 8 lipca. Właśnie przetacza się przez sieć burzliwa dyskusja o obowiązkowej maturze z matematyki, która grzebie marzenia o studiach, bo młodzi albo ją oblewają, albo zdają na styk. Omawialiśmy na łamach POLITYKI (nr 4) wyniki badania Eurobarometru, które obnażyło potężne luki w wiedzy ogólnej dorosłych Polek i Polaków. Resort edukacji namyśla się nad połączeniem w jeden blok przedmiotów przyrodniczych w szkołach podstawowych. Do 2031 r. na egzaminach ósmoklasisty nie będzie zagadnień z biologii, geografii czy chemii, co też sygnalizuje młodzieży, że można sobie tę materię odpuścić.

Sławosz, zagajany przez fanów, opowiada w filmikach, kto może zostać kosmonautą (prawie każdy!), co trzeba studiować, jak wyglądają przygotowania do misji, relacjonuje przebieg badań – fascynacja w narodzie jest. Gdyby misja rozpoczęła się planowo, byłaby szansa opowiadać o niej w szkołach na bieżąco. Ale wystartowała dość niefortunnie tuż przed zakończeniem roku szkolnego. Jak słyszymy, MEN późno wysłał szkołom link do transmisji ze startu rakiety, nie było czasu zorganizować pokazów, rzutników, sal gimnastycznych itd. Na korytarzach hulał wiatr.

– *Wątek „inspiracyjny” jest dla mnie dużo ważniejszy niż czysto badawczy* – mówi Tomasz Rożek. – *Cała masa badań pokazuje, że dobrze opowiedziana i „ograna”, w dobrym tego słowa znaczeniu, misja kosmiczna wspiera zainteresowanie naukami ścisłymi albo biologicznymi. Sławosz już zrobił wszystko, co mógł, teraz nas, na Ziemi, czeka ciężka praca.*

Sprawy samego kosmosu leżą tymczasem w kompetencjach kilku ministerstw, co też nie sprzyja wyklarowaniu spójnej, jasnej wizji – co my tu chcemy osiągnąć? Po co? Przecież nie chodzi tylko o ładne obrazki. Emocja szybko zgaśnie, Małysz miał łatwiej, bo latał co roku. Projekt „Uznańscy-Wiśniewscy 2025” też powinien mieć na Ziemi jakiś ciąg dalszy.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Bunt samców beta

Radykalizacja młodego pokolenia mężczyzn stała się faktem. Także politycznym, co pokazały wyniki ostatnich wyborów. Frustracja, złość, strajk, rebelia... Skąd to się wzięło?

JOANNA PODGÓRSKA

Strajk kobiet to były nie tylko wielotysięczne demonstracje i hasła. W głębszym wymiarze to zjawisko polegające na odmowie macierzyństwa w świecie, który kobiety postrzegają jako opresyjny. Strajk mężczyzn (pojęcie spopularyzowała dr Helen Smith, znana psycholożka i blogerka w książce „Men On Strike...”, wydanej w 2013 r.) początkowo polegał na wycofaniu się z życia społecznego do internetowych baniek manosfery – sieci nieformalnych blogów, forów, podcastów, w których wylewają swoją frustrację, gniew i poczucie upokorzenia. Można powiedzieć, że był to rodzaj psychoterapii, który w pewnym momencie przerodził się w polityczną ultrakonserwatywną rebelię. Z marginesu zaczęła się ona przelewać do centrum.

Nie potrafią odnaleźć się w nowym świecie, a ten z tradycyjnym podziałem ról

płciowych, dający mężczyznom przewagę z urodzenia, zniknął. Utracili dawny prestiż i przywileje. Społeczeństwa zachodnie uległy takim przeobrażeniom, że to, co kiedyś zapewniało im status, przestało się liczyć. Dr hab. Agnieszka Graff, pisarka i publicystka feministyczna, która przed kilkoma laty badała amerykańską manosferę, jako jej źródło wskazuje kryzys z 2008 r., kiedy recesja uderzyła przede wszystkim w męskie branże, takie jak przemysł czy budownictwo.

Manoizm vs feminizm

Na to nakładały się przemiany społeczne, związane choćby z ruchem #MeToo, postrzeganiem przemocy seksualnej. Dla części mężczyzn świat, w którym – mówiąc trywialnie – nie wypada rechotać przy seksistowskich żartach, a klepięcie koleżanki w pupę może się skończyć w sądzie, postrzegany jest jako opresyjny. Ale, co najważniejsze, coraz bardziej autonomiczny styl życia młodych kobiet sprawia,

że stały się one niedostępne seksualnie dla – jak sami siebie określają – samców beta. I tu także momentem przełomowym okazuje się 2008 r. To wtedy, według głośnego amerykańskiego badania General Social Survey, zaczęła gwałtownie rosnąć liczba mężczyzn między 18. a 29. rokiem życia deklarujących, że nigdy nie uprawiali seksu. W 2008 r. było to 8 proc., dekadę później już 27 proc. To zjawisko się pogłębia, i to nie tylko w Stanach Zjednoczonych. Także w Polsce. Już nie tylko nawiązanie relacji z kobietą dla wielu młodych mężczyzn stało się problemem. Nawet randka na Tinderze może okazać się misją niemożliwą.

Kiedyś to głównie kobiety narzekały, że są przez mężczyzn traktowane jako obiekt; to one były ofiarami *bodyshamingu*. Dziś po równo obrywają obie strony. Jak pisze Agata Romaniuk w książce „Najgorsze randki świata”, powołując się na niedawno przeprowadzone badania, czynniki fizyczne określające mężczyznę stały się



ważniejsze niż jego status społeczny. Kiedyś niski drobny człowiek sukcesu mógł liczyć na to, że zasoby pozwalające zapewnić kobiecie opiekę wyrównają deficyt barców i mięśni. Dziś, kiedy kobiety z klasy średniej i wyższej radzą sobie same, chcą, by facet na randkę dobrze wyglądał. A im wyższe poczucie własnej atrakcyjności, tym silniejsze oczekiwanie, że mężczyzna będzie przystojny. Ich tinderowe oceny bywają bezlitosne i aplikowane bez znieczulenia: „zrzuc brzuch”, „nie umawiam się z łysymi”, „w takich ciuchach to na bazar”.

Ala przede wszystkim – jak podkreśla Romaniuk – mężczyźni mierzeni są dziś metrówką. Poniżej 170 cm wzrostu szanse na randkę są praktycznie zerowe, a według niepisanej reguły Tindera wzrost należy podać. Wyrok? Mikrus, karzełek, knypek, krasnal. Podczas jednej z opisywanych przez Romaniuk „najgorszych randek świata” mężczyzna zamiast „dzień dobry” usłyszał od kobiety: „wstań”, a gdy wstał: „sorry, ale nie”. I było po randce. Bariera

przed randkowaniem są także męskie lęki, że okażą się nie dość dobrzy. „Nie poszedłem, bo w ostatniej chwili się wystraszyłem. Co ja miałem jej do zaoferowania? Ona była światowa, podróż, dobry zawód, a ja po technikum, na czarno robię. Przecież to by się tak rozjechało” – opowiada jeden z bohaterów „Najgorszych randek świata”.

Manosfera znalazła winnego – feminizm. Jak pisze Agnieszka Graff w eseju „Manosfera, czyli bunt upokorzonych samców”, to po części prawda – rewolucja seksualna, zanik trwałej monogamii i nakładający się na to kryzys ekonomiczny przyniosły najatrakcyjniejszym mężczyznom większy wybór partnerek, a tym na dole hierarchii – celibat. Graff odtwarza logikę manosfery: feminizm sprawił, że zmniejszyła się pula kobiet dostępnych samcom beta, a oni jako mężczyźni potrzebują seksu i mają do niego prawo, ergo – samce beta są ofiarami emancypacji kobiet. To poczucie straty jest szczere i niebezpieczne. „Groteskowe w tej opowieści jest tylko założenie, że mężczyźni mają prawo do seksu i oczekiwanie, że społeczeństwo pozbawi kobiety autonomii, by mogły to prawo realizować” – pisze Graff. A i takie pomysły w najbardziej radykalnych zakątkach manosfery się pojawiają, np. tworzenia dla kobiet przymusowych obozów pracy seksualnej.

Artyści i incele

Jednym z kluczowych pojęć manosfery jest *red pill* (nawiązanie do filmu „Matrix”), czyli czerwona pigułka, po której zażyciu opada zasłona politycznej poprawności i objawia się prawda – opowieści o patriarcalnym systemie wykorzystującym kobiety to jedynie kłamliwe narzędzie, które pozwala, by światem rządził feminizm. Tak naprawdę wykluczeni i uciskani są mężczyźni. Użytkownicy manosfery przyjmują różne strategie. Są wśród nich artyści podryw (pick up artists), którzy uczą, jak manipulować kobietami; przepłacają komplementy upokarzającymi tekstami. Przekonują, że jeśli potraktuje się kobietę przedmiotowo, a jednocześnie zainwestuje w samorozwój, odpowiednia partnerka prędzej czy później się trafi. Inni, tzw. MGTOW (men going their own way, czyli mężczyźni idący własną drogą), uznają kobiety za grupę tak zepsutą, że związki z nimi należy sobie darować, wyemancypować się i stać samowystarczalnymi. Są wreszcie incele (involuntary celibates – niedobrowolni celibatariusze),

za których sprawą manosfera trafiła w centrum publicznej uwagi. W 2014 r. jeden z nich zamordował sześć osób i popełnił samobójstwo. W nagraniu ujawnił, że motywem było niechciane dziewictwo. Podobnych zamachów było więcej. W tym segmencie manosfery agresja wobec kobiet, fantazje o przemocach wobec nich i zbiorowych gwałtach to chleb powszedni. Na drugim biegunie są normiki, czyli tzw. zwykli faceci, którzy podzielają antyfeministyczne i mizoginiczne idee.

Strajk mężczyzn, ich wycofanie się z rzeczywistości do świata pełnych przemocy komputerowych gier i internetowych bańek, w których buzuje – często napędzana przez trolle – nienawiść wobec kobiet przeplatana się z najbardziej obłąkanymi teoriami spiskowymi, pogłębia ich izolację. Upośledza ich zdolność do tworzenia związków i funkcjonowania w społeczeństwie. Oni po prostu „nie umieją w relacje”.

W pewnym momencie jednak bańka pękła i się rozlała. Manosfera została upolityczniona. Populiści dostrzegali jej potencjał i go wykorzystali.

– W Stanach Zjednoczonych zrobił to Donald Trump. Incele zobaczyli w nim samca alfa, który robi porządek z całym tym feminizmem i genderem. Męska „krzywdą” się upolityczniła; stała się paliwem, które umożliwia mobilizację młodych mężczyzn wokół odzyskiwania rzekomo należnego im miejsca – mówi Agnieszka Graff.

Według niej istotną rolę odegrała w tym kontrkulturowa atmosfera cechująca manosferę, która przyciąga młodych. Specyficzny język i poczucie humoru, estetyka postironii, beki i wygłup obliczonego na wzbudzenie żenady, wiele znaków, memów. – Gdy to ludzi połączy, można ich potem radykalizować na swoją modłę. Można powiedzieć, że skrajna prawica zastosowała strategię Antonia Gramsciego. Należy ustawić przeciwnika politycznego w roli hegemonu, a siebie w roli zbuntowanej przeciw establishmentowi kontrkultury i infekować nią główny nurt debaty. W tej logice, skoro feminizm jest establishmentem, to oni są buntem.

Prawo do zemsty

Płeć stała się kluczowym elementem polityki skrajnej prawicy na całym świecie. Wśród mężczyzn w wieku 18–29 lat Donald Trump miał 14 pkt przewagi nad Kamalą Harris. W Wielkiej Brytanii o wiele częściej niż młode kobiety głosowali na partię Nigela Farage’a, w Niemczech na AfD, w Hiszpanii ►

► na narodowo-konserwatywną partię Vox. W Polsce to elektorat Konfederacji.

W manosferze świetnie rezonują przekazy o obronie tradycyjnej rodziny i tradycyjnym podziale ról społecznych, dwóch płciach. Stąd klerykalny przechył w tym środowisku. Nie wynika on z wiary czy szczególnego zaangażowania religijnego. Odsetek praktykujących regularnie wyborców Konfederacji jest taki sam jak wyborców KO; oba niższe od średniej krajowej. Ale w przekazie Kościoła – instytucji na wskroś patriarchalnej – brzmi ta sama tęsknota za tradycyjnym światem ról społecznych i emancypacyjne lęki.

Podszyty agresją lęk budzą także imigranci. „Jeśli chodzi o mężczyzn – widzą oni w przybyszach z krajów Trzeciego Świata konkurentów przede wszystkim na rynku pracy. I słusznie, bo ogromna część z nowo przybyłych rzeczywiście może »zabrać« jakiemuś Polakowi niskopłatną pracę w myjni samochodowej czy na zmywaku. Pogarda, jaką odczuwają wobec tych lęków elity, jest wytłumaczalna tym, że one same nie mają takich problemów” – napisał w analizie „To idzie młodość” prof. Marek Migalski. „Jak ostatnio zażartowałem na pewnej politologicznej konferencji – my nie boimy się imigrantów, bo na tych łódkach płynących do Europy jest stosunkowo mało profesorów politologii i specjalistów od gender-studies. Natomiast są tysiące potencjalnych kierowców ubera, murarzy, roznosiciele pizzy”. Imigranci budzą obawy także w kontekście rywalizacji na rynku matrymonialnym: przyjadą i zabiorą „nasze kobiety”; nawet siłą.

Wszystko to napędza ultraprawicowe retropie, jak prof. Zygmunt Bauman określił tęsknotę za bezpieczną, acz wyidealizowaną przeszłością. Wołanie o powrót patriarchy słychać choćby w wypowiedziach Jacka Hogi, przyjaciela i doradcy Sławomira Mentzena, ojca 11 dzieci, który twierdzi, że mężczyzna powinien być głową rodziny, a żona powinna słuchać męża. „W ten sposób zostali stworzeni. Jeśli żona jest w domu, to zależy finansowo od męża. Jeśli zależy finansowo od męża, to pokornieje” – przekonuje, dodając, że „Pierwsze pół godziny po powrocie męża z pracy do domu jest święte”.

Wtórzuje mu Roman Warszawski, jeden ze znanych przedstawicieli polskiej manosfery i autor książki „Red pill. Samiec alfa musi wrócić”. Ubolewa, że dziś praktycznie nie ma kobiet, które nie są



feministkami, a z jego obserwacji wynika, że „Jesteśmy gatunkiem patriarchalnym. Patriarchat jest warunkiem koniecznym, aby nasze społeczeństwo jakoś funkcjonowało”. Jak przywrócić patriarchat? Tego konkretnie nie wiadomo. Ale – jak przekazuje Agnieszka Graff – *Gdy uruchomi się w ludziach poczucie krzywdy, wcale nie trzeba obiecywać im racjonalnych sposobów na jej zażegnanie. Wystarczy im obiecać, że będą mogli się zemścić.*

I wydaje się, że ten czynnik zagrał w ostatnich wyborach. Młodych z manosfery polityka nie interesowała, bo rozgrywała się w przestrzeniach tradycyjnych. Ale gdy przebiła się do ich bańki i przekonała, że mogą mieć na nią realny wpływ, zaczęła budzić emocje. Media społecznościowe działają jak pogłosowe komory. Efektem był masowy udział w wyborach młodych mężczyzn, którzy dotychczas omijali urny. Tym razem uwierzyli, że to tam właśnie „wywraca się stół” i można ukarać zniechęcony establishment.

Dziewczyny odjechały

Radykalizm młodych nie jest niczym nowym. I nie dotyczy jedynie prawej strony sceny politycznej. Wśród młodych lewicowych wyborców w pierwszej turze znacząco więcej głosów zebrał Adrian Zandberg niż Magdalena Biejat. Młodzi w ciągu tygodnia potrafią przeistoczyć się z antyklerykalnego anarchisty w katolickiego naziola. Jak pisał niedawno w POLITYCE Marcin Ryszkiewicz, ewolucjonista i popularyzator nauki, człowiek to jedyny gatunek, u którego osiągnięcie dojrzałości

płciowej nie oznacza osiągnięcia dorosłości. Dopiero później dojrzewamy społecznie. I te kilka lat to groźny okres, zwłaszcza dla młodych mężczyzn, bo wiąże się z zachowaniami ryzykownymi czy awanturniczymi. Współcześnie nakłada się na to kryzys męskości, upadek mitu samca zdobywcy i niechciany celibat. Już od pewnego czasu pojawiają się ostrzeżenia, że jeśli poczucie alienacji wśród młodych mężczyzn będzie się pogłębiać, może to spowodować poważne napięcia społeczne i polityczne perturbacje. Czują się postrzegani jako źródło problemów społecznych, zwracają się ku skrajnej prawicy, która obiecuje im zwrot dawnej premii za męskość, symboliczne dowartościowanie.

„W jaki sposób mężczyźni mają statystycznie stawać się bardziej liberalni, jeżeli coraz częściej są gorzej od kobiet wykształceni, mniej mobilni, co za tym idzie, częściej pozostają w domu rodzinnym, mieszkają w małym mieście i nie potrafią znaleźć życiowej partnerki, bo ich tam po prostu nie ma?” – pisze w eseju „Inceli są szkodliwi, ale nie wzięli się znikąd” Bartosz Brzyski, związany niegdyś z Kлубem Jagiellońskim.

Faktycznie, twarde liczby pokazują, że dziewczyny chłopakom odjechały. Uciekły w edukację, karierę, do wielkich miast. Co piąty mieszkaniec polskiej wsi ma kłopot ze znalezieniem partnerki. A w Warszawie mieszka 15 proc. więcej młodych kobiet niż mężczyzn. A wielkim mieście w gronie znajomych łatwiej znosić singielstwo, niż tkwić pod sklepem w wyludniającej się wsi. 20 proc. więcej

dziewczyn niż chłopców zdaje maturę. Coroku studia wyższe kończy 70 proc. więcej kobiet. To one zdecydowanie częściej doksztalcają się, podczas gdy aktywność edukacyjna młodych mężczyzn spada. Według badań czytelnictwa jedną z najsilniejszych zmiennych, która przekłada się na liczbę przeczytanych książek – poza wykształceniem – jest płeć. To wyznacza pozycję na rynku pracy, bo branża typowo „męskie”, wymagająca siły, od lat się zwijają, lub mężczyzn zastępują roboty. A socjologia dowodzi, że poczucie społecznej bezradności powoduje wzrost męskiej agresywności.

Według Bartosza Brzyskiego, który powołuje się na raport „Przemilczane nierówności. O problemach mężczyzn w Polsce” autorstwa Michała Gulczyńskiego, „szklany sufit” i dyskryminacja kobiet dotyczą przede wszystkim góry hierarchii społecznej (zarządy spółek, władze wyższych uczelni, polityka). A na niższych poziomach nierówności coraz częściej dotyczą mężczyzn. I jest to według niego problem strukturalny.

Emancypacja mężczyzn

Dyskurs dyskryminacyjny to kolejna – po strategii Gramsciego – rzecz, którą prawica zapożyczyła od lewicy; przekonanie, że politycznie prawomocne i kulturowo zrozumiałe są roszczenia oparte na przynależności do dyskryminowanej grupy. W Polsce działa Stowarzyszenie na rzecz Mężczyzn i Chłopców (w jego władzach jest autor wspomnianego raportu Michał Gulczyński), które w tym

roku po raz drugi zorganizowało Kongres Mężczyzn. Ma dość szeroki wachlarz postulatów, poczynawszy od zrównania wieku emerytalnego, poprzez apele o wsparcie edukacyjne chłopców (zwłaszcza w dziedzinach medycznych, bo dziś tam jedynie co czwarty student to mężczyzna), a kończąc na zaprzestaniu dyskryminacji mężczyzn pracujących w drużynach konduktorskich PKP w kwestii bezpłatnych posiłków profilaktycznych.

O ile apele o wspieranie chłopców w edukacji czy zachęcanie ich do aktywnego studiowania mają sens (może warto, by męskie stowarzyszenia zaczęły takie programy tworzyć i wcielać w życie), o tyle licytacja na to, kto jest ofiarą większej dyskryminacji – już nie za bardzo. W raporcie Gulczyńskiego czytamy, że mężczyźni obarczeni są większym ryzykiem bezdomności (80 proc.), popadnięcia w nałogi (80 proc. spośród pijących szkodliwie), uszczerbku na zdrowiu w czasie pracy (62 proc.), przedwczesnej śmierci (85 proc.). Ale nie ma wzmianki o tym, że to druga strona patriarchy i związanych z nim stereotypów płciowych tworzących mieszaninę groźną dla samych mężczyzn. Niestety oczekiwanie, że za nową kobiecością pojawi się nowa wyemancypowana męskość, się nie spełniło; przynajmniej nie na masową skalę.

– *Dziś nasza spolaryzowana kultura nie ma młodym mężczyznom wiele do zaoferowania. W ramach wizji równościowej nie powstał przekonujący model męskości – opiekuńczej, wrażliwej, ale też silnej. Bardzo nad tym boleję; także jako matka nastolatka* – podsumowuje Graff.

Ponieważ nikt się specjalnie nie kwapi, by pomóc młodym w budowaniu własnej męskości, sięgają po najbardziej prymitywne recepty: nacjonalizm, militarne ciągoty, homofobię. Angażują się w „maskarady męskości”, takie jak kibolskie ustawki czy marsze niepodległości. Podczas jednego z nich pojawił się transparent z hasłem „Chcemy meszczyzn a nie ciot”. Krzysztof Pacewicz, filozof i publicysta, dostrzegł w nim wówczas coś więcej niż błąd ortograficzny – model męskości, w którym młodzi dorastali. Czują się ograbieni z pozycji społecznej, bo wychowano ich na przecięciu trzech patriarchalnych kultur, które połączyły się, tworząc folwarczny model nacjonalisty – kowboja – biznesmena.

Zamiast nowej męskości mamy ideał retro – męskości niekiedy wręcz karykaturalnej: napakowanej na siłowni (to przestrzenie, gdzie kolportowane są przekazy z manosfery), pozującej na wojownika – niechby i kibola, podszytej agresywną fizyczną siłą. Tylko że to poczucie męskości w istocie jest kruche. Trzeba ją historycznie wręcz udowadniać. Wszystko, co podważa kult samca alfa, budzi lęk i niechęć. Stąd nienawiść manosfery do środowiska LGBT. W obraz świata manosfery, boksujący, pozuający do zdjęć na siłowni Karol Nawrocki, ze swoją kibolską przeszłością wpisał się idealnie. „Tęczowy Rafał” był nie do zaakceptowania.

JOANNA PODGÓRSKA

Raperzy, porno, przemoc seksualna
– o antyfeministycznych trendach w kulturze s. 86

REKLAMA

From **RENOIR**



MONET
GAUGUIN
DEGAS
PISSARRO
MUCHA
NOLDE
BONNARD

To **CHAGALL**



PRAHA • MANES.CZ • 8 JULY 2025 – 2 SEPTEMBER 2025

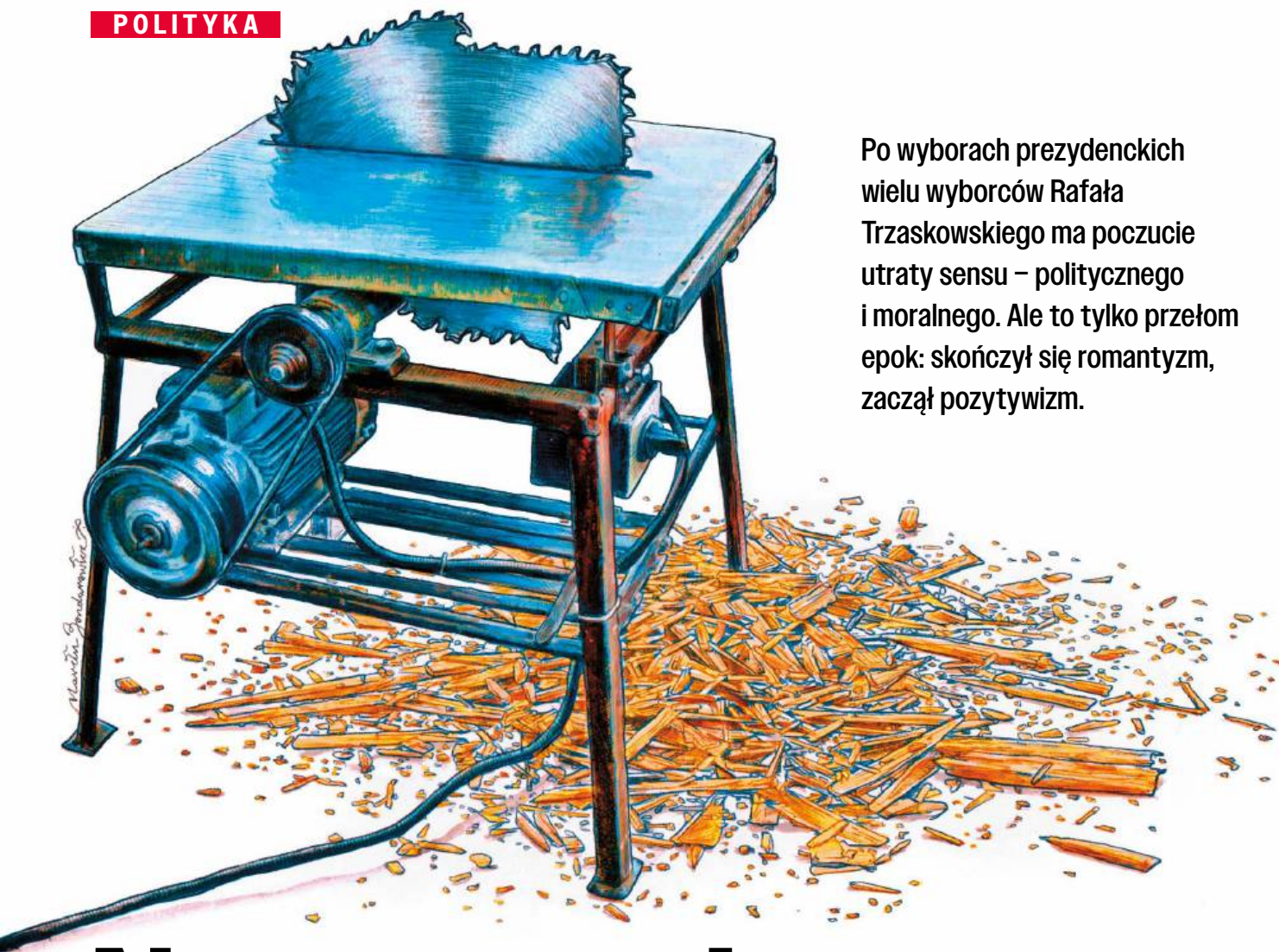


ARTBROKERS.EU

IN PARTNERSHIP



WARSZAWSKIDOMAUKCYJNY.PL



ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

Po wyborach prezydenckich wielu wyborców Rafała Trzaskowskiego ma poczucie utraty sensu – politycznego i moralnego. Ale to tylko przełom epok: skończył się romantyzm, zaczął pozytywizm.

Nowa epoka poczerwcową

MARIUSZ JANICKI

Trauma powyborcza została dodatkowo przedłużona przez nadzieje na „powtórne przeliczenie głosów”. Oczekiwanie, że PKW poda wreszcie prawdziwe, skorygowane liczbowo wyniki wyborów, było zrozumiałe. Ale doszła inna silna emocja, czyli przekonanie części elektoratu, że dokonano masowego fałszerstwa i możliwe jest jeszcze zupełne odwrócenie rezultatu, na co nigdy nie było wystarczająco mocnych przesłanek, bo różnica – niby „na żyłetki” – była jednak zbyt duża. Miało to również ten skutek, że odwróciło uwagę od istotnych przyczyn porażki Rafała Trzaskowskiego, także od udziału w tym wszystkim

Donalda Tuska, który sprytnie schował się za tymi wątpliwościami, na przemian podkręcał i tonował nastroje, i tym samym zakończył wewnętrzne rozliczenia zanim się jeszcze zaczęły.

Sprawa liczenia głosów opóźnia też mentalne przestawienie się obozu demokratycznego z porażki na nowe zadania i przejście do kolejnego politycznego etapu, który zdecyduje o wyniku wyborów parlamentarnych. To ogólne zamieszanie jest widoczne w ostatnim sondażu IBRiS, gdzie KO zanotowała istotny spadek o 7 pkt proc. (do ok. 26 proc., ma 4 pkt proc. mniej od PiS), a PSL i Polska 2050, po rozpadzie Trzeciej Drogi, oddzielnie spadły poniżej progu wyborczego, co na łamach POLITYKI niedawno przewidywaliśmy. W efekcie prawica w tym badaniu – przy ponad 23 proc. łącznie Mentzena i Brauna – zdobywa ok. 280 mandatów. Byłaby

więc zdolna odrzucać weta Nawrockiego, gdyby ten się zerwał ze smyczy, a do większości konstytucyjnej brakuje już tylko 27-sejmowych głosów. To może wynik chwilowy, ale jest dla liberalnego obozu czerwonym alarmem, aby wrócić do rzeczywistości.

Interpretacje zauważalne w socialowych rozważaniach są dwie. Pierwsza: że słaby sondażowy wynik Platformy to skutek odpuszczenia przez premiera i polityków tej partii kwestii przeliczenia głosów, tak ważnej dla twardego elektoratu. I druga: że wręcz przeciwnie; w tej wersji to działania Romana Giertycha i tych, którzy nie potrafili się pogodzić z przegraną, odstraszyły co bardziej umiarkowanych wyborców. Tak czy inaczej kryzys jest znaczny i bez wdrożenia programu ratunkowego może się powiększać.

Przechodzenie między epokami, także politycznymi, jest trudne. Zresztą wydaje się, że politycy przegranego obozu znacznie szybciej doszli do siebie niż wyborcy. Widać zatem, że votum zaufania, rzecznik rządu, rekonstrukcja gabinetu może i mają jakieś znaczenie, ale zupełnie kluczowe jest przywrócenie poczucia sensu i morale w elektoracie. Bo właśnie tu nastąpiła największa dewastacja.

Przerwana opowieść o naprawie systemu. Od 2015 r., kiedy PiS przejął władzę, trwał okres niejako heroiczny: obóz demokratyczny zmagał się z autokratycznym populizmem, przeżywał porażki i upokorzenia związane z ponownym wyborem i PiS, i Dudy na kolejne kadencje w 2019 i 2020 r. Jednak była w tym jakaś jedna logiczna linia: oto nastąpiła awaria demokracji, może się przedłużyć, ale w końcu nadejdzie przełom i ustroj się naprawi, a złoczyńców ukarze. Potem już znowu nastanie trwała liberalna demokracja, a czas rządów PiS będzie tylko koszmarnym wspomnieniem.

Dlatego naturalne były protesty, demonstracje, łańcuchy świateł, cały obywatelski opór, który z różnym natężeniem trwał przez ostatnią dekadę. Najpierw powrót Tuska w 2021 r., a potem przełom 15 października 2023 r. zdawały się idealnie pasować do demokratycznego eposu, w końcu niezłomna walka doczekała się szczęśliwego spełnienia, dobro zwyciężyło zło, teraz trzeba naprawiać system, jak się da, a po wyborach prezydenckich już elegancko powrócić do konstytucyjnego ładu. Nadal wszystko było logiczne i poukładane.

Wybór Karola Nawrockiego na prezydenta przeciął i wywrócił tę opowieść; zdaniem wielu powstała pustka ideowa i intelektualna. Okazało się, że partia Kaczyńskiego i cała nowa prawica to jednak nie jest chwilowa awaria systemu, a siły demokratyczne nie mają naturalnej przewagi, choć betonowa prawica też nie ma trwałej, zapewnionej większości.

Frustracja z powodu przerwanej demokratycznej odnowy jest zrozumiała, ale przecież nie nastąpił „koniec historii” i nadal nic nie jest przesądzone. To radykalna prawica chce ugruntować wrażenie, że już „wszystko pozamiatane”. To ona teraz tworzy własną opowieść o „antypolskim incydencie” w postaci przerwy na rządy Tuska, po których powróci prawicowa władza, bo przecież ludzie tak myślą. Ale najwyraźniej nie ma jednego wielkiego finału, i to z obu perspektyw – liberalnej i prawicowej.

To oczywiste, że liberalna demokracja – reguły praworządności, niezależne instytucje, ochrona mniejszości, uczestnictwo w zjednoczonej Europie – to wartości historycznie i etycznie przeważające nad postulatami radykalizującej się populistycznej prawicy, coraz częściej sięgającej po nacjonalizm, rasizm, religijny fundamentalizm i rozwiązania autorytarne. Nie ma

tu mowy o symetryzmie i wyniki ostatnich wyborów niczego w tej mierze nie zmieniają. Jednak walka o ustrojowe wartości jawi się teraz jako permanentny, długotrwały proces z sukcesami i upadkami, a nie jednorazowy, przesądzający raz na lata wysiłek. Dlatego warto sobie zdać sprawę z kilku czynników, jakie teraz będą kształtować nową epokę.

Trwa powyborcza wojna psychologiczna. Wybory prezydenckie są w pewien sposób okrutne, bo zwycięzca bierze wszystko, a pokonany zostaje z niczym i wpada wraz z wyborcami w psychiczną pustkę. Tym się różnią od wyborów parlamentarnych, gdzie wyniki rozkładają się w miarę proporcjonalnie według reguły D'Hondta i rzecz się rozgrywa w liczbie mandatów, co rozmasowuje porażkę. Ta zero-jedynkowość prezydenckiej elekcji powoduje, że trauma przegranego elektoratu jest szczególnie dotkliwa. A w końcu przewaga Nawrockiego nad Trzaskowskim zamknęła się w niecałych 2 pkt proc. Wystarczyłoby, aby w trzech zachodnich województwach frekwencja była wyższa o 2–3 pkt proc. (a rezerwy tam były), aby się dzisiaj mówiło o wielkim triumfie sił demokratycznych.

PiS i reszta prawicy od razu wykorzystali ten zero-jedynkowy efekt do demobilizacji przeciwnika, głosząc „miażdżące” zwycięstwo konserwatyzmu i unieważnienie innych poglądów. A przecież od wygranej Nawrockiego Polska nie stała się nagle cała populistyczno-prawicowa, wciąż jest mniej więcej pół na pół. Nadal istnieje wielomilionowa baza tych, którzy popierają ideę państwa praworządnego, tolerancyjnego, respektującego europejskie standardy.

Kaczyński, Nawrocki, Mentzen czy Braun chcą stworzyć wrażenie kompletnego i ostatecznego bankructwa liberalnej wizji, mimo że realna władza wciąż pozostaje w rękach obozu demokratycznego. Ale ma powstać wrażenie, że już prawie rządzi PiS, wszak politycy tej partii grożą i ostrzegają, że to ostatnia szansa, aby uniknąć ich zemsty. Na sobotnim kongresie Jarosław Kaczyński zapowiedział zasadnicze zmiany ustrojowe i prawdziwą, zabetonowaną już na zawsze „praworządność”, a w przypadku takich zapowiedzi można prezesowi PiS wierzyć. Ma to mieć i taki efekt, żeby urzędnicy, funkcjonariusze, prokuratorzy i sędziowie zaczęli się już orientować na PiS i jego przystawki i porzucili służbową lojalność wobec obecnej władzy.

PiS jest przy tym odpowiednio bezczelny i pewny siebie, ale to wciąż dość proste zabiegi marketingowe, tak się to po prostu robi w tej branży. Poddanie się presji populistów, zachwianie w wyznawanych racjach i ideach byłoby oddaniem pola prawicy. Coś takiego nastąpiło w Stanach Zjednoczonych po zwycięstwie Donalda Trumpa, gdzie Kamala Harris także nie przegrała w liczbie głosujących jakoś szczególnie dotkliwie. Ale Demokraci poszli w rozsypkę, biznes się Trumpa przestraszył, uczelnie wyższe i kancelarie prawnicze próbują się dogadać z obecną administracją. Tyle że tam uprawnienia prezydenta są nieporównanie większe, jest on szefem rządu, w Polsce zaś Nawrocki będzie miał tyle kompetencji, ile ma Duda, którym nikt się specjalnie przez ostatnie lata nie przejmował, a rządzi nadal Tusk z koalicjantami.

Dlatego warto dostrzegać, że rozczarowanie i „jęczenie” demokratów jest gorliwie wzmacniane przez sztab PiS, po to aby wzbudzić panikę i rozbroić przeciwnika przed kolejnymi kampaniami. Powstaje zatem pytanie do wyborców obozu antyPiS: czy należy uczestniczyć w tej zaplanowanej na zimno akcji przeciwko obozowi demokratycznemu, wzmacniać przekazy ►

► o „przegrywach”, „końcu Tuska” i całej „koalicji 13 grudnia”? Bywało w dziejach bitew, że wojska wcale nie słabsze od przeciwnika nagle wpadały w panikę i rzucały się do ucieczki. PiS chce wywołać właśnie taki efekt.

Demokracja liberalna weszła na bezwzględny polityczny rynek. Racja ustrojowa i moralna nie zapewniają sukcesu. Prawda sama się nie obroni – do takiego wniosku doszedł zresztą po wyborach sam Tusk. Demokracja liberalna, ze wszystkimi swoimi przewagami nad innymi systemami, zaczęła rywalizować – nie tylko w Polsce – o klientów na równi z populistami. Już nie jest „oczywista i słuszna”. Słabe rządzenie, niedotrzymywanie obietnic, lekceważenie komunikacji z wyborcami mogą nagle zniwelować zalety liberalnego systemu, o czym przekonała się koalicja rządząca i jej kandydaci w wyborach prezydenckich. Trzeba się pogodzić z tym, że specyficzne antywartości autokracji, takie jak kult siły, społeczny darwinizm, narzucany tradycjonalizm czy nacjonalistyczna wsobność, mogą być także atrakcyjne, choćby stał za nimi dość ponury system polityczny. Bo odbiorcy wybierają poszczególne elementy, nie przejmując się całością oferty.

Liberalna demokracja musi być teraz ustrojem plus, praworządnością z dużym dodatkiem, także marketingowym. Najważniejsza jest pewność i wiarygodność głoszonych postulatów, tego najbardziej zabrakło w kampanii Trzaskowskiego. Kandydat KO często kluczył, robił krok do przodu i pół kroku w tył, chciał pozyskać nowe polityczne tereny, ale zniechęcał właśnie tym wykalkulowanym kunktatorstwem. To prawda, że poglądy centrowe czy centro-lewicowe z istoty rzeczy nie są tak wyraziste jak proste przekazy prawicy, jednak przekroczono w kampanii granicę ich rozmycia i banalności.

Tusk na czele przyszłej rządzącej koalicji pokonał PiS w 2023 r., ponieważ był wyrazisty, budował wyborczy przekaz, używając prostych pojęć; powstała legenda twardych, nieustępliwych demokratów, z twardym kodeksem. A teraz to legendy wygrywają wybory, jak ostatnio ta sfabrykowana opowieść o chłopaku z podwórka, który pięściami i sprytem wszedł na salony.

Emigracja wewnętrzna ma polityczne koszty. Po wyborach pojawiło się w mediach społecznościowych wiele deklaracji o absencji w kolejnych wyborach, ograniczeniu aktywności na portalach, kasowaniu subskrypcji gazet, portali itp. Tłumaczono to zmęczeniem, rozczarowaniem, niechęcią do dalszego popierania i angażowania się, bo „już się nawalczyliśmy o demokrację i nic to nie dało”. Tyle że ta walka nigdy się nie kończy. Zwycięstwo Trzaskowskiego też by jej nie zakończyło i nie gwarantowałyby wygranej koalicji w 2027 r. PiS przetrzymał osiem lat rządów Platformy i prezydenturę Komorowskiego, po czym wszedł z futryną do pałacu władzy, a przecież wyborcy tej partii też mogli się wielokrotnie zniechęcić.

Wycofanie się zwolenników obozu demokratycznego z powodu ostatniego niepowodzenia byłoby oddaniem populistom pola walkowerem. Wtedy rzeczywiście prawica urzeczywistni swój plan, którym jest nowa konserwatywna konstytucja. Jeśli na skutek nieuwagi i zniechęcenia demokratycznych środowisk prawica uzyska moment znacznej przewagi, odwrócenie zmian będzie bardzo trudne i może trwać dekady jak na Węgrzech. Zatem w nowych, powyborczych warunkach naprawa ustroju przechodzi z fazy

ofensywy w czas wojny pozycyjnej, gdzie każde kolejne wybory są osobnym starciem. PiS zawsze wystawi karne wojsko, a po drugiej stronie albo pojawi się pospolite ruszenie, albo zostanie w domu. Można znaleźć wiele usprawiedliwień dla własnej politycznej absencji, ale zawsze to będzie wówczas absencja i rezygnacja, która oznacza wpuszczenie do miasta awanturników.

W polityce nic nie jest przesądzone na dwa lata naprzód.

Opozycyjna prawica chce stworzyć przekonanie, że wybory w 2027 r. ma już wygrane i to tylko kwestia odczekania, aż ciała wrogów same do nich przyplyną. Jednak ekstrapolacja dzisiejszych sondaży na październik za dwa lata jest nieuprawniona. Dwa główne ugrupowania, PO i PiS, zachowują elektorat w prawie niezmiennionej postaci od wielu lat, ale już za nimi wiele się dzieje. Trzecia Droga miała już niemal 15 proc., potem 6 proc., a teraz po podziale po ok. 4 proc. Konfederacja niedługo przed wyborami w 2023 r. sięgała 16 proc., a skończyła wówczas na 7 proc. Teraz znowu ma kilkanaście procent, ale ile będzie miała za dwa lata, nie wiadomo. Korona Grzegorza Brauna skoczyła na 5–6 proc., jednak jej wynik w 2027 r. jest zupełnie nieodgadniony.

Niewykluczone, że z konieczności powstanie wyborcza koalicja ze wspólnymi listami wszystkich demokratycznych formacji i będzie to swego rodzaju powtórka z wyborów prezydenckich, z tym że szala może się teraz przechylić w stronę umownego „obozu Trzaskowskiego”.

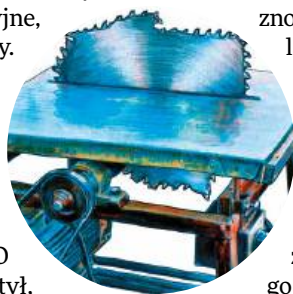
Czas zawziętości i trwałości poglądów. Wynik wyborów, słabe rządy ekipy Tuska czy nietrafiona kampania Trzaskowskiego w niczym nie zmieniają tego, czym jest PiS. Ewentualne nowe rządy partii Kaczyńskiego po 2027 r. różniłyby się od tych w latach 2015–23 tylko tym, że byłyby jeszcze bardziej brutalne, mściwe, nepotyczne, i to nie ulega wątpliwości; zresztą nikt po demokratycznej stronie z tym nie polemizuje.

Najbliższe lata to będzie pojedynek na determinację. Zarówno demokraci, jak i populiści są silni wyłącznie poparciem swoich elektoratów. Kluczowe jest zatem zdanie sobie sprawy, że to zasadnicze ustrojowe starcie weszło w fazę przewlekłą. Recydywa PiS w postaci zwycięstwa Nawrockiego, popartego przez młode pokolenie, jest na to dowodem. Wyborcy poparli Nawrockiego pomimo wszystkich zarzutów i niejasności, jakie się wokół niego pojawiły, bo kandydat PiS był dla nich znakiem prawicowego porządku, a reszta to już były nieistotne detale.

To pomijanie szczegółów na rzecz szerszej wizji czy przekazu jest teraz kluczem do politycznego sukcesu. Dotyczy to zarówno partii, jak i ich elektoratów. Wyborcy PiS wiedzą, jakiego chcą państwa – tradycyjnego, „suwerennego”, antyniemieckiego, przeciwnego Unii, imigrantom i LGBT – i jest im obojętne, kto im takie państwo „dowiezie”. Mogą to być Kaczyński z Nawrockim, z pomocą Mentzena i Brauna, przy wszystkich ich przeszłościach, słabościach i śmiesznościach. Nie wiadomo, czy po drugiej stronie pojawi się podobna zawziętość i wytrwałość wyborców, którzy dojdą do wniosku, że chcą „dostarczenia” ich wizji państwa bez względu, kto to robi i jakie ma przy tym wady.

Jedno wydaje się jasne: kto się obraża, przegrywa. A kampania przed parlamentarnymi wyborami już trwa – od 2 czerwca – i PiS jest już w niej zaawansowany. Zegar tyka, czas się ogarnąć.

MARIUSZ JANICKI





PRZYSUCHA, 28.06.2025

POLITYKA

Jaro – sław

Jarosław Kaczyński, ponownie wybrany w sobotę na prezesa PiS, wyraził się jasno: Nie, proszę państwa, żadne 30 proc. Musimy dążyć do 40 i więcej. Kto mu w tym teraz pomoże?

ANNA DĄBROWSKA

Przy dźwiękach podniosłej balady z filmu „Harriet” i wtórze skandujących jego imię działaczy Jarosław Kaczyński wchodził do wypełnionej hali w Przysusze na VII Kongres Prawa i Sprawiedliwości.

„Wreszcie się podniosę, wezmę moich ludzi i razem odnajdziemy nasz prawdziwy dom. Przekroczymy rzekę, czy słyszysz głos wolności, woła gdzieś z oddali, że musimy przetrwać to” – popłynęło z głośników. I widać było, że zrobiło to na ludziach wrażenie. Pytani tam na miejscu w Przysusze, czy słyszeli historię Harriet Tubman, wzruszali ramionami. W największym skrócie – film

pokazuje przemianę Harriet z kobiety zaszczutej przez lata niewoli w ikonę walki o wolność i prawa czarnych Amerykanów. PiS najwyraźniej uznał, że tekst pasuje do ich sytuacji, że oni też są prześladowani i są na drodze do zwycięstwa. W 2027 roku.

Przemek z prezesem na ty

Przy kiełbasach i kaszance z grilla jeszcze przed oficjalnym rozpoczęciem Kongresu w Przysusze, niedaleko Radomia, były gorące powitania i grupowe zdjęcia z kciukami w górze. Widać, że zwycięstwo Karola Nawrockiego dodało działaczom pewności i zapału, które przygaśły po oddaniu władzy rządowi Donalda

Tuska jesienią 2023 r. Teraz – mówią – koalicja się rozpada i nic poza chęcią rozliczenia PiS ich nie łączy, a i to słabo idzie. Ktoś, robiąc sobie zdjęcie z ważnymi politykami PiS: „Trzeba wrzucić na Facebooka, niech Donald wie, jaka ekipa idzie po niego”.

„Ekipa” idzie pod wodzą Kaczyńskiego, który zdecydował, że po raz siódmy, na kolejne cztery lata, będzie wybrany na prezesa PiS. Szezuje partii od 2003 r., a funkcję przejął od swojego brata (kierował PiS przez trzy lata od 2001 r.). W okolicach wyborów prezydenckich Jarosław Kaczyński dawał najbliższemu otoczeniu do zrozumienia, że w razie zwycięstwa Nawrockiego może oddać stery partii młodszemu politykowi. Osoba o sporym znaczeniu w centrali przy Nowogrodzkiej: – Nie wiem, na ile to był błąd, a na ile prezes myślał o tym poważnie, ale pewnie chodziło o wybadanie nastrojów. Wtedy udała się do niego dość ekumeniczna delegacja kilku polityków z przekazem, że nie wyobrażają sobie, aby ich liderem miały być Morawiecki i jeśli już chce wskazać następcę, to niech to będzie Mariusz Błaszczak. W tej grupie byli Przemysław Czarnek, Patryk Jaki, Tobiasz Bocheński, Jacek Sasin, Elżbieta Witek ►

► i Mariusz Błaszczak. To podobno na tym spotkaniu Kaczyński przeszedł z Czarnkiem na ty i od tej pory mówią w partii, że pozycja Przemka bardzo urosła.

W przerwach działacze zachwycali się formą prezesa i faktycznie widać było, że jest w doskonałej kondycji. Po odczytaniu wyników głosowania, które było formalnością (zagłosowało za nim 1214 delegatów, przeciw było 30), żartował, że „jest pewne ryzyko, bo mam już swoje lata, ale wierzę, że dam radę”. Jak zwykle na imprezach PiS politycy skandowali jego imię, a on pierwszy raz publicznie opowiedział, że mama mu „takie ładne nadała, bo o źródłach tego imienia została zapytana na egzaminie, bo była studentką polonistyki, i bardzo jej się spodobało”. Nie rozwinął tematu, ale widać było, że jest dumny z imienia, a wiadomo, że Jarosław to ten, który słynie (sław) z siły (jary).

Wszystko, co działo się w Przysusze, było formalnością, jednak wokół niektórych spraw i wyborów zawrzało w kulisach. Uporządkujmy te formalności: Kongres (to prezes, wiceprezesi, członkowie Rady Politycznej, parlamentarzyści PiS i delegaci wybrani w czerwcu przez zjazdy okręgowe) odnowił kadencję Kaczyńskiego i wybrał 120 członków Rady Politycznej. W Radzie jest ok. 400 osób – te wskazane przez Kongres, a także szefowie okręgów i wszyscy parlamentarzyści.

Późnym popołudniem członkowie Kongresu rozjechali się do domów, a do wieczora pracowała Rada. Wybrała w sobotę wiceprezesów i członków Komitetu Politycznego (to 45 osób – prezes, zastępcy i funkcyjni w klubach parlamentarnych, oraz ci, których Kaczyński chce docenić). Komitet polityczny to teoretycznie taki partyjny rząd, prowadzi bieżącą działalność PiS i zatwierdza wszystko, o czym prezes zdecyduje.

Jest jeszcze Prezydium Komitetu Politycznego (PKP), czyli prezes i jego zastępcy, do którego to grona Kaczyński doprasza też czasem innych wedle swojego uznania. I wreszcie jest Komitet Wykonawczy, do którego prezes jakiś czas temu wyznaczył 30 polityków młodszego pokolenia, a na ich szefa Mariusza Błaszczaka. – Jesteśmy sprowadzeni do roli służebnej wobec sztabu w wyborach i ogrywania bieżącej działalności partii. Pracowało nas może z piętnastu, prezes chciał zobaczyć, co kto potrafi i dzięki temu niektórzy dziś awansowali – zauważa osoba z KW.

Wysoko postawieni w partyjnej hierarchii i ci, którzy właśnie poszli w niej do góry, wiedzą, że te funkcje to nie jest żadna realna władza, ale dają poczucie prestiżu. Te rozmaite komitety, rady, prezydium z perspektywy Kaczyńskiego spełniają też funkcję mobilizacyjną. Daje w ten sposób ludziom poczucie, że są za coś odpowiedzialni.

Baronessa wiceprezeską?

Najwięcej zakulisowego szemrania – bo podczas głosowania nikt się odezwał, tylko wszyscy Kaczyńskiemu przyklaskiwali – wywołała sprawa wiceprezesów. Prezes wskazał, a Rada Polityczna przegłosowała trzech nowych zastępców Kaczyńskiego: Annę Krupkę, Przemysława Czarnka i Tobiasza Bocheńskiego. – *To jakiś żart! Anka, ta nasza baronessa, swoją przebiegłością urobiła prezesa. Od maki-jażystki prezesa do wiceprezeski. Niezły awans!* – irytuje się jeden z działaczy.

Fakt, mówili kiedyś o niej złośliwie maki-jażystka z Nowogrodzkiej, ale ona wykorzystała swoją szansę i to, że Kaczyński zwyczajnie ją lubi. Ma niezwykle talent do ustawiania się w kadrze obok prezesa na marszach, wiecach czy konferencjach. Od jesieni 2024 r. skutecznie rządzi strukturami świętokrzyskimi, a sama zrobiła tu świetny wynik w ostatnich wyborach (prawie 40 tys. głosów). Podczas politycznego desantu Kaczyński przyrównał ją do „świętej pamięci Przemysława Gosiewskiego”, co oburzyło wielu, ale podporządkowali się woli prezesa. W sobotę też.

Co to za pomysł, by awansować Krupkę na wiceprezeskę partii? – pytam polityka, który dobrze czyta intencje Kaczyńskiego. – *Za mało kobiet było we władzach, bo tylko Szydło i Witek, ale ważniejsze było co innego. Morawiecki irytuje się tym wzmocnieniem Czarnka, więc prezes dla spokoju uznał, że razem z Czarnkiem wskaże Krupkę, aby obniżyć nieco rangę tych wyborów wiceprezesów.*

Umiarkowany entuzjazm wywołuje też tytuł wice dla Tobiasza Bocheńskiego, bo w partii jest dopiero od roku. Mówią, że zadziera nosa i grubo przegrał z Trzaskowskim wybory na prezydenta Warszawy, ale znowu decydowała sympatia Kaczyńskiego. Tak jak wtedy, kiedy dostał pewne miejsce na liście w wyborach do europarlamentu i wyjechał do Brukseli. Na zagwarantowaną dla siebie funkcję wiceprezesa po wchłonięciu Suwerennej Polski przez PiS wrócił Zbigniew Ziobro.

Przez ostatnie osiem miesięcy ze względu na stan zdrowia Ziobry tymczasowo zastępował go Michał Wójcik.

Niektórych prezes awansował, innych zdegradował. Z grona wiceprezesów, a było ich do tej pory dziewięć (Szydło, Błaszczak, Brudziński, Macierewicz, Morawiecki, Witek, Jaki, Wójcik) wypadł Mariusz Kamiński. Mówiło się o tym już przed Kongresem, ale podobno prezes nawet o tym z Kamińskim nie rozmawiał. Skreślił go, kiedy jakieś dwa lata temu zażądał od Kamińskiego, ówczesnego szefa MSWiA, aby odwołał głównego komendanta policji Jarosława Szymczyka. Nie spełnił polecenia prezesa i podważył jego autorytet w towarzystwie ważnych polityków PiS. Podpadł też tym, że kiedy miał szeroką władzę na służbach, to zbierał kwity także na ludzi PiS i miał podobno niektórych nimi szantażować.

Przed Kongresem chodziły słuchy, że odejdzie też Macierewicz. – *Można powiedzieć, że jest, ale jakoby nic już nie znaczył, co też prezes dał wszystkim na Radzie Politycznej do zrozumienia. Stwierdził, że Antoni zostaje, bo prezes nie chce być najstarszy we władzach partii (Macierewicz jest od niego niespełna rok starszy – przyp. red.)* – relacjonuje ważny polityk PiS.

Co ciekawe, głosowanie na wiceprezesów było zablokowane. Czyli prezes wyczytał nazwiska wszystkich, których wyznaczył, a sala przyklaskała na raz. Żadnych głosów sprzeciwu i po sprawie. – *Szkoda, że tak to się odbywa, bo moglibyśmy zobaczyć, kto ile zebrał głosów, jakie ma poparcie w Komitecie, ale prezesowi to nie jest do niczego potrzebne. To przecież jego autorska partia* – mówi półżartem osoba z Komitetu Politycznego.

Ludzie szukają silnych facetów

Na pytanie, kto po tym Kongresie osłabł, wszyscy, z którymi rozmawiamy z różnych partyjnych frakcji, mówią: Mateusz Morawiecki. Ale to wydarzył się jeszcze przed Przysuchą, 1 czerwca, kiedy Karol Nawrocki wygrał wybory prezydenckie. W partii można usłyszeć, że od miesięcy pod pretekstem robienia kampanii Karolowi Nawrockiemu Morawiecki robił ją właściwie sobie. Podobno badania, które przynosił do sztabu jego człowiek Tomasz Matynia, wskazywały na przegraną kandydata PiS. Morawiecki uznał, że w tej sytuacji skonfrontuje się z Kaczyńskim i będzie kandydował

na prezesa. W kampanii miał przekonywać do siebie delegatów, aby zagłosowali na Kongresie za zmianą. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że przegra tę bitwę, ale pokaże Kaczyńskiemu, że warto się z nim liczyć, kiedy myśli o swoim następcy.

W Sejmie Morawiecki ma ok. 30 swoich ludzi, do tego kilkoro w Brukseli. – W PE są: Miller, Dworczyk, Tarczyński i Buda. Młodzi, aktywni, dynamiczni, którzy rozmawiali się w wygodnym życiu i zarobkach w euro. Ilu z nich dochowa wierności Morawieckiemu, kiedy to prezes będzie układał listy na kolejne eurowybory? Jarosław dobrze o tym wie i dlatego ich tam wysłał – zauważa znacząca w kręgach prezesa osoba. Ktoś inny zauważa po „głosowaniach” w Przysusze, że z 45-osobowego Komitetu Politycznego wylecieli ludzie byłego premiera – Michał Dworczyk i Maria Koc.

Ciekawe jest też to, kogo prezes tu doprosił, a są to m.in. Andrzej Śliwka, Zbigniew Bogucki, Janusz Kowalski, Beata Kempa, którzy z sympatii do Morawieckiego bynajmniej nie są znani, a są przekonani, że PiS powinien iść w kierunku, którego symbolami są dziś Przemysław Czarnek i Karol Nawrocki. – Widać, jak osłabły tu wpływy Mateusza, a choć sam Komitet nie ma wielkiego znaczenia, to zatwierdza listy wyborcze, jest forum do obrony swoich ludzi na listach, teraz za tymi od Morawieckiego nie będzie się miał kto wstawiać – tłumaczy znaczenie tych zmian osoba z Komitetu.

Sytuacja wyraźnie nie sprzyja byłemu premierowi. Ostatnie wybory pokazały, że „projekt Morawiecki”, który miał przesunąć PiS w stronę centrum, staje się zbędny. Wygrana Nawrockiego głównie dzięki wyborcom Konfederacji jasno wskazuje kierunek, w którym pójdzie Kaczyński.

W Przysusze, rozprawiając o powodach przegranych wyborów w 2023 r., prezes wymienił m.in. pandemię i błędne decyzje o zamykaniu kościołów oraz lasów, które przyniosły „spadek poparcia i wzrost siły na prawo od nas, które wcześniej nie odgrywały większej roli”, czyli Konfederacji. Mówił też o krytykowanym przez Konfederację Polskim Łądzie, trochę o relacjach z Ukraincami, że za późno rząd zadbał o interes polskiego rolnictwa czy o pamięć o tych, którzy zginęli w rzezi wołyńskiej, nie wspominał już o Zielonym Łądzie.

– Prezes chwalił też Morawieckiego, że robił, co mógł, ale dał też jasno do zrozumienia, że to on jako premier stoi za decyzjami, które napompuwały Konfę. Dziś



Anna Krupka, nowa wiceprezes PiS. Jej wybór wywołał spore kontrowersje, ale „prezes ją lubi”.

styl uprawiania polityki, jaki prezentują Czarnek i Nawrocki, pomoże nam odzyskać tych, którzy odpłynęli do Mentzena i Bosaka. Ludzie szukają silnych liderów i mocnych facetów – mówi ważny stronnik Czarnka.

PiS ma być znów fajny i ładny

Jeszcze dwa tygodnie temu pewnie było, że Czarnek zostanie szefem Kancelarii Prezydenta. Nawrocki chce mieć go u siebie, a prezes Kaczyński uznał, że to doskonały pomysł. To miał być jasny sygnał dla elektoratu, że prezydent, jak mówią w PiS, „jest nasz”. W Pułtusku 22 czerwca Kaczyński wyraził się zdecydowanie: „To był kandydat PiS. To, że był obywatelski, tego nie zmienia”.

Jeśli PiS nie zdobędzie samodzielnych rządów i będzie musiał dogadywać się z Konfederacją, to Czarnek jest oczywistym kandydatem na premiera. Jednak Nawrocki postawił opór, bo nie bardzo podoba mu się, że osobą numer dwa w jego zapleczu ma być jeden z najważniejszych wiceprezesów PiS. Dziś więc wcale nie ma już takiej pewności, że Czarnek tym szefem Kancelarii zostanie.

– Jemu najbardziej zależy na budowaniu się w partii i praca w Pałacu też mogłaby mu w tym pomóc, jednak zdał sobie sprawę, że Karol może mu stanąć na drodze. Obaj są fajterami i mają równie wielkie ego,

a obecność dwóch gwiazdorów w jednym Pałacu będzie rodzić napięcia – zauważa jeden z ważnych polityków PiS. I dodaje, że być może Nawrocki z Czarnkiem się dogadają, że grają wspólnie na reelekcję dla jednego i na premierostwo dla drugiego. Tylko czy to jest w interesie Kaczyńskiego? Nie pozwoli na to, by ktoś za jego plecami układał się w tak poważnych sprawach. To on chce decydować o tym, kto będzie premierem, a zbyt silny Czarnek nie będzie wykonywał poleceń z Nowogrodzkiej.

W Przysusze Kaczyński polecił swoim działaczom „przede wszystkim aktywność, aktywność, aktywność”. I zapowiedział, że już teraz w wakacje ruszają w Polskę z kampanią podziękowań. „Ale potem inne kampanie, (...) musimy wygrać następne wybory” – mobilizował działaczy. I przestrzegał przed myśleniem, że PiS ma 30 proc., razem z Konfederacją to już jest większość. „Nie, proszę państwa, żadne 30 proc. Musimy dążyć do 40 proc. i więcej”. Taka zdecydowana większość jest Kaczyńskiemu potrzebna, bo jak zapowiedział, „demokracja i praworządność (w rozumieniu prezesa – przyp. red.) musi być poprzez nowy ustrój tego państwa zabezpieczona” i chce „wmontować do naszego systemu konstytucyjnego takie zabezpieczenia”.

Cel jest oczywisty, a wyniki Konfederacji w wyborach prezydenckich pokazały, którą drogą do niego droga. Kwintesencją tego są słowa prezesa z Przysuchy, które wywołały salwę najgłośniejszych braw: „Koniec z tym szaleństwem, tu zacytuję Trumpa: są dwie płcie, kobiety i mężczyźni”. I dodał, że „to, bez zbędnej poprawności, musi być w programie. I prace zaraz się zaczną”. Będzie w nim też sporo o zabezpieczeniu Polski przed migrantami, gospodarce i twardym patriotyzmie.

Pokolenie partyjnych 40-latków dostanie szansę, już teraz weszli do Komitetu Politycznego, bo, jak sami mówią, prezes wie, że Ryszard Terlecki, Elżbieta Witek, Marek Suski czy Jacek Sasin tej rewolucji nie pociągną. Ważny polityk z młodszego pokolenia: – Młodzi mają pracować nad obrazem, by to wszystko dobrze opakować. Ma być ładnie, więc pewnie trzeba będzie zmienić logo PiS, nowoczesnie, dynamicznie i na ogromną skalę w sieci, tak jak robią to w Konfie... I dodaje, że teraz Tusk i KO stają się obciachowi, a PiS znów zacznie się podobać.

ANNA DĄBROWSKA



Chude lata dla otyłych

Jesteśmy świadkami jednej z największych rewolucji społecznych ostatnich lat. Leki takie jak semaglutyd (Ozempic, Wegovy) lub tirzepatyd (Mounjaro, Zepbound) okazały się – wreszcie? – skuteczne w walce z otyłością. I już zmieniają świat: od półek sklepowych po relacje intymne.



Jeszcze dekadę temu metody odchudzania przypominały średniowieczną alchemię: diety cud, spalacze tłuszczu o wątpliwej skuteczności, specyfiki naznaczone pasmem spektakularnych porażek. A chirurgia bariatryczna, czyli m.in. radykalne wycięcie części żołądka, pozostawała wyborem najbardziej zdesperowanych. Rynek odchudzania od dawna był też łakomym kąskiem dla przemysłu suplementów – wystarczy w reklamie szepnąć, że pigułka na wątrobę „przy okazji” spala tłuszcz, a półki pustoszeją w mgnieniu oka. Za to producenci dietetycznych specjałów śmieją się w kułak, żerując na otyłych, którzy w nieskończonej pętli chudną, tyją, chudną, tyją – i tak aż do kolejnego cudownego produktu. I chyba taki cud nastąpił.

Mało kto wie, że należy go zawdzięczać biochemiczce Svetlanie Mojsov z Rockefeller University, która 50 lat spędziła na badaniu hormonów jelitowych mogących mieć znaczenie dla regulacji poziomu glukozy we krwi. Odkryta przez nią w latach 80. XX w. sekwencja jednego z hormonów (GLP-1, o którym piszemy poniżej) stała się wyjściowym szablonem dla nowych leków odchudzających. Pierwszy z nich pojawił się w 2005 r., ale dopiero jego następca o nazwie semaglutyd (teraz znany jako Ozempic), będący syntetyczną wersją substancji aktywujących receptory dla tego hormonu, odniósł sukces, najpierw jako lek przeciwcukrzycowy, a następnie hit w odchudzaniu.

Było to dzieło duńskiej firmy Novo Nordisk, znanego potentata w produkcji insuliny dla diabetyków, która już w 1998 r. wpadła na pomysł, jak wydłużyć działanie antagonistów GLP-1. Firma posiadała silne zaplecze badawcze w diabetologii, więc najpierw udało się jej stworzyć liraglutyd (zatwierdzony na cukrzycę w 2010 r.), a sześć lat później zakończyła badania nad Ozempicem. Gdy okazało się, że podskórny zastrzyk raz w tygodniu powoduje utratę 15 proc. masy ciała, zapoczątkowało to erę kolejnych leków na otyłość (np. Wegovy) i do globalnego wyścigu włączyli się inni producenci, m.in. amerykańska firma Eli Lilly (produkująca odpowiednik semaglutylu, czyli tirzepatyd, znany jako Mounjaro i Zepbound).

Wszystkie te nowoczesne preparaty – jak wynika z zaawansowanych badań klinicznych, wkrótce będą też dostępne w postaci wygodnych tabletek – nie tylko odchudzają, lecz także przebudowują nasze życie. Od siłowni po sypialnię, od stołów w jadalniach po sale operacyjne.

Plastik w ustach

Jaki jest mechanizm działania semaglutylu? Zaczniemy od jedzenia, bo to tu tzw. agoniści receptora GLP-1 zadają najbardziej cios. Skąd taka nazwa? Substancje te naśladują hormon GLP-1 (glukagonopodobny peptyd-1), czyli naturalny strażnik sytości produkowany w jelitach po posiłku. Wskutek ich działania żołądek opróżnia się wolniej, a my czujemy się jak po wielkiej uczcie. Do tego stabilizuje się poziom cukru we krwi, co poskramia wilczy głód. – *Po raz pierwszy od lat poczułam, co to znaczy być najedzona po posiłku* – mówi Ewelina Michalik z Ciechanowa. – *Wcześniej nigdy nie odczuwałam sytości, mogłam jeść i jeść.*

Dzięki tym lekom amatorzy podjadania już nie zatrzymują się w supermarketach przy półkach z tłustymi przekąskami

i słodkimi batonami. Suną z wózkami na dział warzyw i owoców po błonnik i białko, ponieważ odkąd zaczęli przyjmować Ozempic (najpopularniejszy obecnie w Polsce semaglutyd) lub Mounjaro, wszystkie smakołyki, bez których do tej pory nie mogli się obejść, wywołują w nich obrzydzenie. Produkty, od których kiedyś byli uzależnieni, zaczęły im smakować jak plastik. – *Na początku kuracji nie miałam ochoty na słone paluszki, chipsy ani typowe fast foody* – wyznaje 27-letnia Oliwia Sowa z Warszawy, członkini zarządu Fundacji na rzecz Leczenia Otyłości. Teraz sięgnie czasem po baton, na który przychodzi jej ochota, ale już po zjedzeniu połowy odczuwa efekt nasycenia i nie chce go kończyć. – *Wcześniej zjadłabym takich pięć.*

Pani Ewelina przed kuracją, którą rozpoczęła latem 2023 r., ważyła 120 kg, obecnie – 68 kg. Pani Oliwia leczy się od trzech lat i schudła 30 kg. – *Pierwsze GLP-1 pojawiły się już w 2005 r. i nie dawały jeszcze spektakularnej redukcji masy ciała* – wspomina prof. Leszek Czupryniak, który kieruje Kliniką Diabetologii i Chorób Wewnętrznych Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Ale i tak dla osób z cukrzycą typu 2, w której choroba otyłościowa napędza tę drugą, miało to duże znaczenie, bo alternatywą było stosowanie insuliny, która przyspiesza tycie. Do wiosny 2022 r. semaglutyd (Ozempic) był lekiem znanym właściwie tylko środowisku diabetologicznemu, ale wtedy Amerykanie stosowali go już również do leczenia otyłości, a w nieco wyższej dawce zatwierdzili go pod inną nazwą handlową (Wegovy) przy samym odchudzaniu.

Blaski Świętego Graala

Europa szybko podążyła tym śladem. Dziś leki GLP-1 prof. Czupryniak nazywa gejmczendżerami, ponieważ – jak się spodziewa – przeorają całą medycynę z uwagi na niezwykle szerokie właściwości. Bo hamowanie apetytu to niejedyny ich skutek. – *Działają przeciwmiażdżycowo, obniżają ryzyko chorób serca, poprawiają funkcje nerek, wyhamowują utratę pamięci na wczesnym etapie otępienia, pomagają leczyć uzależnienie od alkoholu* – wymienia profesor mniej znane, ale potwierdzone badaniami, skutki przyjmowania Ozempicu i jego pochodnych.

Pytanie, czy rzeczywiście mamy w rękach Świętego Graala, za pomocą którego ludzkość zdoła się uwolnić nie tylko od epidemii otyłości i cukrzycy, ale też wielu innych, powszechnych schorzeń? Odpowiedzi brak, bo jest jeszcze za wcześnie, by uznać te specyfiki za całkowicie bezpieczne panaceum. Skutki uboczne na razie nie odbiegają od akceptowanej normy: jedni mają nudności i biegunkę, inni zwiększone ryzyko kamicy żółciowej lub odczuwają zmęczenie (zwłaszcza na początku kuracji). A im więcej osób sięga po te leki, tym szybciej dowiemy się prawdy o ich wszystkich blaskach i cieniach.

W Polsce sprzedaż agonistów GLP-1 wydaje się skromna w porównaniu z Ameryką, trend jest jednak widoczny: w I kwartale 2024 r. wystawiono 96 239 recept refundowanych i 324 141 nierefundowanych, w tym roku w I kwartale – odpowiednio 135 895 i 460 552 (dane Centrum e-Zdrowie). Wzrost rok do roku zarówno w przypadku recept refundowanych (dla chorych z rozpoznaną cukrzycą lub z innymi uprawnieniami) oraz nierefundowanych (gdy wskazaniem jest sama otyłość) przekracza aż 40 proc. Ale to i tak nic w porównaniu ze Stanami ►

► Zjednoczonymi, gdzie według szacunków Gallupa w 2024 r. te preparaty przyjmowało 15,5 mln osób (6 proc. dorosłej populacji). I jak wynika z przewidywań firmy Morgan Stanley, przez następne 10 lat liczba Amerykanów na lekach GLP-1 wzrośnie do 24 mln.

Obecnie w Polsce jest ok. 3 mln osób ze zdiagnozowaną cukrzycą, natomiast liczba chorych na otyłość może sięgać nawet 9 mln. Każdy lekarz ma prawo wypisać receptę na zastrzyk semaglutynu lub tirzepatynu, ale nie wszyscy pacjenci muszą i chcą się leczyć w ten sposób. Miesięczna kuracja Ozempicem w najniższej dawce kosztuje ok. 400 zł, ale za podobną dawkę tirzepatynu trzeba zapłacić ok. 1,5 tys. zł, a przy wyższych dawkach – 2 tys. zł.

Pacjenci z cukrzycą, jeśli spełniają wymagane kryteria (m.in. BMI>30, wysokie ryzyko zawału serca lub udaru), płacą za semaglutyn 30 proc. ceny, ale powyżej 65. roku życia otrzymują go na receptę za darmo. Wersje leku dla osób z cukrzycą i z samą otyłością (ci zawsze płacą pełną cenę) różnią się dawkami (mniejsze na cukrzycę, większe na otyłość). W każdym przypadku jest to na razie kuracja przewlekła, bo po odstawieniu leku waga niestety wraca. Tym szybciej, jeśli pacjent nie zmieni swojego stylu życia i nie zrezygnuje z dotychczasowych złych nawyków żywieniowych.

Wojna na kubki

Dla firm produkujących przekąski będzie to poważny cios, skoro przez dekady budowały swoje imperium na uzależnieniu od cukru i tłuszczu, a teraz konsumenci zaczęli się odwracać od takich smakołyków. Lars Fruergaard Jørgensen, do niedawna dyrektor generalny Novo Nordisk, producenta Ozempicu, przyznał w rozmowie z agencją Bloomberg, że ich prezesi dzwonią do niego w panice. I mają powody! Sprzedaż słodkich wypieków oraz przekąsek spada, a sieci marketów donoszą, że coraz więcej klientów – prawdopodobnie na terapii GLP-1 – wkłada do koszyków mniej jedzenia.

Jednak branża nie zamierza się poddawać. W laboratoriach firm biotechnologicznych, które współtworzą oryginalne receptury dla McDonald's czy PepsiCo, już ruszyły prace nad nowymi smakami oszukującymi mózgi konsumentów semaglutynu. Kluczem mają też być mniejsze porcje, a więc np. ciastko z białkiem serwatkowym, które może zastąpić radość z michy lodów. Przemysł spożywczy postanowił jak najszybciej dostosować się do nowych czasów, w których ludziom będzie wystarczać kilka kęsów, by najeść się do syta.

Innym wyzwaniem jest zmiana preferencji wobec sztucznych aromatów i konserwantów. Jak sprawić, by przetworzona żywność znów była sexy, gdy mózg na nowych lekach mówi „nie”? Okazuje się, że w laboratoriach ruszyły już prace nad związkami, które osłabia skuteczność semaglutynu lub obejdą jego działanie, aby tzw. układ nagrody w ośrodkowym układzie nerwowym znów mógł być odblokowany i jedzenie kusiło tak jak dawniej.

Ta bitwa o kubki smakowe, której stawką jest miliardowy rynek, to dla koncernów spożywczych żadna nowość. Kiedy lata temu odkryły, że głośniejsze chipsy skłaniają ludzi do sięgania po kolejne, zadbały o mocniejsze chrupnięcie. Dziś mają już w zanadrzu dania celowo bardziej mdłe – by ominąć zmysłowo specyficzne uczucie sytości – albo wzbogacone zmodyfikowanymi tłuszczami, które topnieją w ustach w idealnej temperaturze, wywołując szybszy wyrzut dopaminy (neuroprekaźnika potęgującego przyjemność). Firmy smakowe, takie jak International

Flavors and Fragrances, mają szafy związków zdolnych zarówno maskować nieprzyjemne nuty, jak i podbijać te zbliżone do cytrusowych (użytkownicy GLP-1 zgłaszają pragnienie świeżych kwaśnych smaków). Generalnie chodzi o to, żeby smak żywności dla rzesz na diecie był znowu satysfakcjonujący.

Fitness dla nowej generacji

Podczas gdy branża spożywcza musi walczyć o przetrwanie, swój renesans zaczęły przeżywać inne, np. kluby fitnessu. Siłownie, które kiedyś kusiły rozwojem muskulatury, teraz otwierają podwoje dla ludzi na semaglutynie, którzy chcą zamienić tłuszcz w mięśnie. Bez treningu będą na tej kuracji zanikać, ponieważ nie dostają energii z pożywienia. Nawet 25–50 proc. masy traconej na GLP-1 to właśnie tkanka mięśniowa, więc Ozempic sprawia, że metabolizm zwalnia, a ludzie czują się słabsi.

Trzeba więc takim osobom podnieść morale! Odpowiedzią jest „trening Ozempic” – obwody siłowe, które mają dostosować wysiłek do dawki przyjmowanych leków odchudzających, najlepiej w połączeniu z coachingiem żywieniowym. TikTok i Instagram już zalewa fala hashtagów #ozempicworkout, a amerykańskie National Exercise & Sports Trainers Association (stowarzyszenie trenerów) przyznaje od początku tego roku nowy rodzaj certyfikatów dla swoich członków, specjalizujących się w pracy z osobami na lekach GLP-1.

Zdaniem ekspertów to jednak tylko marketing, chodzi po prostu o trening oporowy z nową etykietą, która ma ściągnąć świeżo odchudzone grono fit-adeptów. I to działa, bo jeśli wczytać się w refleksje osób, które dzięki Ozempicowi po raz pierwszy zapisały się na zajęcia, siłownie przestały je onieśmielać. Dawniej z powodu tuszy i wstydu nie przekroczyłyby ich progu. Nie ćwiczą po to, by schudnąć (bo chudnie się dzięki zastrzykom), tylko żeby przyspieszyć osiągnięcie upragnionego celu. Przeszkolona kadra (z nowymi certyfikatami) nie wydaje już rozkazów, by spalić kalorie, lecz proponuje „utrzymanie masy mięśniowej”. Brzmi dużo lepiej, bardziej działa na wyobraźnię – wszak nikt nie chce skończyć odchudzania bez mięśni i z wiotką skórą.

A coś trzeba przecież zrobić z jej nadmiarem, jeśli w ciągu kilku miesięcy waga spada o 30 kg. Dla takich osób rozkwita oferta chirurgii plastycznej. Popyt na usuwanie zwisającej skóry na ramionach, brzuchu i pośladkach wzrósł przez ostatni rok w USA aż o 25 proc. Właściciele takich gabinetów w polskich dużych miastach mówią na razie o zwiększeniu liczby zabiegów o ok. 15 proc. Ceny zaczynają się od 12 tys. zł i często dochodzą do 27 tys. – nie da się ukryć, że nastał świetny czas dla chirurgów plastycznych, ale nie najlepszy, żeby zostać ich klientem bez sporego gotówki.

I tego trendu na szczupłe sylwetki nie da się chyba szybko zatrzymać. Zbyt mocno zakotwiczony jest w kulturze, modzie, wzorcach piękności. Rozwija się co prawda ruch ciałopozytywności (*body positive*), ale wobec wyzwań zdrowotnych może okazać się bezradny. Ciałopozytywność nie ułatwia podjęcia decyzji o leczeniu czy rozpoczęciu aktywności fizycznej, a to może przynosić negatywne efekty. – *Samoakceptacja jest ważna, ale w moim przypadku, gdy zmagalam się z otyłością, granicą było zdrowie – mówi Ewelina Michalik. – To choroba, która prowadzi do powikłań, więc po co się oszukiwać? Ignorowanie tego jest prostą drogą do problemów.*



Ciałopozytywność, choć z pozoru promuje akceptację siebie, nie powinna być powodem do beztróskiego celebrowania. Nie wtedy, gdy staje się usprawiedliwieniem dla ignorancji – propagowanie wizerunku otyłości jako czegoś „przyjemnego” lub neutralnego sprzeciwia się medycznym faktom i dobre intencje nie wystarczą, gdy na szali leży życie.

Cichy dramat z alkowym

Skoro jednak semaglutyd tak bardzo zmienia ludzkie ciało, to zmienia również międzyludzkie relacje. Efekty szybkiego odchudzania będą wymagać nie tylko odnowienia garderoby, lecz również innego spojrzenia na relacje w wielu związkach: intymność, pewność siebie i równowagę sił. Psychoterapeuci już zauważyli tę nową grupę klientów – pary, które chcą układać swoje życie od podstaw, bo zmiana fizyczności partnera/partnerki wymusza dostosowanie upodobań drugiej strony. Okazuje się, że semaglutyd wywraca do góry nogami niepisane kontrakty małżeńskie, w których otyłość była spoiwem. Albo jedna osoba staje się atrakcyjniejsza i to przeszkadza drugiej, która nie zdecydowała się na odchudzanie. Albo mężczyźni woleliby, aby ich kobieta nadal zmagala się z chorobą otyłościową, bo wydaje im się, że wtedy na zawsze pozostanie tylko dla nich.

Im bardziej radykalna zmiana wyglądu, tym większy jej wpływ na dynamikę seksualną, co czasem budzi ukryte pretensje. „Oplakuję miękkość jej dawnego ciała”, „Szkoda, że już nie jest tak duży jak dawniej”, „Tęsknię za tym brzuszkiem” – można usłyszeć od zawiedzionych kochanków, bo semaglutyd zaczął napędzać do gabinetów pary, które muszą na nowo zbudować wzajemne relacje. Po metamorfozie jednej ze stron zaczęły się one chwiać pod ciężarem nowych granic i niezaspokojonych pragnień. „Bez myślenia o jedzeniu mają więcej przestrzeni – zauważa na łamach „New York Timesa” psychoterapeutka Rachel Goldberg z Los Angeles. – Ale ta przestrzeń często wypełnia się konfliktami”.

Największy przełom przed nami

Lecz semaglutyd to nie tylko odchudzanie. Wśród licznych dodatkowych efektów kuracji jednym z ciekawszych jest poprawa wyników sportowych. Ktoś, kto spędzał całe dnie w domu, teraz odkrywa radość w rekreacji. Dochodzi do tego, że nawet szczupli amatorzy biegów dystansowych zaczęli przyjmować mikrodawkę Ozempicu tylko po to, aby zwiększyć swoją wytrzymałość. A nie jest to jeszcze w sportowym świecie substancja zakazana. Na forach biegaczy, triathlonistów i miłośników crossfitu od niedawna krąży dyskusja o „nieoficjalnym turboodchudzaniu”, które poprawia wydolność. Światowa Agencja Antydopingowa na razie bacznie się temu przygląda i monitoruje wpływ leków GLP-1, bo choć mogą dawać przewagę w sportach wrażliwych na wagę, niwelując zmęczenie, niosą ryzyko utraty mięśni.

Dlatego bez zmiany stylu życia trudno o sukces w odchudzaniu nawet na Ozempicu. – Jeśli otyły pacjent schudnie wreszcie po latach nieudanych prób pierwsze 10 kg, to łatwiej go zaraz namówić do zwiększonego ruchu i zmiany diety – zauważa prof. Piotr Dobrowolski z Narodowego Instytutu Kardiologii w Aninie. – Już w pierwszych miesiącach leczenia zaczęłam znowu wychodzić na spacer – mówi Ewelina Michalik. Zaczynała od 2 tys. kroków, teraz przekracza 20 tys. – Samochód stoi na parkingu. Zrezygnowałam z windy, choć mieszkam na szóstym piętrze.

Sukcesem nie jest jednak liczba utraconych kilogramów, lecz długofalowe utrzymanie docelowej wagi. – Kiedy zaczynamy kurację, nie pytam pacjentów, ile schudli, tylko jakie są ich odczucia dotyczące jej wpływu na zachowania żywieniowe – mówi dr hab. Mariusz Wyleżół, prezes elekt Polskiego Towarzystwa Leczenia Otyłości. – Odkąd zaczęłam chorować na otyłość w wieku 13 lat, zawsze jadałam w samotności. Miałam bardzo smutne życie. Teraz nie spędzam czasu w domu, tylko wychodzę do ludzi – wyznaje Oliwia Sowa.

Żle się stało, że w kontekście Ozempicu i Wegovy wszyscy zaczęli mówić o odchudzaniu, podczas gdy są to specyfiki raczej przeciwotyłosciowe, które nie pomagają bezstresowo schudnąć. – Niestety język potoczny kształtuje opinie na temat zjawisk, a nie wiedza – podsumowuje z żalem dr Wyleżół. Dlatego szybkie odchudzanie (bądźmy precyzyjni: dlaczego nie odgrubianie?) u tysięcy ludzi nie przynosi rezultatów, lecz jest pasmem rozczarowań i paradoksalnie powodem szkodliwego dla zdrowia efektu jo-jo. Co piąta osoba również nie reaguje na leczenie semaglutydem, a większość nie zdaje sobie sprawy, że najprawdopodobniej będzie musiała przyjmować go do końca życia. – Mnie to wcale nie przeraża – mówi zdecydowanie pani Oliwia. – Natomiast bardziej to, że lek przestanie działać i wrócę do mojej domowej klatki z paczką chipsów.

Wedle prof. Czupryniaka odchudzające zastrzyki (bo wszystkie opisywane preparaty wstrzykuje się pod skórę raz w tygodniu, poza jednym, o nazwie Rybelsus, który jest w tabletkach, ale nie traci się na nim wagi tak spektakularnie i wymaga sporego reżimu podawania na czczo) trafiły po prostu w odpowiedni czas. Cywilizacja rozkręciła łaknienie, więc ludzkość ma nieposkromiony apetyt, żywność jest łatwo dostępna, smaczna i relatywnie tania. – A jednocześnie współczesny człowiek stracił wiele okazji do wydatkowania energii, więc jeśli nie musi się ruszać, to tyje – wyjaśnia prof. Czupryniak. I nowe leki odwracają ten trend: pomagają zapamiętać nad apetytem, nie jeść za dużo, a tyle, ile trzeba. A ponieważ tłumia układ nagrody w mózgu, ograniczają przy okazji dopaminowy haj po kieliszku alkoholu lub zaciągnięciu się papierosem. Czy otworzy to nowe możliwości leczenia uzależnień? Albo – jak kto woli – nowe pola nieoczekiwanych konsekwencji?

Bo największy przełom dopiero przed nami. Firmy opracowują już wygodne doustne formy semaglutynu. Wkrótce dostępne więc będą pigułki, dzięki czemu liczba osób sięgających po niego ma szansę lawinowo wzrosnąć. To pewnie już na zawsze zmieni leczenie cukrzycy i otyłości – i to nie w tempie maratonu, ale sprintu. I z pewnością wymusi na wielu branżach również szybką odpowiedź.

Choć moda na semaglutyd trwa dopiero od kilku lat, widać, że to nie tylko lek, który odchudza i zmienia medycynę. Walka z nadwagą staje się technologicznym spektaklem. Czy to dobrze? Może. Pytanie brzmi: czy jesteśmy gotowi na ten nowy świat?

PAWEŁ WALEWSKI



Budynek Seminarium Polskiego w Paryżu. Tu się mieściło również Niższe Seminarium Duchowne.

Grzechy księdza prałata

Eugeniusz Plater-Syberg byłby dobrym materiałem na kolejną kościelną sylwetkę ze spiżu, gdyby nie to, że przez wielu byłych uczniów seminarium jest oskarżany o przestępstwa seksualne.

MARTYNA BUNDA, AGATA PŁACHECKA

Jego uczniowie, dziś dorośli mężczyźni z pięciu różnych krajów, w tym także z Polski, w czerwcu 2025 r. złożyli zeznania przed Państwową Komisją ds. Przeciwdziałania Wykorzystaniu Seksualnemu Małoletnich. Nie mogli już dłużej milczeć. Sam ksiądz, mimo zaawansowanego wieku, jest ciągle proboszczem w podparyskiej parafii.

Spotkanie w hotelu

W lipcu 2011 r. ksiądz prałat Eugeniusz Plater-Syberg pojawił się w hotelu pod Paryżem na spotkaniu z dawnymi uczniami. Usiedli przy stole, jak się siada w sądzie: oni – ośmiu dawnych wychowanków – po jednej stronie, on po drugiej. Poprosił o szklankę wody.

Ktoś włączył dyktafon w telefonie. Na nośniku zapisał się głos Eugeniusza Platera-Syberga. Otóż od dawna wiedział, że kiedyś mu wypomną to, co się działo

za zamkniętymi drzwiami Niższego Seminarium Duchownego w Paryżu. Rozumie, że jeden z chłopaków – ten, którego brakowało na spotkaniu – odebrał sobie życie także z jego powodu. Każdego dnia całe lata myślał o tym, co im zrobił, każdego dnia cierpiał z tego powodu – Eugeniusz Plater niby się kaja, ale mówi o sobie, nie o ofiarach.

Potem zmienia ton. Nie, nie jest pedofilem. Był u specjalisty, któremu wszystko opowiedział, i usłyszał, że to było *événement accidentel*. Tylko i jedynie. Straszne czyny, ale muszą wiedzieć, że to się nie powtórzyło.

Nie wierzą mu. Za dużo ich, zbyt wiele lat to trwało. Eugeniusz Plater raz jeszcze zmienia ton na konciliacyjny. Obiecuje, że zgłosi się do swojego biskupa, który najlepiej będzie wiedział, co z tym wszystkim zrobić. Obiecuje też, że niczego nie zatai przed zwierzchnikiem. Niestety nie może się zobowiązać, że do swoich czynów

przyzna się publicznie. Tego im nie obiecuje – zdanie wraca jak lejtmotyw. Proponuje za to, że do każdego z tych, których skrzywdził, napisze osobny list z przeprosinami.

Głos prałata Eugeniusza Platera, zapisany na nagraniu, z początku jest przyciszony, niepewny, choć mentorski. Padają frazy: „dla dobra Kościoła”, „z szacunku dla szkoły”. Ksiądz odwołuje się do ich sumień: muszą wiedzieć, że nie weźmie udziału nawet w swoim jubileuszu 50-lecia kapłaństwa zaplanowanym na kolejny dzień, bo kardiolog mu zabronił. Kategorycznie. Tak więc niech i oni mają na uwadze, że mogliby go zabić...

Bartosz, dawny uczeń, który przyjechał z Niemiec do szkoły księdza Platera jako dziesięciolatek i przez kolejnych osiem lat doświadczał każdej możliwej formy gwałtu, jest w tym momencie życia, gdy w końcu powiedział na głos, co się wydarzyło. Odzywa się częściej niż inni. Ksiądz Plater go pamięta. Ale nie przypomina

sobie, żeby akurat jemu coś robił. Bartosz nie dowierza. Jest ich w salce ośmiu, wszyscy padli ofiarą zgwałcenia, ale wśród nich to Bartosz był krzywdzony prawdopodobnie najmocniej – pozostali wiedzą. Bartosz dźwiga tę traumę przez całe życie i nie może unieść; był na granicy samobójstwa i wiele go kosztowało, by nie pójść w ślady szkolnych kolegów, którzy się zabili – tego, który zagazował się w samochodzie, i tego, który się utopił. W ich liczącym kilka osób roczniku w szkole Platera zdarzyły się aż dwa samobójstwa. Nie wiele brakowało, żeby on był trzeci. Ale Plater nie pamięta. Znowu mówi tonem, jakim przez lata trzymał ich krótko, jak na smyczkach: inni chłopcy – oczywiście, to prawda, do wszystkiego się przyznaje, ale Bartosz? Bartosz – nie.

Pozostali coraz bardziej się denerwują. Wiedzą przecież to, co Bartosz też wie. – A sikanie do łóżka? – pyta Bartosz, jakby chciał się uchwycić ostatniego argumentu. – Tego, że się moczyłem, ksiądz też nie pamięta?

W języku dawnych uczniów fraza o sikaniu ma znacznie głębszy sens; gdy przyjeżdżali do szkoły, ksiądz co noc robił swoje obchody po dziecięcych pokojach, wkładał rękę pod kołdry i macał genitalia – tłumaczył im, że tak sprawdza, czy nie sikają do łóżek. Potem niektórzy chłopcy naprawdę zaczęli się moczyć, przecież robił im jeszcze gorsze rzeczy.

Ależ skąd on, wychowawca, miałby wiedzieć, kto sikał, a kto nie? – Plater pyta teraz nieznoszącym sprzeciwu tonem. Bartoszowi łamie się głos. Pozostali mężczyźni próbują się targować – więc jak będzie przepraszał, skoro nawet Bartosza nie pamięta? Ale ksiądz jest już zmęczony. Przecież ma chore serce. Przecież kardiolog kazał się oszczędzać... Na koniec dodaje, że już się z tego wypowiadał. Nagranie trwające 45 minut kończy się frazą, w której Eugeniusz Plater, dawny wychowawca, ogania się już od nich jak od muchy.

Moment nagrania – lipiec 2011 r. – jest szczególny. Ledwo dwa miesiące wcześniej prałat Eugeniusz Plater odebrał w Gdańsku, w historycznej Sali BHP Solidarności, Medal Wdzięczności – za poświęcenie dla Polski i odwagę, za jakiś czas otrzyma też z rąk ambasadora Polski we Francji tytuł Ambasadora Polskości, i jeszcze medal „Pro Polonia et Ecclesia”, który przyjmie w uroczystej oprawie bazyliki Sacre-Cœur w Paryżu. Udzieli paru wywiadów. Odprawi nieskończenie wiele mszy.

Z deklaracji powiadomienia biskupa, który przecież musiałby zawiadomić policję, nic nie wyniknie. Listy z przeprosinami nie zostaną napisane. Za to po spotkaniu wieść o tym, co się działo w sali, dotrze do uczniów ze starszych roczników. Tak samo jak kiedyś w szkole, postawią *młodszych*, dziś dorosłych, czterdziestoparolennych mężczyzn, do pionu. Absolutnie nie wolno im kłaść imienia ich szkoły. Mają to zostawić dla wspólnego dobra. Dla dobra instytucji Kościoła i księdza prałata, który przecież tyle zrobił dla Polski.

I zamilkną. Ze wstydu, z poczucia źle rozumianej odpowiedzialności. Z powodu tego, jak wypadło spotkanie z księdzem Platerem. Niby im się przyznał, a jednak raz jeszcze pokazał, kto ma władzę. Niby ich przeprosił, ale znacznie dotkliwsze było to poczucie bezsilności, które w nich wywołał.

Przez kolejnych 15 lat co jakiś czas będą odzywać się do siebie, pytać, czy coś z tym w końcu zrobią. I za każdym razem potem będzie tak samo – powrót myślami do koszmarów wywoła falę mdłości, depresję, bezsilność. Wstyd. Będą mówić o ukaraniu gwałciiciela, ale nie będą mieli sił, by go rozliczać.

Szkola zła

W biografii księdza arystokraty, poświęconych jego działalności na rzecz Solidarności, wątek pochodzenia zwykle budzi podziw. Z pałaców dzisiejszej Ukrainy, przez Syberię, aż do Francji. Z arystokratycznej rodziny do prostego księżowskiego pokoju, w którym jest miejsce tylko na biurko i półkę książek. Szacunek budzić też będzie jego przyjaźń z prymasem Głębim i kardynałem Wyszyńskim oraz serdeczna, koleżeńska relacja z papieżem.

Szkola dla polskich chłopców w Paryżu, prowadzona pod auspicjami episkopatu Polski, to trwający 15 lat odcinek tej biografii. Tuż po wojnie grupa księży wyzwolonych z obozu Dachau i przybyłych do Francji założyła tam seminarium. Dostaną pod opiekę opuszczony dom po irlandzkim gimnazjum, w samym centrum Paryża, w historycznej Dzielnicy Łacińskiej, kilkadziesiąt metrów od Sorbony. Wyremontują go za pieniądze Polonii ze Stanów. Z czasem otworzą seminarium. Potem seminarium niższe, do którego przyjmować będą chłopców od dziewiątego roku życia; w każdym roczniku będzie od kilku do kilkunastu uczniów, w całej szkole – ok. 40 dzieci w wieku od 9 do 20 lat.

Szkola to piękny budynek. Ogromne wrota, za nimi dziedziniec otoczony starymi kasztanowcami, krużganki i piętrowa bryła w stylu Pałacu Inwalidów. Bartosz i jego koledzy z Niższego Seminarium Duchownego zapamiętają jednak raczej ciężkie, żelazne kraty w oknach parteru i piętra. Bo niby wolno im było wyjść stąd na miasto, także tym najmłodszym, dwa razy w tygodniu na godzinę, jednak żyło się jak w więzieniu.

Status formalny szkoły nie był do końca jasny. Przyjmowała polskie dzieci z rodzin imigrantów z Francji, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Czech, ale również z Polski. Była płatna. Rodzice, nawet jeśli nie byli bogaci, mieli nadzieję, że nauka w Paryżu to furtka do lepszej przyszłości dla dzieci. I po części tak się nawet działo; wychowankowie kończyli europejskie uczelnie, wielu zrobiło kariery. Zanim dziecko przyjęto, ksiądz Eugeniusz Plater, szara eminencja szkoły, osobiście odwiedzał rodzinę, niezależnie od kraju. Przyjmowano go w tych domach jak świętego – powściągliwy w zachowaniu, wielkopański w manierach, umiał oczarować każdego. Jeśli wywiad wypadł dobrze, dziecko przyjmowano do szkoły. Tylko chłopców.

Za kratą zaczynało się życie niemal klasztorne. Prysznic – tylko raz w tygodniu, jak była gorąca woda. Zakazy, nakazy i ścisła hierarchia. Widoczna najwyraźniej przy posiłkach. Półmiski z jedzeniem wędrowały po stole, poczynając od starszych uczniów do najmłodszych, dla których – dziewięcio- i dziesięcioletków – często na końcu nic już nie zostawało. Inaczej było z nauczycielami, którzy siedząc przy osobnych stołach, mogli ucztować do syta. Stąd pierwszą obok polskiego naukę w paryskiej szkole była kradzież; dzieciaki kradły jedzenie poza szkołą albo sobie nawzajem, jeśli ktoś przywoził coś z domu. Z czasem chłopcy z klasy Bartosza nauczyli się za pomocą sznurka wyciągać pieniądze z automatów telefonicznych. Mając pieniądze, nie musieli kraść jedzenia. Mogli je sobie kupić.

Doktor chory

Eugeniusz Plater był wychowawcą najmłodszych. Jego pokój ulokowano po przeciwnej stronie korytarza co sypialnie dzieci. Plater miał też w szkole funkcję lekarza – choć nim nie był. Nieopodal jego pokoju mieściła się salka chorych. Wzywał tam chłopców, kładł na łóżku. Wychowankowie szkoły dopiero po latach orientowali się ►

► ze zdziwieniem, że temperaturę ciała można mierzyć również pod pachą, a nie tylko w odbycie. Albo w genitaliach, na których Plater mierzył gorączkę dłonią.

Tadeusz, mieszkający w Wielkiej Brytanii, ma z tych czasów jedno dobre wspomnienie: gdy przyjechała mama, a ksiądz pozwolił mu do niej podbiec. Miał wtedy 11 lat. Nie było go na spotkaniu w hotelu w 2011 r., bo nie dotarła do niego wiadomość, że takie zaplanowano. Może również dlatego, że przez całe dekady starał się wymazać z pamięci tę szkołę. Na przykład te podłużne zielone przedmioty, których używał ksiądz Plater. Było jak zwykle w tych przypadkach – salka chorych i pozory leczenia kolejnych tajemniczych chorób. Ale po pewnym czasie Plater zamiast palca zaczął używać zielonej jakby zatyczki analnej, która rozpychała odbyt dziecka, jakby ksiądz chciał je przygotować na więcej. Tadeusz próbował zapomnieć też „badania” w parach – Plater brał do siebie po dwóch chłopców, kazał im zdjąć majtki, przekładał jednego przez jedno kolano, drugiego przez drugie, po czym bił, często do krwi. Po wszystkim Mr Hyde zmieniał się w Dr. Jekylla – przytulał i pocieszał. Całował w czoło, radził obmyć twarz z łez.

Tadeusz, Bartosz, Piotr, Staszek, każdy z pozostałych, mają głęboko wryte w pamięć butelki z oranżadą. Zawsze stała na stole. Mogli się nią poczęstować – po wszystkim. Przez całe lata kształt butelki oranżady wywoływał odruch wymiotny u dorosłego Bartosza.

Niektórych, wybranych, odurzał. Nie wiedzą czym. Może valium? Budzili się potem we własnych łóżkach bez spodni i obolali. Bartosz, Dawid i Tomek – ten, który nie żyje. Bartosz przez całe życie zastanawiał się, dlaczego on, a może był ktoś jeszcze? Niektórym ksiądz jedynie grzebał w majtkach. Z perspektywy czasu uważa Platerowe „testy na nocne moczenie” za testowanie charakterów – jakby oprawca badał, do jakiego miejsca może się posunąć. Starszy brat Bartosza, obmacywany, protestował mocno i wyraźnie, ksiądz Plater odpuszczał. Mimo wielu lat terapii, pracy nad sobą, sukcesów zawodowych i życia, które wielu patrzących z boku uznałoby za wymarzone, jak większość ofiar Bartosz czuje się winny tego, że właśnie jego skrzywdzono, winny tego, że tyle czasu milczał. Latami analizował i obwinał siebie: może był za miękki?

Gdy Plater mówił: „Klękni”, to klękał. Gdy mówił: „Odwróć się, ściągnij majtki”,

to ściągał. Ale przecież ksiądz prałat nie tylko wykorzystywał dzieci seksualnie. Tych, co się stawiali, łamał. Weźmy Tomka. Delikatny chłopak, który jednak miał w sobie dużo charyzmy. Plater nie tylko go gwałcił, lecz również gnębił. Tomek zwierzył się koledze, zanim popełnił samobójstwo.

Patrząc z perspektywy wielu lat, Bartosz zaczął też jednak dostrzegać, że w zachowaniach Platera – bez wątpienia draپیczy seksualnego, o którym mówiono gorzkim żartem, że nawet pies by mu odpowiadał, gdyby z seminarium zabrano chłopców – chodziło również o władzę. Podniecało go, że może nimi rządzić. Łamać ich. Upokarzać. Instytucja zamkniętej kościelnej szkoły z internatem była dla takich dewiacji idealną sceną.

Niewywabialna plama

Ksiądz Plater przestał być wychowawcą po wakacjach w 1982 r. Później przez dwa lata uczył już tylko francuskiego. Aż w końcu w 1985 r. całkiem zniknął, bez celebry, bez pożegnalnych mszy – uczniowie przyjechali do szkoły, a Platera nie było. Nikt niczego nikomu nie tłumaczył. Nie ma, to nie ma. Nie pytali. Byli ogromnie szczęśliwi, że Plater w końcu zniknął.

Po 18 latach rządów w szkole przeniesiono księdza do podparyskiej parafii, w której mieszka i proboszczuje do dziś (za parę lat apologeci księdza napiszą o tej decyzji, że ksiądz „doznał przykrości od polskiego środowiska”). W szkole nastały inne rządy, zmieniło się wszystko i nikt już nie badał uczniów, wkładając im ręce w odbyt. Po kolejnych kilku latach Niższe Seminarium rozwiązano. Spotkanie z Janem Pawłem II, bierzmowanie z rąk kardynała Józefa Glempa – to wspomnienia, które zostały w pamięci i na zdjęciach dorosłych dzisiaj wychowanków szkoły. Tak jak szkolne świadectwa, legitymacje i wyniki matur. Wszystkie te dokumenty, nadgryzione zębem czasu, opieczetowują wyraźne insygnia Niższego Seminarium Duchownego w Paryżu. Miejsca, o którym dzisiaj Konferencja Episkopatu Polski chciałaby chyba zapomnieć.

W 2011 r. w mężczyznach, których wychowawcą był Plater, była jeszcze gotowość, by wszystko załatwić po cichu – „dla dobra Kościoła”. Chcieli jedynie, by ktoś dostrzegł ich krzywdę. By przestępca seksualny został ukarany, by zdjąć już mu tę koronę z głowy. Przywołani do porządku przez starszych kolegów na lata ucichli i czekali, że ktoś w końcu

zajmie się sprawą Platera. I tylko każdy wywiad, tekst prasowy poświęcony „świećlanej postaci księdza patrioty” przypłacałi rozstrojem żołądka albo kacem.

Aż w 2022 r. obudził się jeden z nich. Nie było go na spotkaniu w Paryżu, ale być może wszedł w ten etap terapii, że zapragnął mówić. Skrzyknął pozostałych. Umówił spotkanie w Warszawie, na które sam nie dotarł; nie dał rady. Tak się często dzieje, że w terapii traumy po fazie złości i euforii następuje faza głębokiej niemocy, braku siły.

Pozostali zjechali do Warszawy dopiero w czerwcu 2025 r. Pięciu, z różnych krajów Europy. Spotkali się na Dworcu Centralnym – po raz pierwszy po ponad 40 latach – i wpadli sobie w ramiona. Żartowali, opowiadali dowcipy – ustalili, że tym razem to nie Plater będzie układał im scenariusz, ale oni sami. Spędzili razem dzień.

Ale wcześniej poszli złożyć zawiadomienie do prokuratury (która zapewne umorzy sprawę z powodu przedawnienia, ale chcą, żeby na papierze został ślad po przestępstwach) i do oficjalnie działającej, powołanej w 2019 r., Państwowej Komisji ds. Przeciwdziałania Wykorzystaniu Seksualnemu Małoletnich poniżej lat 15, której pracami od 2023 r. kieruje adwokat Karolina Bućko. Z wejściem od ul. Emilii Plater, tak się składa. Po drodze łapali się na tym, że u każdego z nich widok koloratki budzi takie samo przerażenie. Bartosz, Tadeusz, Staszek, Piotr i Kamil złożyli zeznania. Nie chcą dłużej milczeć. Czują, że zrobili najważniejszy krok. Razem mają poczucie dużo większej siły niż przez ostatnie 40 lat dźwigania tej historii w pojedynkę. Dzielą się odwagą, wspierają doświadczeniem, wiedząc, że przed nimi kolejne wyzwania, takie jak proces kościelny czy dochodzenie odszkodowań. Chodzi jednak przede wszystkim o postawienie w prawdzie człowieka, którego zasługi dla Solidarności zderzyć trzeba z dramatem młodych chłopców.

A po nich, ośmieleni niewielkim wpisem na zamkniętej grupie wychowanków, zaczęli się zgłaszać kolejni. Do dziś zeznania przed komisją złożyło dziewięć osób.

W 2019 r. francuska Konferencja Episkopatu powołała Niezależną Komisję ds. Wykorzystywania Seksualnego w Kościele (CIASE). Wynikiem jej prac był opublikowany w 2021 r. raport, z którego jednoznacznie wynika, że w ciągu 70 lat (1950–2020) ofiarami nadużyć



Ksiądz prałat Eugeniusz Plater-Syberg (w środku) odbiera Medal Wdzięczności w historycznej Sali BHP Solidarności, Gdańsk, 19 maja 2011 r.

seksualnych ze strony katolickich duchownych we Francji padło 216 tys. osób. Wśród nich z pewnością cały czas nie ma ofiar księdza Eugeniusza Platera. Właśnie dlatego tych dziewięciu mężczyzn, którzy już spotkali się z Komisją i złożyli zawiadomienia do prokuratury w Polsce, zainicjowało kontakt z francuską prasą. Chcą dotrzeć także do tamtejszych ofiar księdza Eugeniusza Platera. Sprawa, która niewątpliwie ma charakter międzynarodowy może, odsłonić jeszcze wiele nowych wątków, przez co każdą liczbę ofiar na tym etapie uznać należy za niedoszacowaną.

Dawni wychowankowie prałata, którzy złożyli w Polsce zeznania, przeglądają internet i czytają, że od prac komisji kościelnej ds. pedofilii odsunięto właśnie abp. Wojciecha Polaka, uważanego za jedyną osobę spośród hierarchów kościelnych realnie zainteresowaną określeniem skali problemu. I że nie zostanie powołana grupa niezależnych ekspertów, którzy zmierziliby się z problemem pedofilii w Kościele i wypracowali systemowe rozwiązania dla zadośćuczynień. Komisja miała się odbyć, ale w dniu, gdy ofiary księdza Platera składały zeznania, ogłoszono oficjalnie,

że jednak będzie jak zawsze: ogólne deklaracje, żadnych konkretów.

Wyleczyć koszmary

Historia ks. Eugeniusza Platera-Syberga przypomina o sprawie kardynała Henryka Gulbinowicza, także zasłużonego dla Solidarności, do którego sprawiedliwość zapukała dopiero, gdy miał 96 lat. W 2019 r. Nuncjatura Apostolska w Polsce opublikowała oficjalną informację o „decyzjach dyscyplinarnych” z Watykanu, zgodnie z którymi zakazano hierarsze używania insygniów biskupich, pozbawiono go prawa do nabożeństwa i pochówku w katedrze, a także nakazano wpłacenie „odpowiedniej sumy pieniędzy” jako darowizny na działalność kościelnej fundacji św. Józefa. Jednym z głównych zarzutów wobec – jak określił go w jednym z wywiadów ks. prof. Kobyliński – kościelnego „kingmakera” była sprawa o molestowanie w latach 90. ucznia seminarium z Legnicy. Drugim z poważnych zarzutów były osobiste poręczenia kardynała za księży pedofilów w prokuraturze, a także nieprzekazywanie informacji o toczących się postępowaniach do Watykanu. Chodziło m.in. o sprawę ks.

Edwarda P., który w 2002 r. został skazany na półtora roku więzienia w zawieszeniu na cztery lata za molestowanie dwóch 14-letnich ministrantów, a także bulwersującą historię ks. Pawła Kani, który w 2015 r. został skazany na karę siedmiu lat pozbawienia wolności za gwałt i seksualne wykorzystywanie trzech nieletnich chłopców.

Tak jak w 2019 r. mimo sędziwego wieku postawiono w prawdzie kardynała Henryka Gulbinowicza, tak samo dzisiaj skrzywdzeni przez ks. Eugeniusza Platera-Syberga mówią, że ich koszmary senne może wyleczyć jedynie prawda o tym, co się działo za zamkniętymi drzwiami Niższego Seminarium Duchownego w Paryżu.

MARTYNA BUNDA
DR AGATA PŁACHECKA
(Instytut Nauk o Polityce i Administracji,
Uniwersytet Zielonogórski)

PS Mimo wielokrotnych prób nie udało nam się skontaktować z prałatem Platerem. Omówione na początku tekstu nagranie z lipca 2011 r. zostało przekazane Państwowej Komisji ds. Przeciwdziałania Wykorzystaniu Seksualnemu Małoletnich.

Picie kobiet w ciąży to temat tabu. Jak z tym jest naprawdę, sprawdziła badaczka Katarzyna Okulicz-Kozaryn. Okazało, że połowa z przebadanych kobiet sięgała po alkohol w ciąży. Część z braku świadomości, inne z powodu własnych problemów.

Rwanie włosów

JULIUSZ ĆWIELUCH: – **Piła pani w ciąży?**

KATARZYNA OKULICZ-KOZARYN: – Nie. Należę do tych kobiet, które w czasie ciąży dmuchają na zimne i unikają zbędnego ryzyka.

Badane przez panią świeżo upieczone matki mówiły to samo.

To prawda. Większość z nich mówiła, że nie piła w ogóle albo okazjonalnie, ewentualnie w pierwszym trymestrze, zanim dowiedziały się, że zaszły w ciążę. Wszystkie przebadane kobiety dobrowolnie z nami rozmawiały. Zgadzały się też na oddanie próbki włosów do analizy pod kątem stężenia etyloglukuronidu (EtG), czyli biomarkera alkoholowego. Wyniki tych analiz pokazały, że połowa z przebadanych w czasie ciąży piła z różnym natężeniem. W tym 10 proc. piło na tyle dużo, że istniało poważne ryzyko uszkodzenia płodu.

To dlaczego zgodziły się na pobranie włosów do badań?

Myślę, że wyjaśnieniem może być fakt, że to były pierwsze tego typu badania w Polsce. Był to eksperyment zarówno dla nas, jak i dla nich. Chociaż na świecie takie badania są prowadzone stosunkowo niedawno. I zawsze ich wyniki wskazują na wyższe rozpowszechnienie picia alkoholu w czasie ciąży, niżby to wynikało z wypowiedzi samych ciężarnych.

Na ile precyzyjna jest ta metoda?

Wyniki kilkunastu badań naukowych w różnych krajach pokazują, że analizy

potwierdzające picie alkoholu są trafne niemal w 9 na 10 przypadków. Jednak analiza EtG może nie wykryć umiarkowanego spożycia alkoholu. Z perspektywy naszych badań ogromną zaletą analizy biomarkera alkoholu we włosach matki jest też to, że pozwala ona objąć bardzo długi czas – nawet dziewięć miesięcy ciąży. EtG odkłada się we włosach w miarę ich wzrastania i pozwala określić picie w każdym trymestrze ciąży.

A to ma jakieś znaczenie?

Tak. Chociaż mózg i układ nerwowy dziecka, czyli to, co jest najbardziej wrażliwe na działanie alkoholu, rozwijają się przez całą ciążę, już od trzeciego tygodnia. Dlatego spektrum płodowych zaburzeń alkoholowych (FASD) może być wynikiem picia alkoholu w każdym trymestrze. Natomiast picie alkoholu w pierwszym trymestrze ciąży może mieć wpływ nie tylko na funkcjonowanie układu nerwowego, ale też na budowę mózgu i głowy dziecka, co prowadzi do FAS, czyli płodowego zespołu alkoholowego. O tym, że dziecko ma FAS, świadczą charakterystyczne deformacje twarzy: wąska czerwien wargowa górna, spłaszczona rynienka podnosowa i krótkie szpary powiekowe. To objawy fizyczne, które mogą współwystępować też z zahamowaniami wzrastania. Jednak najgorsze są te niewidoczne uszkodzenia neurologiczne. O tym, jak głęboko uszkodzone są mózg i układ nerwowy, dowiadujemy się dopiero w trakcie rozwoju dziecka.

Ile promili miało dziecko rekordzista zaraz po urodzeniu?

Nie mam pojęcia. Nie ekscytuję się takimi informacjami, chociaż bardzo współczuję takim dzieciom, ich mamom i rodzinom. Poprzez te badania chciałam przede wszystkim zwrócić uwagę lekarzy na skalę zjawiska, choć to rzuca światło na problem jedynie w dużym przybliżeniu.

Dlaczego w dużym przybliżeniu?

Bo na podstawie próby złożonej ze 150 kobiet przebadanych w jednym ośrodku miejskim, czyli w Warszawie, a konkretnie w jednym szpitalu, nie można wnioskować o sytuacji w całym kraju. To bardziej potwierdzenie pewnych podejrzeń i tropów badawczych. W naszej próbie żadna z kobiet nie odpowiedziała twierdząco na standardowe pytanie wywiadu medycznego o nałogi. Oznacza to, że poza dramatycznymi przypadkami, gdy matka rodzi w stanie upojenia alkoholowego i dziecko przychodzi na świat z promilami, nasz system opieki zdrowotnej nie dostrzega picia alkoholu podczas ciąży.

Każdy taki nagłośniony przypadek kończy się medialnym linczem.

Zdecydowanie nie chciałabym, żeby moje badanie uderzało w kobiety. Raczej w system opieki perinatalnej, który wymaga poprawy. Ja się nie dziwię mamom, które zaprzeczają picie alkoholu w czasie ciąży. Amerykanie robili szerokie badania społeczne na ten temat. Wynika z nich, że kobiety, które piją w ciąży, są gorzej oceniane niż te uzależnione od narkotyków, skazane i odbywające karę więzienia, także gorzej niż kobiety z poważnymi zaburzeniami psychicznymi. Gdyby ktoś zbadał percepcję pijących w ciąży w Polsce, skala ostracyzmu byłaby pewnie jeszcze większa. A jednocześnie jesteśmy społeczeństwem, które ciągle ma stosunkowo wysokie przyzwolenie dla pijących mężczyzn.

Czy trudno było zrealizować badania?

Byłoby trudno, gdyby nie współpraca z rzymskim Instytutem Zdrowia. Głównie ze względu na koszty. Robiłam wstępną wycenę takich analiz laboratoryjnych. Okazało się, że w Polsce właściwie nie bardzo jest komu je zlecić. A jeśli już, to koszty były z sufitu, rzędu 800 zł za próbkę, którą i tak wysyłano za granicę. W Polsce takie badania robią może policyjne laboratoria, ale na rynku usług cywilnych nie udało mi się znaleźć satysfakcjonującej oferty.

Od jak dawna stosowana jest ta metoda w celu oszacowania

rozpowszechnienia picia alkoholu przez kobiety w ciąży?

Pierwsze publikacje, z którymi się spotkałam, pochodzą mniej więcej z 2010 r. W tym czasie kilka ośrodków wyspecjalizowało się i udoskonaliło tę metodę. Powstało nawet Międzynarodowe Towarzystwo Badania Włosów, które określa standardy tego typu badań. Z włosów można wyczytać wiele informacji przydatnych np. w badaniach nad zanieczyszczeniem środowiska lub używaniem innych substancji psychoaktywnych. Włosy gromadzą i odkładają metabolity, które po wnikięciu do struktury włosa już w nim zostają. W efekcie włosy dają najdłuższe okienko detekcji. Próbkę z krwi pepowinowej mówi o picie w ciągu ostatnich 12 tygodni ciąży, smółka – najwyżej 20 tygodni. A włos pozwala sięgać wiele miesięcy wstecz. Oczywiście, jeśli jest odpowiednio długi. W tym wypadku próbka musiała mieć co najmniej 9 cm długości, ponieważ przyjmuje się, że średnio włosy rosną ok. 1 cm na miesiąc. Do badania pobieraliśmy pasemko mniej więcej grubości ołówka, cięte blisko skóry głowy.

Z takiego cieniutkiego włosa można tyle powiedzieć o człowieku?

Tak. Dlatego jako pierwsze tę metodę stosowały służby i policja, która używała wyników w sądach i nie kojarzę, żeby było to podważane na szerszą skalę. Oczywiście dobrą praktyką jest weryfikacja jednego testu poprzez inne, niezależne badanie, np. sprawdzenie wyników EtG we włosach poprzez analizę fosfatydyletanolu (PEth), czyli innego markera alkoholu obecnego we krwi. W badaniach epidemiologicznych ze względu na koszty zwykle poprzestaje się na analizie jednego biomarkera.

W jakich jednostkach określa się stężenie?

W pikogramach na miligram włosów, czyli bilionowych częściach grama.

Zer bym nawet nie policzył w takiej jednostce. I pewnie nie tylko ja.

To jak opowiedzieć o tym po ludzku?

Jeśli stężenie alkoholu w miligramie włosa przekracza 30 pikogramów, możemy mówić, że alkohol pity był nadmiernie. Po ludzku to znaczy, że badana osoba wypijała co najmniej cztery porcje alkoholu kilka razy w tygodniu. Na przykład po dwa półlitrowe piwa dziennie albo pół butelki wina nie rzadziej niż dwa razy w tygodniu. Ilości daleko wykraczające poza kieliszek do obiadu.

Jeśli ktoś miał przekroczone te 30 pikogramów, to czy to oznaczało, że płód był narażony na uszkodzenie?

Według badaczy posługujących się tą metodą przy takich stężeniach istnieje 80-procentowe prawdopodobieństwo, że dziecko może mieć jakieś uszkodzenia poalkoholowe.

Ile ze 150 przebadanych przez panią kobiet miało te 30 pikogramów?

15, czyli 10 proc.

To chyba dużo.

Ja też tak myślę. Kolejne 40 proc. kobiet przekraczało próg wykrywalności. Czyli piły na tyle, żeby wyszło to w badaniu. Ale już nie tak ryzykownie jak te 10 proc. Jednak pamiętajmy, że i próg wykrywalności (według wspomnianego już międzynarodowego Towarzystwa Badania Włosów to obecnie 5 pikogramów i górna granica 30 pikogramów) to kwestia umowy między specjalistami określającymi standardy badania.

Czy badaniu towarzyszyły też rozmowy na zasadzie, ile pani pije?

Tak. Od tego zaczynaliśmy. Ale już po badaniu okazało się, że nie było żadnego związku między tym, co panie nam mówiły w wywiadach, a danymi z analizy włosów. 30 proc. ankietowanych przez nas kobiet powiedziało, że mogły wypić niewielką ilość alkoholu, zanim się dowiedziały, że są w ciąży. Jednak paradoksalnie w większości przypadków były to osoby, które wypijały tak mało, że nie było to wykrywalne we włosach.

A te, które twierdziły, że w ogóle nie piły?

Czasami wyniki analizy włosów to potwierdzały, a czasami nie. Co ciekawe, nie ma właściwie badań, w których by weryfikowano wyniki analizy biomarkera poprzez rozmowę z osobą, od której pobrano próbkę. Specjaliści, czyli biolodzy, chemicy czy medycy, przyjmują, że analiza biomarkera jest rzetelną i obiektywną miarą, a wypowiedzi samych zainteresowanych są obarczone poważnym błędem wynikającym z potrzeby zaprezentowania się w jak najlepszym świetle. Po dwóch latach od badania wróciłyśmy do wywiadów z kobietami, które udostępniły nam próbki włosów.

I wtedy się dowiedziały, co wyszło z ich włosów?

Tak. Ale nie to było celem rozmowy. Przede wszystkim chciałyśmy sprawdzić, jak rozwijają się dzieci. Przy okazji nasze rozmówczynie mogły się dowiedzieć, co wyszło z badania ich włosów. ►

► Wcześniej tej wiedzy nie miały. Szczerze mówiąc, same byłyśmy ciekawe, jak zareagują na te informacje.

I jak reagowały?

Część w ogóle nie zareagowała. Nie komentowały wyniku z włosów, ale od razu mówiły, że z dzieckiem jest wszystko OK, jest zdrowe i świetnie się rozwija. Inne zaprzeczały. Jedna wprost powiedziała, że przecież gdyby piła, toby się nie zgodziła na udział w tym badaniu. A niektóre poszukiwały innych niż picie alkoholu możliwych wyjaśnień tych nieprawdopodobnych ich zdaniem wyników, np. dopytywały, czy kosmetyki na bazie alkoholu mogły być przyczyną podwyższonego EtG. Zresztą nie do wszystkich kobiet udało się nam dotrzeć. Niektóre były niedostępne lub odmówiły rozmowy. Jedna z pań przyznała, że jest osobą uzależnioną. Ale kiedy się dowiedziała o ciąży, to rzuciła picie.

Rzuciła?

Z włosa wychodziło, że piła dużo w pierwszym trymestrze, ale w kolejnych ewidentnie ograniczyła spożycie, choć wyniki EtG były powyżej progu wykrywalności. Ale to i tak ogromny sukces wyrażający troskę o dziecko i poczucie odpowiedzialności za jego zdrowie. W czasie ciąży każde ograniczenie picia zwiększa szanse dziecka na zdrowie i prawidłowy rozwój. A wyniki badań pokazują, że dla wielu kobiet z problemem alkoholowym właśnie zajście w ciążę pozwala im się z nim uporać.

Czy o picu w ciąży da się rozmawiać bez emocji, jakoś to niuansować?

Nie chodzi o niuansowanie, ale o budowanie przestrzeni do rozmowy i rzeczowego wyjaśniania wątpliwości. Tym bardziej że internet – dziś podstawowe źródło wszelkiej wiedzy – jest pełen sprzecznych informacji na temat picia alkoholu w ciąży. I właściwie każdy może tam znaleźć treści potwierdzające jego własne przekonania. A poza tym w przypadku osób uzależnionych trudno kogoś winić, że pije. Tak jak ciężko winić kogoś, że ma nowotwór. Jedno i drugie to choroba.

A jak palę papierosy i mam raka płuc, to też mnie nie można obwiniać?

Raka płuc można dostać, nie będąc palaczem, więc to trochę akademicka dyskusja. Specjalnie mówimy o chorobie alkoholowej, bo te osoby nie panują nad swoim postępowaniem. To jedna sprawa. Druga to kwestia otoczenia społeczne- go. Przecież ta kobieta nie zaszła w ciążę



Katarzyna

Okulicz-Kozaryn – psycholog, dr n. hum., specjalistka w dziedzinie promocji zdrowia i edukacji zdrowotnej. Adiunkt w Zakładzie Zdrowia Dzieci i Młodzieży Instytutu

Matki i Dziecka w Warszawie. Koordynatorka projektów dotyczących FASD (spektrum płodowych zaburzeń alkoholowych), m.in. oszacowania rozpowszechnienia FASD w populacji generalnej dzieci w wieku 7–9 lat.

sama ze sobą. Jest jakiś mąż albo partner. Jest rodzina, jest lekarz prowadzący. Jest jakiś system, ale on nie działa.

Polska, kraj niedziałających systemów – taką książkę kiedyś napiszę.

Ona się sama pisze, ciężko pewnie byłoby coś dodać. Muszę się przyznać, że kiedy szykowałam się do badania, to największy sceptycyzm co do jego sensowności wykazywało środowisko medyczne, chociaż nie w samym Instytucie Matki i Dziecka w Warszawie. Osobiście spotkałam się z opiniami: nie ma problemu, po co to badać, a nawet: tyle lat pracuję i nie pamiętam, żeby jakaś moja pacjentka piła.

To ja bym jeszcze dodał: w naszym rodzinie takich rzeczy nie ma.

I jeszcze: to problem patologii.

Akurat z naszych badań wynika coś absolutnie innego. Picie ogólnie, ale również picie w ciąży, jest zjawiskiem niezwykle demokratycznym. Piją i nizinie, i wyżyny społeczne, a także środek tej układanki, czyli klasa średnia. Ale to temat na inną rozmowę. Podczas pierwszej wizyty lekarz lub położna przeprowadzają z ciężarną wywiad dotyczący jej zdrowia i zachowań zdrowotnych. Jest tam jedno, bardzo nieprecyzyjne pytanie o spożywanie alkoholu. Tak sformułowane, że wręcz narzuca odpowiedź: nie, nie spożywam. Trzymając się wyników takich wywiadów, rzeczywistość nie widzi się problemu picia w ciąży.

Ale przecież lekarz nie jest głupi.

Może to sprawdzić na wielu innych sposobów.

Tylko po co? To przecież dodatkowy kłopot, z którym niewielu lekarzy umie sobie poradzić. Brakuje jasnych procedur i szkoleń ułatwiających lekarzom i położnym rozmowę z pacjentką na temat picia alkoholu. Poza tym wielu specjalistów uważa, że pytanie pacjentek o picie alkoholu może je urazić i w efekcie poszukają sobie innego lekarza. A to pokazuje, że picie alkoholu nie jest dla nich takim czynnikiem ryzyka jak np. palenie

papierosów. Bo o papierosach większość lekarzy dość swobodnie rozmawia z pacjentami. W efekcie zostawiamy kobiety same z ich problemami i wątpliwościami. A ciąża to przecież nie jest prosta sprawa. Z jednej strony szalejące hormony, z drugiej – nudności i puchnące nogi.

Ciąża to przecież nie choroba.

Ja tego zdania bardzo nie lubię, bo ono często padało z ust kobiet, które uważały, że można czasami sięgać po alkohol w ciąży. O tym się przekonaaliśmy w trakcie badań fokusowych, jakie były robione przed laty jeszcze na zamówienie zlikwidowanej jakiś czas temu Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych (PARPA). Wtedy próbowaliśmy zrozumieć tok myślenia kobiet, które nie przestają pić w ciąży.

A jak znaleźć chętnie do takiego badania?

Dobre pytanie. Agencja, w której zamówiliśmy badanie, nie miała z tym większego problemu. Gorzej było z zaproszeniem ich na wywiady fokusowe. Ostatecznie i to się udało. I to były fascynujące badania, bo pozwoliły mi lepiej zrozumieć sposób myślenia kobiet, które uważają, że trochę alkoholu nie zaszkodzi. To właśnie z ich ust najczęściej padało, że ciąża to nie choroba. Trzeba żyć normalnie. A normalnie to znaczy, że od czasu do czasu mogę sięgnąć po prosecco czy piwo.

Jak mama ma lepszy nastrój, to i dziecko jest szczęśliwsze.

Był jeszcze jeden często powtarzany argument: jest tyle różnych zagrożeń ciąży, chociażby zanieczyszczenia powietrza, to też przecież wpływa na rozwój płodu. Nie mam nad tym kontroli, nie mogę tego zmienić, więc dlaczego mam się akurat alkoholem przejmować bardziej niż innymi. No i jeszcze jeden argument: ponieważ nie ma silnych dowodów na to, że niewielkie ilości alkoholu w ciąży szkodzą, to znaczy, że trochę mogę wypić.

Czy wyniki pani badań odbiegają jakoś od wyników z innych krajów europejskich?

Właściwie to nie, bo picie kobiet to trend. Podsycany zresztą skutecznie przez branżę alkoholową na całym świecie. A picie kobiet w ciąży to odprysk tego trendu. Tak to wygląda globalnie. A w mikroskali to Polki chyba mają większy problem ze znalezieniem wśród lekarzy i położnych wiarygodnego i kompetentnego partnera do rozmowy o alkoholu i ciąży.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ CWIELUCH

Strzały w ciemno

Trybuny w trakcie meczu ich nie dopingują. Mogłyby zagłuszyć piłkę, której zawodnicy nie widzą. W Polsce gra się w blind football już od ponad 10 lat.

FILIP ZAGOŃCZYK

Do końca meczu Wisły Kraków ze Śląskiem Wrocław pozostało kilka minut. To finał Pucharu Polski, w którym wiślacy prowadzą jeden do zera. Pozostający na ławce rezerwowych Śląska Adrian Słoninka nerwowo przebiega nogami: „Trenerze, ja muszę wejść, trzeba wyrównać!” – krzyczy. Adrian nie gra od początku, bo ma kontuzjowany duży palec u stopy. Trener jednak w końcu ulega i wpuszcza go na boisko. Po chwili sędzia dyktuje rzut wolny dla Śląska za grę na czas bramkarza wiślaków. Adrian podchodzi do piłki i strzela z całej siły. Piłka leci jak pocisk, odbija się od poprzeczki i wpada do bramki. Nie byłoby w tym może nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że Adrian zdobył tego gola z goglami i opaską na oczach. Gogle mają chronić oczy zawodników przed urazami. Opaska natomiast powoduje, że wszyscy widzą tyle samo. Czyli kompletnie nic. Na co dzień przeciętny wzrok każdego z nich jest uszkodzony w różnym stopniu. Opaska wyrównuje szanse, pogrążając wszystkich w ciemności. Adrian nie widział więc ani piłki, ani bramki, ani bramkarza. Tak właśnie gra się w blind football.

Z bandą i bez bandy

Piłkę nożną niewidomych rozwija się w Polsce od ponad dekady. Zaczęło się od tego, że grupa entuzjastów ze szkoły dla niewidomych i niedowidzących w Krakowie próbowała rozgrywać pierwsze mecze. W tym samym czasie powstawały drużyny we Wrocławiu i w Chorzowie. W stolicy Dolnego Śląska głównym organizatorem był Lubomir Prask, który został pierwszym trenerem kadry narodowej. – Nie mieliśmy jeszcze dzwoniących piłek ani band ochronnych na boisku – wspomina Mateusz Krzyszkowski, kapitan blindfootballowej reprezentacji Polski. – Koledzy kupili zwykłą piłkę, rozewrali, nasypali do niej granulatu, a potem jeździli do wulkanizatora, żeby ją zgrzała – wspomina.



Mecz Wisły Kraków ze Śląskiem Wrocław. Blind football to sport bardzo kontaktowy.

© ŚLĄSK WROCŁAW BLIND FOOTBALL



Strzał z rzutu wolnego. Bramkarze są jedynymi widzzącymi zawodnikami.

► W 2012 r. podczas mistrzostw Europy w Polsce i w Ukrainie rozegrano w Gdańsku blindfootballowy mecz towarzyski między zawodnikami z Wrocławia i Chorzowa. Przed spotkaniem przedstawiciele UEFA obiecywali, że dostarczą zawodnikom bandy ochronne. Okazało się jednak, że nie można ich ustawić na boisku, ponieważ groziłoby to zniszczeniem murawy. Niewidomi piłkarze zagrali więc bez band, a mecz spotkał się z dużym zainteresowaniem publiczności.

– Spotkanie było bardzo nietypowe – wspomina Adrian Słoninka. – Jeden z naszych wrocławskich zawodników musiał zagrać w drużynie z Chorzowa, bo im brakowało piłkarza. Na stadionie wypełnionym mniej więcej w połowie publiczność musiała zachowywać ciszę, bo przy dopingu nie usłyszeliśmy piłki. No i ta murawa. Też rzecz zupełnie nietypowa dla blind footballu, bo na co dzień mecze rozgrywane na sztucznej murawie, podobnej do tej, jaka jest na orlikach. Mimo wszystko mecz był wielkim przeżyciem.

Uwaga, idę!

Zawodnicy grają na boisku o wymiarach 20 x 40 m. Starają się trafić do bramki mniejszej niż w tradycyjnej piłce nożnej – szerokiej na 3,66 i wysokiej na 2,14 m. W drużynie jest czterech niewidomych graczy w polu i widzący bramkarz. Plac gry podzielony jest na trzy strefy, a trzech

przewodników pomaga zawodnikom zorientować się, gdzie jest piłka. W strefie obrony rolę przewodnika odgrywa bramkarz, który jednak nie może wychodzić dalej niż dwa metry od bramki, a w pozostałych dwóch strefach, środkowej i ataku, robią to trenerzy. Zawodnik, który znajduje się najbliższej gracza przy piłce, musi wypowiadać słowo voy (hiszp. idę), aby koledzy się domyślili, gdzie jest piłka i z kim trzeba o nią powalczyć. W blind footballu wykonuje się także przedłużone rzuty wolne z ośmiu metrów (po pięciu przewinieniach w jednej połowie) i rzuty karne z szóstego metra. Mecz trwa dwa razy po 20 minut, a przy każdej przerwie w grze zatrzymywany jest zegar. – Podczas naszych spotkań widzowie nie mogą wyjść z zachwyty, obserwując, jak niewidomi piłkarze dryblują, przeprowadzają szybkie indywidualne akcje i jak niezwykle jest ich orientacja w terenie – opowiada trener kadry narodowej Dominik Foryś.

Piłka nożna niewidomych, podobnie jak tradycyjna, wywodzi się z Europy. Pierwsi zaczęli grać Hiszpanie, ale prawdziwą miłością, wręcz religijną czcią, otaczają blind football piłkarze w Ameryce Południowej. Brazylia i Argentyna to od lat najpotężniejsze reprezentacje świata. Krążą legendy, że kiedy jeszcze w Brazylii nie było dzwoniących piłek, zawodnicy kopali butelki wypełnione grzechoczącymi elementami. Reprezentacja *canarinhos*

regularnie zdobywała tytuły mistrzowskie na paralimpiadach i dopiero w 2024 r. w Paryżu została zdethronizowana przez Francję, co było nie lada sensacją.

Poza Ameryką Południową piłka nożna niewidomych cieszy się popularnością w Turcji, Hiszpanii, Anglii, a także w Korei Południowej. W Polsce od dwóch sezonów mamy rozgrywki ligowe z udziałem pięciu drużyn: z Krakowa, Wrocławia, Poznania, Warszawy i Bielska-Białej. Pierwszym mistrzem Polski została Wisła Kraków, a w bieżącym sezonie ma dużą szansę na obronę tytułu. – O tym, że już prawie zdobyliśmy tytuł, zdecydował mecz ze Śląskiem Wrocław. Jedno z najbardziej emocjonujących spotkań, jakie widziałem w życiu – opowiada prowadzący Wisłę trener Dominik Foryś. – Zawodnicy z Wrocławia długo prowadzili 1:0, ale moi piłkarze wykazali się niezwykle wręcz determinacją. Grali szybko, zdecydowanie i agresywnie, dzięki czemu udało nam się wyrównać w końcówce. Przed ostatnim turniejem w sezonie mamy osiem punktów przewagi. Śląsk, żeby myśleć o tytule, musi wygrać wszystkie swoje mecze i liczyć na nasze dwie porażki – dodaje.

Gra niezwykle kontaktowa

Poza rozgrywkami pierwszej ligi mamy w Polsce trzy drużyny rywalizujące na niższym poziomie. Są to zespoły z Zabrze, Łodzi oraz drużyna Blind Football Poland, w której grają zarówno trenujące

piłkę dziewczyny, jak i piłkarze, którzy w innych drużynach pełnią funkcję rezerwowowych. – Można powiedzieć, że nasza liga to ogromne szczęście dla młodych zawodników. Nie muszą jeździć za granicę, żeby w ogóle mieć z kim grać – opowiada Mateusz Krzyszkowski. Kiedy w naszym kraju dyscyplina była w powijakach, jeździli na Węgry, do Czech, Niemiec czy Austrii, bo w Polsce nie było przeciwników. – Pamiętam swoje piłkarskie początki w 2015 r. Byłem jeszcze wtedy osobą niedowidzącą i grywałem z kolegami w piłkę, posługując się wzrokiem. Z czasem jednak widziałem coraz mniej. To był dla mnie trudny moment. Zrezygnowałem ze studiów, zastanawiałem się, co dalej będę robił – wspomina. Wtedy dwóch niewidomych kolegów, Marcin Ryszka i Martin Jung, poprosiło go o pomoc: „Trochę jednak widzisz. Może przyszedłbyś na nasz mecz i podawał piłkę, kiedy już my w ogóle nie będziemy mogli jej znaleźć”. – Przyszedłem i zakochałem się w blind footballu. Poznałem fantastycznych ludzi i przekonałem się, że pomimo problemów ze wzrokiem studiują, pracują, mają rodziny. Zdecydowałem się założyć gogle i opaskę. To była dla mnie rewolucja. Przez pierwszy rok uczyłem się, jak przełamać lęk przed przestrzenią. Swój pierwszy mecz w czeskim Brnie będę pamiętał do końca życia – zapewnia Krzyszkowski.

Blind football to gra niezwykle kontaktowa. Zawodnicy co chwila zderzają się ze sobą. – A ja mam opinię takiego, co nie odpuści i wsadzi głowę tam, gdzie inni nogi by nie włożył. Śmieję się, że przez pewien czas miałem kartę stałego klienta w krakowskim szpitalu na Wrocławskiej. Dwa razy zgłaszałem się do nich ze złamanym nosem, trzy razy z rozbitym łukiem brwiowym, ale kocham ten sport i wiem, że jeśli boli, to znaczy, że podjąłem prawdziwą walkę – mówi kapitan naszej kadry.

Polska gra obecnie w drugiej dywizji europejskiej. Na początku lipca w Krakowie odbędzie się turniej, w którym powalczymy o awans do pierwszej. Naszymi przeciwnikami będą Hiszpanie, Rumuni, Kazachstan i Kosowo. Awansują dwa pierwsze zespoły. Polacy dwukrotnie brali udział w mistrzostwach Europy. Za pierwszym razem w 2015 r. udało nam się wygrać mecz z Grekami 1:0. Drugi turniej, siedem lat później, zaczęliśmy od bezbramkowego remisu z broniącą tytułu Hiszpanią. Wygraliśmy z Rumunią 2:1 dzięki dwóm pięknym bramkom Martina Junga



Filip Zagończyk

jest absolwentem dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim, pracował w radiowej Czwórce. Prowadzi bloga kolociebie.com, poświęconego prawom osób z niepełnosprawnościami. Niewidomy od czwartego roku życia, od 16 lat porusza się na protezie prawej nogi. Wielki fan piłki nożnej. Kibic Legii i dumny opiekun Lizaka i Marcepana, dwóch kotów rosyjskich niebieskich.

z rzutów różnych. Po późniejszych porażkach zajęliśmy w turnieju siódme miejsce, co pozwoliło nam wystartować w rozgrywkach interkontynentalnych.

W 2023 r. w Indiach wywalczyliśmy trzecią pozycję, przegrywając w półfinale z Chile 1:4 i pokonując Koreę Południową 2:0 w meczu o trzecie miejsce. Przepiękną bramkę z Chilijczykami strzelił Paweł Zinkow. Uderzył mniej więcej z dwunastego metra prosto w okienko bramki. Niestety, na pięć minut wysiadła kamera i nikt nie nagrał tego niesamowitego gola. – Turniej w Indiach to był nasz olbrzymi sukces. Pamiętajmy, że blind football w naszym kraju dopiero się rozwija. Jako trener kadry mam do dyspozycji 14 ambitnych zawodników, zdolnych do podejmowania rywalizacji na poziomie międzynarodowym. Nasza dyscyplina staje się coraz bardziej popularna wśród młodzieży. Do gry w piłkę garną się także dziewczyny – mówi trener Forys.

Poznać kawał świata

W 2019 r. Śląsk Wrocław reprezentował Polskę na klubowych mistrzostwach świata w Bułgarii. W ostatnim meczu grupowym zdecydowanym faworytem była drużyna z Rosji, ale broniący polskiej bramki były golkipier reprezentacji Polski i wieloletni bramkarz Pogoni Szczecin Radosław Majdan obronił wszystkie strzały i wrocławianie awansowali do półfinału, gdzie wygrali po rzutach karnych. Majdan to niejedyny

światowej klasy bramkarz, który zagrał z niewidomymi – w blindfootballowej reprezentacji Niemiec występował były znakomity bramkarz Arsenalu i Borussia Dortmund Jens Lehmann. W finale Śląsk wygrał z zespołem z Mołdawii. O drużynie zrobiło się głośno. Gdy niewidomi piłkarze wracali do Wrocławia, na lotnisku czekał na nich Vitězslav Lavička (prezes klubu i trener) oraz kilku zawodników pierwszego zespołu. To był historyczny sukces całej polskiej piłki klubowej.

– Jestem w blind footballu już od 10 lat i mogę powiedzieć, że zmienił moje życie na lepsze – mówi Krzyszkowski. – Trenuję trzy razy w tygodniu. To uczysz systematyczności, przełamywania własnych ograniczeń. Sport kształtuje charakter i jest szansą na to, żeby zwiedzić kawał świata. Byłem już z kadrą na mistrzostwach we Włoszech i na turniejach w Maroku i w Indiach. Poznałem całą masę ciekawych ludzi i przeżyłem takie przygody, że większość nie nadaje się do publikacji w gazecie – uśmiecha się nasz reprezentant. I zachęca wszystkich młodych, którzy się jeszcze wahają, do przychodzenia na treningi. Żeby na własne oczy zobaczyli, jaka to piękna dyscyplina.

FILIP ZAGOŃCZYK

Zainteresowanych blind footballiem zapraszamy na kanał youtube'owy „Śląsk Wrocław blind football”, gdzie można zobaczyć m.in. relację z meczu Śląska z Wartą Poznań z komentarzem audiodeskrypcyjnym.

Ściśnięte gardło

Atak Izraela i USA na Iran miał pozbawić ten kraj zdolności do stworzenia broni jądrowej. Nie pozbawił go jednak dostępu do gospodarczej broni atomowej: blokady **cieśniny Ormuz**. Dlatego Teheran wciąż grozi, że może jej użyć w każdej chwili i wepchnąć świat w kryzys naftowy.

P

ADAM GRZESZAK

o tym jak amerykańskie superbomby spadły na irańskie instalacje atomowe, parlament tego kraju uchwalił zamknięcie cieśniny Ormuz. Świat zamarł w napięciu, co zrobi Najwyższa Rada Bezpieczeństwa Narodowego, która musiała tę decyzję zatwierdzić. Oto ważył się los jedynej drogi morskiej łączącej Zatokę Perską ze światem. A nad nią leżą Iran i Irak, Arabia Saudyjska, Kuwejt, Katar, Zjednoczone Emiraty Arabskie (ZEA) czy Oman. Przez cieśninę łączącą zatokę z Oceanem Indyjskim przepływa każdego dnia ok. 20 mln baryłek ropy, czyli jedna piąta światowego zapotrzebowania na ten surowiec. Płyne również skroplony gaz ziemny, także 20 proc. światowych potrzeb.

Ruch jest ogromny, bo Zatoka Perska to gigantyczne zagłębienie ropy i gazu. Wydobywają go tu wszystkie kraje. Najwięcej Arabia Saudyjska, ale też Kuwejt, Irak, ZEA, a także sam Iran, który jest dziewiątym producentem ropy w świecie. Płyne także skroplony gaz ziemny (LNG), eksportowany głównie przez Katar. Odbiorcami 80 proc. surowca z Zatoki są kraje Azji – Chiny, Indie, Korea Południowa, Japonia. Ale także Polska zaopatruje się w Zatoce, bo Orlen ma wieloletni kontrakt na dostawy saudyjskiej ropy i katarskiego LNG.

Premia za ryzyko

Amerykańska Agencja Informacji Energetycznej (EIA) uznaje cieśninę Ormuz za „najważniejsze na świecie wąskie gardło w tranzyście ropy naftowej”. Bo choć cieśnina w najwęższym miejscu ma 29 mil szerokości (54 km), to ruch w ciasnym zakręcie



może się odbywać dwumilowymi torami wodnymi w każdym kierunku. Przy takim natężeniu ruchu o kolizję gigantycznych tankowców nietrudno. Zwłaszcza że od momentu wybuchu konfliktu izraelsko-irańskiego wojsko zaczęło zagłuszać sygnał GPS, więc nawigowanie, zwłaszcza nocą i w trudnych warunkach, stało się trudne. Czego dowodem niedawne zderzenie dwóch tankowców u wejścia do cieśniny.

Dlatego niektórzy armatorzy już w chwili pierwszych ataków Izraela na Iran zakazali kapitanom wpływania do Zatoki Perskiej. Pozostali jednak nadal płyną, doliczając sobie premię za ryzyko i stosując zaostrzone procedury bezpieczeństwa (np. zakaz pokonywania cieśniny nocą). Mimo padających bomb, rakiet i dronów biznes musi toczyć się dalej, bo świat bez ropy i gazu z Zatoki Perskiej nie jest w stanie funkcjonować.

– Pływanie w tych warunkach jest możliwe, bo ryzyko da się kontrolować. Irańczycy raczej do tankowców strzelać nie będą. Gorszą rzeczą jest to, że ubezpieczyciele wypowiadają umowy statkom wpływającym do Zatoki Perskiej. A zakłócanie sygnału GPS to praktyka, której nie musimy szukać daleko. Przecież my z rosyjskimi zakłóceniami na Bałtyku mierzymy się od dawna – przekonuje dr hab. Ernest Czernański, prof. Uniwersytetu Gdańskiego, dyrektor Centrum Badań nad Gospodarką Morską. Orlen podaje, że w ich przypadku cena frachtu LNG z Kataru nie wzrosła, a ropy, jak wyjaśniła spółka, nie sprowadza z Zatoki Perskiej, choć ma umowy zaopatrzeniowe z Saudi Aramco.

Strażnicy cieśniny

Irańczycy jeszcze nigdy nie zablokowali cieśniny Ormuz, choć kilka razy próbowali. Pierwszy raz w 1988 r. w czasie wojny z Irakiem, krótko i nieskutecznie. Potem w 2008 r. nowo mianowany głównodowodzący Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej



Mohammad Ali Dżafari oficjalnie ogłosił, że Iran w razie konfliktu z Izraelem albo z USA zablokuje cieśninę. Komandosi z Korpusu prowadzili ćwiczenia na szybkich kutrach motorowych Seraj-1 uzbrojonych w rakiety i karabiny maszynowe, przygotowując się do przechwytywania i kontrolowania statków w cieśninie. Strategia zakłada, że tylko niektóre jednostki będą zatrzymywane, by samemu sobie nie odciąć drogi wywozu ropy ►



► i dostarczania zaopatrzenia, choć jest też koncepcja ostateczna – zaminowania cieśniny.

Aktywność strażników prowadziła do konfliktów, takich jak ten w 2019 r., gdy zajęto irański tankowiec pod zarzutem przemytu paliwa i zatrzymania siedmiu członków załogi. Był to rewanz za zatrzymanie przez Brytyjczyków w rejonie Gibraltaru irańskiego tankowca. Wszystko to miało związek kampanią Trumpa (w pierwszej kadencji) przeciw Iranowi, prowadzoną pod hasłem „maksymalna presja”.

Elementem tej presji jest obecność Piątej Floty USA stacjonującej w Bahrajnie w Zatoce Perskiej. US Navy pilnuje zatoki nieprzerwanie od 1949 r., bo Stany Zjednoczone długo były zależne od wydobywanej tu ropy. Dziś już nie są, bo rewolucja łąpkowa sprawiła, że USA same stały się największym producentem i czwartym eksporterem tego surowca. Dlatego słysząc teraz ostrzeżenia Irańczyków, że w odwecie za nalot zamkną cieśninę, Amerykanie przypomnieli, że ropy z Zatoki kupują śladowe ilości, więc bardziej ucierpią sojusznicy Iranu, zwłaszcza Chiny.

Piraci i inni

Amerykańskie i brytyjskie okręty wojenne wielokrotnie starały się zapobiegać rajdom irańskich strażników rewolucji przeciw statkom handlowym. To podobne działania jak w rejonie nieodległej Zatoki Adeńskiej, gdzie wzdłuż wybrzeży Somalii i Jemenu wiedzie szlak w stronę Morza Czerwonego i Kanału Sueskiego. Tam działają somalijscy piraci porwujący statki handlowe dla okupu. Próbuje z nimi walczyć marynarka wojenna zachodnich państw. Choć nie są tak aktywni jak dawniej, to wciąż stanowią zagrożenie. Centrum Bezpieczeństwa Morskiego Sił Morskich UE ostrzegało w ubiegłym roku, że atak piratów to „realna możliwość”. Zwłaszcza że wchodzi ostatnio w sojusze z bojownikami Huti z Jemenu, dysponującymi uzbrojeniem raketowym (dostarczany przez Iran) i atakującymi statki należące do państw uznawanych przez nich za wroga.

W efekcie cieśnina Bab al-Mandab (po arabsku Brama Łez), którą trzeba pokonać, by wpłynąć na Morze Czerwone, żeby potem przez Kanał Sueski dotrzeć do Morza Śródziemnego, jest kolejnym wąskim i niebezpiecznym gardłem w transporcie ropy naftowej. To szlak, którym do Europy płynie 7–8 mln baryłek ropy i 36 mld m sześć. gazu dziennie.

Wąskie gardła w morskim transporcie ropy



Zagrożenia związane z transportem przez Morze Czerwone, zwłaszcza po wybuchu konfliktu w Strefie Gazy, sprawiają, że dziś więcej ropy płynie do Europy okólną drogą wokół Afryki, niż przez Kanał Sueski. Opłynięcie Przylądka Dobrej Nadziei zamiast pokonywania Bab al-Mandab oznacza wydłużenie trasy o 10–14 dni, ale jest bezpieczniejsze. W przypadku cieśniny Ormuz takiej morskiej alternatywy nie ma, choć kraje Zatoki Perskiej próbują tworzyć szlaki lądowe, by przynajmniej częściowo uniezależnić się od Iranu, z którym wszyscy mają napięte relacje.

Takim sposobem są rurociągi, którymi surowiec jest tłoczony do portów poza Ormuz. Arabia Saudyjska zbudowała ropociąg Wschód–Zachód, którym znaczące ilości surowca może dostarczać do dwóch terminali na Morzu Czerwonym. Emiraty zbudowały rurociąg Habshan–Fujairah do Zatoki Omańskiej, omijający Ormuz. Irak mógłby wysłać ropę do Turcji rurociągiem Kirkuk–Ceyhan, ale na razie tego nie robi.

Odporne rynki

Każdy konflikt na Bliskim Wschodzie wywołuje natychmiastową reakcję rynków ropy naftowej. Tak było i tym razem. W kilka godzin po pierwszym ataku Izraela na Iran cena ropy na giełdach surowcowych wzrosła o 7 proc. Cena baryłki w trakcie konfliktu z 60 dol. momentami dochodziła do 80, czyli poziomu, który w przeszłości uznawano za akceptowalny nawet w pokojowych warunkach. Na dodatek cena spadała po każdej informacji, że będzie pokój lub przynajmniej zawieszenie broni. Wszystkich to zaskoczyło, bo spodziewano się, że cena wystrzeli w kosmos, niektórzy analitycy zapowiadali nawet 120–130 dol. W przeszłości same pogłoski o możliwym konflikcie wywoływały większą panikę, a tu przecież padały prawdziwe bomby, rakiety i zaczęto rozważać użycie broni atomowej oraz zamknięcie cieśniny Ormuz. Skąd taka niewrażliwość?

– Decydująca okazała się trudna sytuacja gospodarcza świata, dekonunktura powodująca słaby popyt na produkty naftowe przy jednoczesnej nadpodaży ropy. Inwestorzy bardziej się dziś boją polityki Donalda Trumpa i jego wojny handlowej, zwłaszcza z Chinami, niż kolejnych zawirowań na Bliskim Wschodzie – wyjaśnia Adam Sikorski, prezes Unimot SA niezależnego importera paliw ciekłych i gazowych. – Dlatego już po pierwszych sygnałach o wygaszeniu konfliktu cena ropy spadła poniżej poziomu sprzed jego wybuchu. Także perspektywa zamknięcia cieśniny Ormuz nie przestraszyła rynków, bo mało kto uwierzył, że to politycznie i militarnie realny scenariusz.

Świat dziś potrzebuje do normalnego funkcjonowania 100 mln baryłek ropy dziennie. Ponad 70 proc. surowca dociera do odbiorców drogą morską. Udział transportu rurociągowego maleje, głównie z powodów geopolitycznych, tak jak to miało miejsce w przypadku Polski i innych europejskich odbiorców rosyjskiej ropy. Dziś Polska korzysta z dostaw morskich odbieranych z gdańskiego Naftoportu. – Powstaje mało nowych ropociągów, bo perspektywa odchodzenia od paliw płynnych sprawia, że trudno pozyskać kapitał dla takich inwestycji – wyjaśnia Adam Sikorski. Także Rosjanie przestawili się na transport morski, choć wobec sankcji państw grupy G7, UE i Australii, mają z tym spory kłopot i większe koszty. Sankcje te przewidują pułap cenowy 60 dol. za baryłkę, jakiego rosyjscy eksporterzy nie mogą przekroczyć.

Armatorzy, którzy podejmą się transportu rosyjskiej ropy sprzedawanej po cenie przekraczającej ustalony limit, narażają



Manewry Strażników Rewolucji w cieśninie Ormuz. Wyjątkowa aktywność Irańczyków na tym akwenie doprowadziła już do wielu konfliktów.

się na rozmaite kary ze strony uczestników sojuszu (m.in. odmowa ubezpieczenia, obsługi w portach i stocznjach itd.). Jest projekt obniżenia tego pułapu do 40 dol. za baryłkę, co zapewne sprawi, że Rosjanie na większą skalę zaczną korzystać z naftowej szarej strefy i przesyłać ropę „flotą cienia”.

Rozmiar ma znaczenie

Agencja Informacji Energetycznej zidentyfikowała sześć wąskich gardel w światowym morskim transporcie ropy. Drugim obok cieśniny Ormuz jest cieśnina Malakka, wąskie i dość płytkie przejście między oceanami Indyjskim i Spokojnym – między Sumatrą należącą do Indonezji a Malezją oraz Singapurem. Tu problemem są nie tylko tłoki i trudne warunki nawigacyjne, ale i piraci. Ci ostatni na szczęście już nieco poskromieni przez wojskowy sojusz krajów cieśniny. Cieśnina Malakka ma kluczowe znaczenie dla Chin, Korei i Japonii wożących ropę z Zatoki Perskiej. Ominięcie tego rejonu, choć możliwe, wymaga sporego nadłożenia drogi.

Kolejnymi wąskimi gardłami są kanały – Sueski i Panamski. W Sueskim pojawia się ryzyko związane nie tylko z toczącą się w pobliżu wojną (niegdyś polskie statki utknęły na wiele lat w kanale, gdy nagle wybuchła wojna egipsko-izraelska), ale mogą być też bardziej prozaiczne, jak to, które zdarzyło się w Kanale Sueskim w 2021 r., kiedy wielki kontenerowiec Ever Given utknął na mieliźnie i zablokował ruch na wiele dni. Z kolei w przypadku Kanału Panamskiego problemem jest woda z jezior leżących powyżej kanału służąca do wypełniania śluz. Duży ruch w kanale i słabe opady sprawiły, że zaczęło brakować wody, co ograniczyło przepustowość kanału. Na szczęście problem został częściowo rozwiązany przez odzyskiwanie wody ze śluz oraz przewóz towarów linią kolejową wzdłuż kanału.

Kolejnymi wąskimi gardłami są Cieśniny Duńskie, które dziś pokonuje rosyjska ropa, płynąc do Indii i Chin (ok. 4–5 mln baryłek dziennie), a jednocześnie w drugą stronę płynie ropa z USA, Norwegii i Bliskiego Wschodu do krajów europejskich, w tym Polski. I w końcu wąskim gardłem są Cieśniny Tureckie – Bosfor i Dardanele ograniczające dostęp do Morza Czarnego, przez które płynie ropa z rejonu Morza Kaspijskiego.

Wąskie gardła w transporcie morskim wyznaczają dziś rozmiary budowanych statków. Supertankowce, superkontenerowce nie mogą być już większe, choć byłoby to opłacalne dla armatorów, bo nie zmieszczą się w cieśninach i kanałach albo przeładowane osiadą na mieliźnie. Dlatego konstruktorzy statków mają już specjalny podział jednostek, w zależności na jakich trasach będą pływały: są m.in. panamaksy, czyli statki, które zmieszczą się w Kanale Panamskim, są neopanamaksy dostosowane do nowego, powiększonego rozmiaru kanału, są suesmaksy dostosowane do Kanału Sueskiego czy baltimaksy, które wpłyną na Bałtyk. – *Maksymalną wielkość statków wyznaczają nie rozmiary kanałów i cieśnin, ale prawa fizyki. Nikt nie buduje jednostek dłuższych niż 400 m, bo częstotliwość fal powoduje zbyt duże przeciążenia kadłuba i jego szybkie zużycie* – wyjaśnia prof. Ernest Czernański.

Navin Kumar z międzynarodowej firmy badawczej i konsultingowej branży morskiej i transportowej Drewry Maritime Research jest zdania, że nawet jeśli sytuacja w cieśninie Ormuz jest już opanowana, to odbije się na międzynarodowym transporcie morskim: „Ten kryzys może przyspieszyć zmiany na szlakach handlowych, inwestycje w alternatywną logistykę i dywersyfikację dostaw energii. Niezależnie od tego, czy zamknięcie cieśniny Ormuz się zmaterializuje, czy nie, napięcia te już zmieniły kalkulację ryzyka w globalnej żegludze”.

ADAM GRZESZAK



ILUSTRACJE PATRYK SROCZYŃSKI

CEZARY KOWANDA

Ruszyła zapowiadana przez rząd repolonizacja gospodarki.

Pierwszymi ofiarami są firmy chińskie i tureckie wyrzucane z przetargów. Ale zagrożone mogą czuć się też spółki z europejskim, czyli „niepolskim”, kapitałem.

Czy chińskie autobusy stanowią zagrożenie wywiadowcze? Premier Norwegii Jonas Gahr Støre przyznał w marcu, że istnieje taka możliwość, a warszawski radny PiS Wojciech Zabłocki podchwycił jego słowa i skierował interpelację do prezydenta stolicy. Pytał, jak Miejskie Zakłady Autobusowe, użytkujące 18 chińskich pojazdów marki

Yutong, zareagowały na te opinie. Warszawski ratusz w odpowiedzi stwierdził, że zwróci się o pomoc do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji. Bo sam nie może ocenić, czy chińskie autobusy wpływają negatywnie na bezpieczeństwo Polski. Tymczasem jeździ ich po naszych drogach coraz więcej. Chiński gigant Yutong, który tego typu podejrzeniami jest bardzo oburzony, sprzedał już polskim gminom ponad 200 pojazdów elektrycznych. Wygrywa wiele przetargów, a jego produkty są zazwyczaj dobrze oceniane przez kierowców. Wykorzystuje to, że miasta, także te mniejsze, chętnie kupują autobusy elektryczne, bo mogą liczyć na dotacje sięgające nawet 80–90 proc. ceny.

Jednak już niedługo Yutong, podobnie jak wiele innych firm spoza Unii Europejskiej, może stracić łatwy dostęp do polskiego rynku. Wszystko za sprawą Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE), którego wyrok w ub.r. spowodował prawdziwe trzęsienie ziemi w zamówieniach publicznych.

Trybunał, rozstrzygając chorwacki spór, uznał, że z przetargów wolno wykluczać przedsiębiorstwa pochodzące z tzw. krajów trzecich. Chodzi o państwa, które nie są ani w UE, ani nie podpisały specjalnego porozumienia Światowej Organizacji Handlu w sprawie zamówień rządowych. Stronami tego porozumienia są np. Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Singapur, Japonia i Korea Południowa. Oznacza to, że firmom z tych krajów nie można utrudniać startu w przetargach w Unii. Jednak inaczej sytuacja wygląda w przypadku spółek chińskich i tureckich. To właśnie te dwa kraje, w ostatnich latach coraz aktywniejsze także na rynku polskim, mogą się stać głównymi ofiarami wyroku TSUE.

Rząd ochoczo podchwycił orzeczenie Trybunału i uznał, że trzeba zmienić polskie przepisy dotyczące zamówień publicznych. Tak, żeby wszyscy rozpisujący przetargi wiedzieli o nowych możliwościach i nie bali się ich stosować. Nazwał to „repolonizacją”. Projekt zmian trafił już do Sejmu. – *Wykluczanie z przetargów firm z krajów trzecich ma być teraz domyślne. Jeśli zamawiający będzie chciał je dopuścić, musi to wyraźnie zaznaczyć. Chodzi przy tym nie tylko o przetargi np. na roboty budowlane, ale też na dostawy. Wykluczenie może zatem dotyczyć*

także produktów pochodzących z Chin, jak komputery czy telefony – wyjaśnia Włodzimierz Dzierżanowski, radca prawny w Grupie Doradczej Sienna, były wiceprezes Urzędu Zamówień Publicznych.

Nie czekając na nowe przepisy, wyrok TSUE jako pierwsza w Polsce wykorzystwała państwowa spółka PKP Polskie Linie Kolejowe. Z rozpisanego na początku tego roku przetargu na rozbudowę trasy Białystok–Ełk (fragment ciągu Rail Baltica) wykluczono wszystkich wykonawców spoza Unii i państw-sygnatariuszy porozumienia Światowej Organizacji Handlu. Wartość tego kontraktu szacowana jest na 6 mld zł. Kolejarze uznali, że chodzi o trasę ważną dla polskiego bezpieczeństwa i tym wytłumaczyli radykalny krok.

Wkrótce w ich ślady poszli drogowcy. Podobnie wykluczenie zastosowali w ogłoszonym niedawno przetargu na budowę fragmentu autostrady A2 między Białą Podlaską i Kijowcem w województwie lubelskim. – *Taką decyzję podjęliśmy, nie czekając na rozwiązania ustawowe. Miała ona na celu ochronę polskiego i unijnego rynku zamówień publicznych oraz wzmocnienie pozycji polskich firm budowlanych. Przetarg ten będzie dla nas poligonem doświadczalnym. Wkrótce przekonamy się, jak na wprowadzone zapisy zareagują firmy pozaeuropejskie, w tym azjatyckie* – mówi Szymon Piechowiak, rzecznik Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad (GDDKiA). Sąd Zamówień Publicznych zdążył już rozwiązać nadzieje jednego z wykonawców tureckich, który oburzał się, że nie dopuszczono go do wzięcia udziału w przetargu.

To właśnie budowa polskich dróg była dotąd dla firm z krajów trzecich, a w praktyce głównie z Chin i Turcji, największą szansą zarobku na naszym rynku. Jak informuje GDDKiA, obecnie takie przedsiębiorstwa realizują dla niej dziewięć inwestycji. Chiński Stecol buduje fragmenty dróg S12, S74, S6 oraz S19. Turecki Kolim wygrał przetargi na odcinki S19 i S17. Natomiast turecki Gap dostał kontrakt na fragment S17. Łącznie bieżące kontrakty tych trzech koncernów opiewają na 7,3 mld zł. To 11 proc. wartości wszystkich inwestycji realizowanych obecnie przez Generalną Dyrekcję. Może i niezbyt dużo, ale na tym nie kończy się działalność zwłaszcza firm tureckich na naszym rynku.

Szczególnie aktywny od dawna jest Gülermak, który buduje ostatni odcinek drugiej linii metra (M2) w Warszawie

– wcześniej wygrywał przetargi na drażnienie wszystkich poprzednich fragmentów M2. Natomiast w Krakowie jest członkiem konsorcjum, z którym miasto podpisało umowę w ramach partnerstwa publiczno-prywatnego na budowę i obsługę jednej z ważnych tras tramwajowych. Jak wynika z danych Urzędu Zamówień Publicznych, zwłaszcza ub.r. był znakomity dla firm tureckich na naszym rynku. Wygrały przetargi warte łącznie niemal 20 mld zł.

Nic dziwnego, że nasza branża z nowych regulacji bardzo się cieszy. – *Ograniczenie dostępu do polskiego rynku zamówień publicznych dla firm z Azji, głównie z Turcji i Chin, jest doskonałą wiadomością dla krajowego sektora budownictwa, który od dawna apelował o taką zmianę. Po kilkunastu latach zaniedbań w administracji państwowej widać próbę zerwania z polityką naiwnej otwartości na przypadkowe podmioty z Azji, które pozbawione odpowiedniego zaplecza kadrowego i sprzętowego zdobywały w Polsce wielomiliardowe kontrakty infrastrukturalne. Takie podejście urzędników poważnie szkodziło naszemu rynkowi, a jednocześnie narażało budżet państwa na odpływ setek milionów złotych w postaci zysków do Azji, kosztem polskiej gospodarki i lokalnych przedsiębiorców* – przekonuje Damian Kaźmierczak, członek zarządu i główny ekonomista Polskiego Związku Pracodawców Budownictwa. I dodaje: – *Dotąd idea patriotyzmu gospodarczego była naszym decydującym politycznym całkowicie obca. Po lekcje, jak skutecznie chronić lokalne rynki przed wykonawcami nie tylko z Azji, ale także z innych krajów unijnych, powinni udać się do Czech, Rumunii, Szwecji czy Niemiec. O ich metodach działania boleśnie przekonują się przedsiębiorstwa z Polski, które mozolnie budują w tych krajach swoje przyczółki biznesowe.*

Dotychczas pełne otwarcie naszego rynku zamówień zlecający tłumaczyli istniejącymi przepisami. Drugim argumentem było ograniczanie kosztów. Sama obecność wykonawców z Chin czy Turcji, nawet jeśli nie wygrywali przetargów, zmuszała resztę graczy do obniżania ceny. Więc „patriotyzm gospodarczy” może oznaczać wzrost kosztów inwestycji.

Chociaż wszystkie firmy z krajów unijnych działające u nas widzą wspólnego wroga w koncernach chińskich czy ►

► tureckich, nie znaczy to, że nie rywalizują między sobą. Ujawnia się wówczas podział na te z kapitałem polskim oraz na spółki córki graczy z innych krajów unijnych, które zdobyły przez lata silną pozycję na polskim rynku. Te „czysto polskie” to np. Mirbud, Unibep czy Intercor. Na niedawnym Kongresie Infrastruktury Polskiej prezes Mirbudu Jerzy Migros podkreślał znaczenie patriotyzmu gospodarczego, który powinien sprzyjać firmom z polskim kapitałem i polskimi

by faworyzować w nich spółki z wyłącznie polskim kapitałem. Oficjalnie to oczywiście niezgodne z prawem unijnym.

Natomiast wykluczanie wykonawców z krajów trzecich, takich jak Turcja, Chiny czy Kazachstan, prawdopodobnie szybko stanie się normą w przypadku największych zamówień publicznych. Zamierza tak robić np. spółka budująca CPK, która ma do wydania w najbliższych latach mnóstwo pieniędzy. – Z pewnością skorzystamy z tej możliwości przy

problemów z realizacją kontraktów. Chcemy preferować udział w konsorcjach firm, które mogą się już pochwalić zakończonymi inwestycjami infrastrukturalnymi w naszym kraju. Uważam, że w przypadku sporów sądowych zdołamy obronić takie zasady – mówi Piotr Rachwański, członek zarządu CPK.

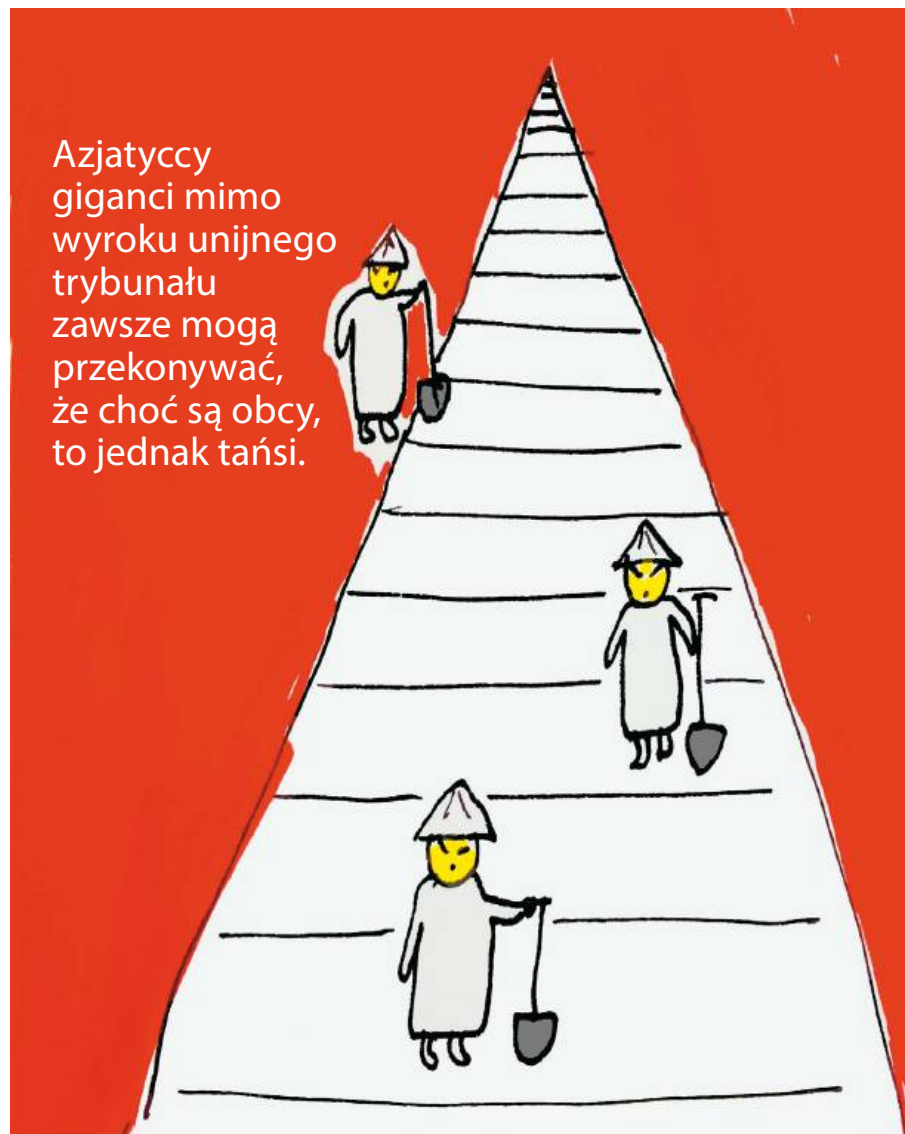
Jednak trudno powiedzieć, czy wykluczanie wykonawców i produktów z Azji będzie powszechne. – Na razie

widzimy, że zainteresowanie nowymi możliwościami jest przede wszystkim wśród dużych zamawiających. Na pewno wiele będzie zależeć od tego, czego dotyczy przetarg. O ile np. na rynku autobusów jest wielu dostawców, o tyle już w przypadku fotowoltaiki chińscy producenci mają pozycję dominującą – mówi Włodzimierz Dzierżanowski z Grupy Doradczej Sienna. Podkreśla, że nowe regulacje powinny skłonić firmy spoza Unii nie tyle do wycofania się z naszego rynku, ile do otwarcia w Europie swoich fabryk lub przejścia istniejących spółek. Tak, żeby ich obecność nie ograniczała się do wysyłania gotowych produktów z Azji.

Odmieniany ostatnio przez wszystkie przypadki patriotyzm gospodarczy to pokłosie coraz bardziej protekcjonistycznej polityki na świecie, zwłaszcza po wyborze Donalda Trumpa na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jednak nie zawsze można się obyć bez zagranicznych partnerów, o czym świadczy budowa pierwszej polskiej elektrowni jądrowej przez podmiot zagraniczny. Na pocieszenie dla naszej gospodarki amerykański Westinghouse został zobowiązany do znalezienia sobie polskich partnerów i na razie wskazał sześć firm jako podwykonawców.

Dużo większe emocje budzi za to decyzja spółki Gaz System, która niedawno na wykonawcę terminalu gazowego w Gdańsku wybrała konsorcjum firm tureckich. Podobno dlatego, że przedstawiło ofertę lepszą od polskich konkurentów i ma duże doświadczenie w tego typu inwestycjach. Przeciwno tej decyzji ostro protestują nasi przedsiębiorcy, ale Gaz System zdania nie zmienia. Może to ostatni tak spektakularny sukces Turków na polskim rynku. A może azjatyccy giganci szybko się odnajdą w nowej rzeczywistości i poradzą sobie z wyrokiem unijnego trybunału i zaleceniami polskiego rządu. Zawsze mogą przekonywać, że choć są obcy, to jednak tańsi.

CEZARY KOWANDA



Azjatyccy giganci mimo wyroku unijnego trybunału zawsze mogą przekonywać, że choć są obcy, to jednak tańsi.

korzeniami. Jednak spółki takie jak Strabag, Porr czy Budimex argumentują, że chociaż mają zagranicznych właścicieli, są obecne w Polsce od dawna i uważają się za polskie firmy. Czas pokaże, czy publiczni zamawiający spróbują w imię repolonizacji tak konstruować przetargi,

przetargach na kolejne odcinki Kolei Dużych Prędkości z Warszawy do Łodzi przez nowe lotnisko. 130 mld zł, jakie będzie kosztował pierwszy etap CPK, ma być dźwignią przede wszystkim dla polskich firm. Oczywiście chodzi o przedsiębiorstwa z doświadczeniem, żeby nie było

Kupuj nasze **aktualne** wydawnictwa

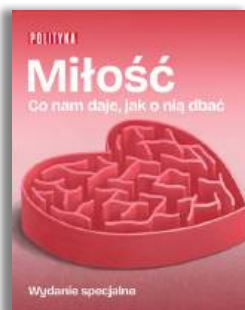


Prenumeruj uniwersalnie **w druku i cyfrze**



Już od 10,75 zł / wydanie

Cyfrowe **wydania specjalne** (EPUB)



Przy zakupach
powyżej 150 zł
dostawa gratis.



Pełna oferta na **sklep.polityka.pl**





Demonstracja w Teheranie po izraelskich atakach. Najwyższy przywódca Ali Chamenei (na portrecie) uważa, że „agresorzy nie osiągnęli żadnych celów”.

Opór to podstawowe pojęcie z irańskiego słownika politycznego. Bywa nieracjonalny, czasem samobójczy. Ale bombardowany – zawsze twardnieje.

ŁUKASZ WÓJCIK

Iran **kontra** McŚwiat

Znajomy Irańczyk kombinuje. – *Znasz taką masę z mąki ziemniaczanej i wody? Gdy delikatnie wkładasz w nią rękę, prawie nie stawia oporu. Ale gdy zrobisz to szybciej, ugrzeźniesz. A spróbuj uderzyć w nią pięścią... Tacy właśnie jesteśmy, Irańczycy. Miał na myśli płyn nienewtonowski, doskonale znany rodzicom nudzących się w domu przedszkolaków. Ale jednocześnie chodziło mu o naród, dziś w centrum światowej uwagi, który enty raz dostał po twarzy, a mimo to swoim zwyczajem udaje twardziela i twierdzi, że wygrał.*

W swoim pierwszym publicznym wystąpieniu – po druzgocącym ataku Izraela, a potem Ameryki na jego kraj – najwyższy

przywódca Iranu Ali Chamenei przekonywał, że agresorzy „nie osiągnęli żadnych celów” i nie zakłócili irańskiego programu nuklearnego. Na koniec dodał, że w odwecie irańskie rakiety zadały „ciężki cios” amerykańskiej bazie lotniczej w Katarze (w rzeczywistości żadna nie doleciała do celu, ale o tym z oficjalnych mediów Irańczycy się nie dowiedzą).

„Nienawidzę tych morderców i złodziei – napisała w swoim blogu Nazanin Zaghari-Ratcliffe, Iranka z brytyjskim paszportem, która przesiedziała sześć lat w irańskim więzieniu pod fałszywym zarzutem o szpiegostwo. – I kiedy w pierwszym dniu ataku Izrael zabił szefów sztabu armii i Strażników Rewolucji, trochę się ucieszyłam. Potem było mi głupio. A potem, gdy w amerykańskich i izraelskich mediach zaczęły się spekulacje o »zmianie reżimu« w Iranie, szlag mnie trafił. Dziś stoję murem za moimi

mordercami i złodziejami”. Zaghari-Ratcliffe pisze, jakby numer z płynem nienewtonowskim znała z własnego doświadczenia.



Pląski jak Barber

Iran równa się zagrożenie – taki konstrukt od dekad funkcjonuje w wielu zachodnich głowach. Szaleni brodaci mułlowie, ataki terrorystyczne, bomba atomowa. Jednak mimo powagi zagrożenia mało jest na Zachodzie zainteresowania intencjami, kalkulacjami i celami, jakie napędzają ten naród i państwo. Dominuje raczej orientalistyczne założenie, że współczesny Iran jest płaski poznawczo – jako prosta antyteza nowoczesności.

Modelowy jest tu Benjamin Barber, który w swoim bestsellerze wydanym dokładnie 30 lat temu opisuje starcie między McŚwiatem (globalizacja, polityczne oddziaływanie wielkich korporacji) i dżihadem. Przy czym ta nie nasza strona pojmowana jest nieco karykaturalnie jako emblemat tradycyjnych konserwatywnych wartości, których realizacja często przybiera formę ekstremalnego nacjonalizmu lub religijnej ortodoksji i teokracji. Wówczas, w latach 90., odwołanie się do dżihadystów było jak najbardziej uzasadnione. Jednak dziś do tego płaskiego równania Barbera obok McŚwiata dużo lepiej pasuje Iran.

Może więc tym razem, w przerwach między bombardowaniami, warto się zastanowić, o co właściwie temu Iranowi chodzi? Chomeini, zapytany niedawno, jaka jest najważniejsza korzyść z rewolucji 1979 r., odpowiedział bez namysłu: „Teraz wszystkie decyzje podejmowane są w Teheranie”. To irańskie zafiksowanie na niepodległości, suwerenności, zrodzone w oczywisty sposób z historii własnej, pełnej obcych okupacji i poniżania, pomaga zrozumieć, o co dziś właściwie toczy się spór między Iranem i McŚwiatem.

A sama postać Chameneiego pokazuje, że nie mamy do czynienia z płaskim obrazem, lecz ze skomplikowaną konstrukcją intelektualną pełną paradoksów. Chamenei tylko pozornie wygląda jak zagubiony mułła z pierwszych wieków islamu. W rzeczywistości to dobrze wykształcony i odczytany człowiek. Jego ulubiona książka to „Nędznicy” Wiktora Hugo (wygląda na fana Javerta). Ale jeszcze ciekawsza jest jego fascynacja Frantzem Fanonem, francuskim teoretykiem antykolonializmu, związanym z algierskim Frontem Wyzwolenia Narodowego.



Paradoks pierwszy

W irańskiej rewolucji do dziś mieszą się wersety Koranu z ideami Fanona, Jeana-Paula Sartre’a i Karola Marksa. U jej zarania związki zawodowe, lewicowe partie i radykalni studenci połączyli siły z islamistycznymi duchownymi, aby obalić zniechwaloną dyktaturę szacha Mohammada Rezy. Z czasem obiektywne różnice między nimi zostały przesłonięte przez jedyny w zasadzie wspólny mianownik, czyli ideę walki z imperializmem.

Przy czym był to antyimperializm rozumiany jako walka kulturowa, a nie polityczna czy ekonomiczna. Była to walka z *gharb-zadegi*, czyli z „zaczadzeniem Zachodem”, używając terminu do dziś bardzo popularnego w Iranie. Jak to ujął wykształcony we Francji irański socjolog i wielbiciel Sartre’a Ali Szariati, zwany też intelektualnym ojcem rewolucji 1979 r., chodzi o to, aby „Irańczyków przywrócić samym sobie”. Aby odzyskać irańskość wolną od zachodniej kultury konsumpcyjnej.

W tym samym czasie, w latach 60. i 70., przyszedł wódz rewolucji ajatollah Ruhollah Chomeini marzył o zakończeniu dominacji

Zachodu i odrodzeniu cywilizacji islamskiej. Atakował irańskich polityków w „europejskich kapeluszach”, „przechadzających się po bulwarach i gapiących na nagie dziewczyny”. Na pierwszy więc rzut oka lewicowy Szariati i ultrakonserwatywny Chomeini niewiele mieli ze sobą wspólnego. Jednak dzięki skupieniu się na wojnie kulturowej z Zachodem i z szachem, czyli namiestnikiem Zachodu w Iranie, każdą różnicę można było odłożyć na później.

Można też odwrócić perspektywę i uznać, że w pewnym momencie to lewica „zaczadziła się” Chomeinim i jego rewolucyjną ideologią. Siedząc pod jabłonią w wiosce pod Paryżem, niedługo przed triumfalnym powrotem do Iranu, Chomeini czarował zachodnich reporterów i intelektualistów, w tym lewicowego filozofa Michela Foucaulta, który nazwał go wówczas „świętym”(!), a już po rewolucji chwalił Republikę Islamską za ustanowienie społeczeństwa wolnego od nieprawości Zachodu.

Irańska lewica, która w podobnym stopniu jak islamiści stała za rewolucją, w momencie jej zwycięstwa była podzielona. A Chomeini z silnym poparciem ludowym, szczególnie wśród najbiedniejszych mieszkańców Teheranu, działał błyskawicznie i zaproponował zero-jedynkowe referendum w sprawie powołania Republiki Islamskiej. Ówczesny premier Mehdi Bazargan zasugerował Demokratyczną Republikę Islamską. Chomeini się sprzeciwił: „Islam nie potrzebuje przymiotników takich jak demokratyczny (...). Nie potrzeba dodawać niczego do słowa islam, które jest doskonałe”. Wygrał i w następnych latach wymordował lewicowych liderów, a tych, którzy przeżyli, wyrzucił z kraju.



Paradoks drugi

W niemal powszechnej opinii historyków była to najbardziej „popularna” rewolucja czasów nowożytnych. Według szacunków wzięło w niej udział prawie 11 proc. ludności; we francuskiej i radzieckiej – odpowiednio 7 i 9 proc. To ważne, bo sama rewolucja jako koncepcja jest dziekiem nowoczesności, ponieważ opiera się na idei, że prawowita władza może wynikać jedynie z umowy społecznej uświęconej wolą suwerennego ludu. A wraz z nadejściem nowoczesności idea obywatelstwa zastąpiła średniowieczne poddaństwo.

W Iranie, mimo na wskroś ludowego charakteru rewolucji, wydarzenia w 1979 r. paradoksalnie doprowadziły do powstania reżimu, w którym suwerenność ludu została wyklęta przez jego przywódcę jako konstrukcja kolonialna stworzona w celu podważenia islamskiej koncepcji islamskiej wspólnoty (ummy). Wola ludu, twierdził Chomeini, jest podporządkowana nakazom boskim. I w tym sensie jego koncepcja rewolucji islamskiej jest oksymorem. A najpopularniejsza ze wszystkich nowoczesnych rewolucji doprowadziła do powstania państwa niemal totalitarnego.

Jednocześnie Chomeini stworzył model dla innych „uciśnionych” państw regionu, dla każdego oporu zakorzenionego w tradycji islamskiej i współczesnej myśli antykolonialnej. Z tej perspektywy rewolucja irańska to wciąż coś więcej niż dążenie do suwerenności politycznej. To również wezwanie uciskanych do broni. Chomeini zaproponował uniwersalną i wciąż aktualną narrację o sprawiedliwości i buncie, która do dziś stanowi zagrożenie dla wielu regionalnych satrapów.



Paradoks trzeci

Irańska socjolożka Val Moghadam zwraca uwagę na jakościową różnicę między innymi rewolucjami antykolonialnymi lat 60. i 70. a rewolucją irańską. ►

► – *Te pierwsze, usuwając z kraju materialne wpływy Zachodu („doradców”, biznes, pieniądze), jednocześnie przyjmowały jego wpływy intelektualne (laickość państwa, zachodnie rozumienie jednostki, kodeks cywilny) jako fundamenty nowego porządku – tłumaczy. – Zazwyczaj kończyło się to szybko, bo po okresie rewolucyjnego wzmocnienia następowała ludowa kontrrewolucja, oparta na tradycyjnych wartościach większości społeczeństwa, zupełnie niekompatybilnych z poglądami rewolucjonistów.*

Pod tym względem irańska rewolucja była (i jest) wyjątkowa, bo choć gwałtowna w formie, ostatecznie za sprawą Chomeiniego okazała się konserwatywna w treści. Jak wskazuje Moghadam, jej esencją był powrót do wartości zachowawczego islamu, wyznawanego przez przytłaczającą większość Irańczyków. I tu leży odpowiedź na pytanie, dlaczego trwa do dziś.

Oczywiście współczesny Iran to państwo do szpiku skorumpowane. I reżim w dużej mierze opiera się na milionach oportunistów, ich rodzinach, kuzynach, szwagrach – wszyscy oni zarabiają krocie na państwie i będą go bronić do upadłego. Jednak ma jeszcze co najmniej dwa fundamenty. Po pierwsze, grube miliony rzeczywiście pobożnych muzułmanów, którym to państwo ubierające się w szaty teokracji po prostu pasuje. A już na pewno nie życzą oni sobie, żeby Zachód „wyzwolił” ich od ajatollahów. Po drugie, kolejne miliony irańskich nacjonalistów, którzy na co dzień mogą nienawidzić reżimu, ale w przypadku zewnętrznego zagrożenia niezawodnie zachowują się jak wspomniany płyn nienewtonowski.



Paradoks czwarty

Jak zauważa emigracyjny irański politolog Vali Nasr w nowej książce „Iran's Grand Strategy”, w Iranie zachodzi korelacja między oddalaniem się od rewolucji 1979 r. – ideowym czy po prostu czasowym – oraz coraz silniejszym oporem wobec wszystkiego, co zachodnie. Co więcej, reżim irański wykorzystuje religię, aby utrzymać swą konfrontacyjną postawę wobec Zachodu, która to postawa nie wynika wprost z religii. To nie teokracja potrzebuje wojny z Zachodem, ale wojna z Zachodem potrzebuje teokracji. Bez religijnej ideologii konsolidującej państwo i społeczeństwo taka antyzachodnia postawa byłaby niemożliwa.

Według Nasra dzisiejszy Iran to teokracja już tylko z pozoru. Znacznie bliżej mu do państwa policyjnego. Język władzy jest wciąż islamistyczny, ale treść wynika z głębokiego poczucia niepewności i zagrożenia „imperializmem”, choć to ostatnie słowo – z historycznych względów – brzmi w Iranie zupełnie inaczej niż np. w dawnym bloku wschodnim. Sprawa bezpieczeństwa narodowego – jak bronić Iranu i rewolucji, co nierozdzielne – jest głęboko zakorzeniona w rozumieniu historii.

A ta historia nie była ostatnio łaskawa dla Iranu. W XIX w., wówczas jeszcze zwany Persją, został upokorzony przez dwa europejskie mocarstwa, Rosję i Wielką Brytanię, które w praktyce przejęły kontrolę nad jego terytorium i gospodarką. W XX w. te same mocarstwa (Rosję zastąpił Związek Radziecki) okupowały Iran podczas drugiej wojny światowej, a brytyjskie firmy naftowe zarabiały fortunę na eksploatacji irańskich złóż, płacąc przy tym znikome podatki.

Sprzeciwił się temu w latach 50. demokratycznie wybrany premier Iranu Mohammad Mosaddegh, który w 1951 r. ogłosił nacjonalizację przemysłu naftowego. Dwa lata później Anglosasi przeprowadzili regularny przewrót, obalając szefa

ządu i przywracając firmy naftowe zachodnim właścicielom. Irańczycy do dziś gloryfikują Mosaddegha jako politycznego męczennika antyimperializmu. I wyciągają wniosek, że niepodległość i dobrobyt kraju muszą zdobyć poprzez walkę z Zachodem.



Paradoks piąty

Poczucie to wzmocniła krwawa wojna z Irakiem w latach 1980–88. Saddam Husajn postanowił wykorzystać porewolucyjny chaos i zaatakować sąsiada. Społeczność międzynarodowa nie potępiła ani agresji Iraku, ani użycia przez niego broni chemicznej. A gdy Iran zyskał przewagę, Zachód i jego regionalni sojusznicy udzielili Bagdadowi pełnego poparcia. Kolejnym przełomem była inwazja Ameryki na Irak w 2003 r. Irańskie władze uznały wtedy, że jeśli Amerykanie odważyli się na taki ruch, w następnym kroku zaatakują Iran. Teheran – w ramach prewencji – zmobilizował w Iraku szyicką większość do antyamerykańskiego powstania. Kraj pogrążył się w chaosie, a Waszyngton musiał odłożyć plany wojny z Iranem.

Teheran zdał sobie wtedy sprawę, że niekończąca się wojna asymetryczna – prowadzona przez lokalne milicje szkolone i dowodzone przez Irańczyków – może wyczerpać i odstraszyć nawet Stany Zjednoczone. Wkrótce potem Iran przekształcił swoją iracką taktykę w regionalną strategię, włączając w nią starych sojuszników, czyli Hezbollah, Hamas i asadowską Syrię. Strategia ta z czasem zyskała miano Wysuniętej Obrony, choć dla Ameryki i świata arabskiego nie było w niej nic defensywnego – tylko irański ekspansjonizm.

Wszystko to rozsypało się po ataku Hamasu na Izrael w październiku 2023 r. W odpowiedzi Izrael zniszczył Hamas, potem unieszkodliwił Hezbollah, reżim Asada w Syrii zawałił się sam, czego Izrael nie omieszkiał jednak wykorzystywać. Ale ta klęska nie zmieniła irańskiego rachunku strategicznego. Republika Islamska nadal opiera się na antyimperializmie. I właśnie w tym kontekście warto spojrzeć na nuklearne ambicje Teheranu.

Zasada nierozprzestrzeniania broni jądrowej brzmi w zachodnich uszach całkiem racjonalnie (dotyczy jej nawet ważny traktat międzynarodowy). Przecież im więcej państw ją posiada, tym większe jest zagrożenie, że ktoś w końcu jej użyje. A jeszcze gorzej, gdy do tego grona chce wejść państwo kierowane przez religijnych szaleńców wieszczących rychły koniec świata i mających za nic świętą racjonalność. Tyle że Irańczycy patrzą na to zazwyczaj inaczej.

Dla reżimu w Teheranie i jego wciąż licznych zwolenników własny program nuklearny, a może nawet bomba, to sprawa godnościowa. Z tej perspektywy dwa mocarstwa jądrowe, które dla Iranu są ciałami obcymi na Bliskim Wschodzie – USA i Izrael – nie chcą dopuścić, żeby jakiegokolwiek państwa regionu zbudowało bombę, bo wszystkie one mają pozostać bezbronne wobec przeważającego potencjału konwencjonalnego Waszyngtonu i Tel Awiwu, aby te mogły do woli i bez obaw ingerować w sprawy krajów regionu. W tym sensie, pisze Vali Nasr, chodzi o kontynuację zachodniego kolonializmu na Bliskim Wschodzie, o utrzymanie kontroli. A regularnie bombardowani ostatnio Irańczycy jak płyn nienewtonowski twardnieją coraz bardziej. I coraz częściej myślą o bombie jako jedynym sposobie na ostateczne wyzwolenie spod tego kolonializmu.

ŁUKASZ WÓJCIAK



© ANDREW LICHTENSTEIN/CORBIS/GETTY IMAGES

Nowe czarne listy

Jeśli jesteś w Ameryce obcokrajowcem i masz nieodpowiednie zdanie na temat konfliktu izraelsko-palestyńskiego, możesz wylecieć z uczelni, a zaraz potem z kraju. Duch makkartyzmu znów krąży.

MARIUSZ ZAWADZKI

Protest przeciwko wojnie w Gazie. Uniwersytet Columbia, Nowy Jork, kwiecień 2024 r.

Australijczyk Alistair Kitchen, który leciał z Melbourne do Nowego Jorku, został 12 czerwca zatrzymany przez służby graniczne w Los Angeles, gdzie miał międzylądowanie. Strażnicy wyciągnęli go z kolejki do okienka paszportowego i zabrali do osobnego pokoju przesłuchań. Jeden z nich powiedział konfidencjonalnie: „Obaj wiemy, dlaczego tu jesteś”. Kiedy Kitchen odparł, że on nie wie, zdziwiony strażnik wyjaśnił: „Bo pisałeś online o protestach na Uniwersytecie Columbia”. Kitchen studiował na nowojorskim Columbia University w latach 2022–24. Na swoim blogu pisał codzienne relacje z protestu studentów, który wybuchł wiosną 2024 r. „Chyba nikt tego bloga nie czytał, z wyjątkiem, jak się okazuje, rządu Stanów Zjednoczonych” – ironicznie zauważa w „New

Yorkerze”, gdzie szczegółowo opisał swoją przygodę.

Studenci Columbi domagali się, żeby uniwersytet przestał inwestować w firmy, które czerpią zyski z „izraelskiego apartheidu”, np. dostarczając broń armii Izraela. Columbia ma ogromny kapitał (15 mld dol.) uzbierany od darczyńców. Inwestuje np. na giełdzie, żeby z zysków finansować badania i bieżącą działalność. Podobnie jak inne uniwersytety nie ujawniła, gdzie konkretnie lokuje środki, i odrzuciła żądania „bojkotu Izraela”. Studenci rozbili namioty na kampusie, a potem zajęli jeden z budynków i ogłosili, że nie opuszczą go, dopóki będą ignorowani. Po kilku dniach władze uczelni wezwały policję, która aresztowała około setki najbardziej opornych demonstrantów.

Kitchen nie był wówczas zatrzymany, stąd jego zdziwienie na lotnisku w Los ►

► Angeles. Strażnik zażądał od niego hasła dostępu do telefonu, grożąc, że w razie odmowy zostanie wsadzony w samolot do Australii. Kitchen podał je i zaczęło się wielogodzinne przesłuchanie. Pytano go nie tylko o protesty studenckie, lecz również o opinie na temat Izraela, Hamasu, Palestyńczyków, np. „Czy twoim zdaniem winę za konflikt bliskowschodni ponoszą Żydzi, czy Palestyńczycy?”.

Przesłuchaniu w Los Angeles towarzyszyło intensywne wertowanie telefonu i tysiący zapisanych w nim zdjęć. „W pewnym momencie wspólnie ze strażnikiem oglądaliśmy fotki mojego penisa” – wspomina Kitchen. Potem strażnik zniknął na pewien czas z telefonem. A kiedy wrócił, zapytał, czy Kitchen przyjmował narkotyki, bo w jego telefonie znaleziono dowody, że tak. Zestresowany Kitchen przyznał, że w Nowym Jorku kupował marihuanowe cukierki. „No, ale w ESTA (elektronicznej deklaracji przed przylotem do USA – przyp. red.) napisałeś, że nie używałeś żadnych narkotyków” – stwierdzili strażnicy i zapakowali go w samolot do Melbourne. Dopiero potem Kitchen się zorientował, że w telefonie nie było żadnych „dowodów”. Straż graniczna wydała oświadczenie, że został cofnięty za kłamstwo na formularzu wjazdowym, a nie z powodów politycznych.

Uczelnie i donosy

Przygoda Australijczyka wydaje się zupełnie błaha w porównaniu z wielomiesięcznymi aresztami zagranicznych studentów w USA. Ale właśnie z powodu swojej błahości jest zdumiewająca. Kitchen nie był żadnym prowodyrem protestów przeciwko wojnie w Gazie, jedynie pisał o nich na blogu. Nie jest muzułmaninem ani nie ma islamskich korzeni, jak większość szykanowanych studentów. Przeciwnie, pochodzi z zaprzyjaźnionej z Ameryką Australii. Co więcej, strażnicy z Los Angeles byli przygotowani na jego przyłot. Najwyraźniej musiał być na jakiejś czarnej liście.

Być może Kitchen znalazł się w wykazie, który stworzyli i przekazali administracji Donalda Trumpa proizraelscy aktywiści z organizacji Betar. Są tam tysiące nazwisk zagranicznych studentów, którzy protestowali przeciwko wojnie w Gazie. Ross Glick, szef amerykańskiej filii Betar, przyjaźni się z kilkoma kongresmenami, m.in. z senatorem Tedem Cruzem z Teksasu. Jak wyjaśnia, listę

stworzono na podstawie mediów społecznościowych, analizy nagrań wideo i donosów od studentów i wykładowców. Kitchen mógł też znaleźć się na czarnej liście, którą Departament Stanu stworzył przy użyciu sztucznej inteligencji. Automatycznie przeszukuje ona media społecznościowe (pisał o tym portal Axios). Wpisy „antyizraelskie” są podstawą do anulowania wizy, deportacji lub cofnięcia na granicy.

A może był na jakiejś liście, którą Columbia przekazała rządowi federalnemu? Trump i jego ludzie oczekują, że wyższe szkoły będą aktywnie pomagać w deportacjach. W „prezydenckim rozporządzeniu o dodatkowych działaniach w walce z antysemityzmem” z 29 stycznia czytamy, że „szkoły wyższe otrzymają od Departamentów Stanu, Edukacji i Bezpieczeństwa Krajowego instrukcje i rekomendacje, na podstawie których będą mogły monitorować zagranicznych studentów oraz pracowników naukowych i raportować ich działalność”.

Uniwersytet Harvarda odmówił składania donosów na studentów i była to jedna z przyczyn, dla których Trump wypowiedział mu wojnę – wstrzymał dotacje rzędu 3 mld dol. i zablokował rekrutację zagranicznych studentów (jedno i drugie zostało zawieszane przez sąd, któremu uczelnia poskarżyła się na decyzję rządu federalnego). Columbia ugięła się pod presją, m.in. wyrzucając studentów, którzy brali udział w protestach. Dlatego ma nadzieję zachować rządowe dotacje (ok. 400 mln dol.) i uniknąć represji.

Palestyna i Hitler

W Ameryce czarne listy kojarzą się z makkartyzmem, czyli szykanami, jakie po drugiej wojnie światowej spadły przede wszystkim na Hollywood, ale nie tylko. Dotknęły wielu artystów, pisarzy, wykładowców i naukowców. Samo słowo nawiązuje do senatora Josepha McCarthy’ego, który nakreślał antykomunistyczną histerię i atmosferę podejrzeń o szpiegostwo na rzecz Związku Radzieckiego. Ludzie znani z lewicowych poglądów byli przesłuchiwanymi przez osławioną kongresową komisję ds. działalności antyamerykańskiej. Powstała czarna lista aktorów, scenarzystów i reżyserów, którzy byli całkowicie bojkotowani przez twórczy Hollywood (niektórzy na kilkanaście lat stracili możliwość wykonywania zawodu). Było na niej kilkaset nazwisk,

m.in. Charlie Chaplin, który z tego powodu wyemigrował do Europy.

O „nowym makkartyzmie”, tym razem proizraelskim lub – jak kto woli – antypalestyńskim, mówi się od półtora roku, odkąd armia izraelska rozpoczęła zmasowane bombardowania Strefy Gazy. Były one odpowiedzią na masakrę 7 października 2023 r., kiedy terroryści Hamasu przedostali się przez granicę i zabili 1,2 tys. Izraelczyków. Jako pierwsi potępił bombardowania studenci, co wywołało oburzenie środowisk żydowskich. Anti-Defamation League (ADL), czyli największa w USA pozarządowa organizacja zwalczająca antysemityzm, w otwartym liście do władz 200 uniwersytetów wzywała, żeby protesty studentów traktować jako „materiałne wsparcie dla zagranicznej organizacji terrorystycznej”.

Oczywiście w niektórych przypadkach protestujący faktycznie chwalili terroryzm, siali nienawiść lub głosili hasła antysemickie. W maju w Waszyngtonie zamordowano parę pracowników ambasady Izraela, a zabójca krzychał: „Wolna Palestyna!”. Nie omieszkał wykorzystać tego premier Izraela Benjamin Netanjahu, który stwierdził, że ten okrzyk „to współczesna wersja »Heil Hitler!«”.

Niektóre firmy amerykańskie ogłosiły, że nie będą zatrudniać uczestników protestów. Miliarder Bill Ackman żądał od Harvardu ujawnienia nazwisk pro-palestyńskich studentów, żeby umieścić ich na czarnej liście. Po Bostonie jeździły autobusy ze zdjęciami i nazwiskami kilkunastu takich osób. Kilkunastu profesorów, którzy solidaryzowali się ze studentami, zostało zwolnionych. Stanowiska utracili m.in. rektorzy Harvardu, Columbii, Uniwersytetu Cornella i University of Pennsylvania, oskarżani o tolerowanie antysemityzmu. Zrezygnowali sami albo zostali zmuszeni przez bogatych darczyńców, którzy gozili, że przestaną wspierać finansowo ich uczelnie. Harvard zgodnie z rekomendacją środowisk żydowskich poszerzył definicję antysemityzmu. Teraz jest nim również „twierdzenie, że Izrael jest projektem rasistowskim”.

Represje dla krytyków Izraela rozlały się również poza świat akademii. Samia Halaby, malarka pochodzenia palestyńskiego, miała mieć wystawę na Indiana University, ale uczelnia wszystko odwołała. Nie z powodu jej dzieł, które są całkowicie abstrakcyjne, tylko z uwagi na jej wypowiedzi w mediach społecznościowych.



Na bezkarną krytykę Izraela
może sobie pozwolić tylko
senator Bernie Sanders

Pisarz Nathan Thrall miał być gościem na Uniwersytecie Arkansas, ale przed przyjazdem zażądano od niego podpisania zobowiązania, że nie będzie bojkotował Izraela ani wzywał do takiego bojkotu (co w większości stanów jest zakazane, chodzi np. o wzywanie, żeby nie kupować izraelskich produktów albo wyrobów z żydowskich osiedli na ziemiach okupowanych). Thrall odmówił i zaproszenie skasowano.

Zwolennicy Hamasu

Dopóki prezydentem był Joe Biden, wszystko to rozgrywało się poza rządem federalnym: w przestrzeni publicznej, między instytucjami, aktywistami, firmami, osobami prywatnymi. Dopiero kiedy nastał Trump, rząd federalny aktywnie włączył się w „zwalczanie antysemityzmu”.

Najpierw było wspomniane rozporządzenie prezydenckie, potem zaczęły się zatrzymania. Aresztowano i próbowano deportować Mahmouda Khalila, studenta pochodzenia palestyńskiego, który pełnił funkcję negocjatora demonstrantów z władzami Columbii. A ma on zieloną kartę, czyli jest legalnym rezydentem na drodze do obywatelstwa, oraz żonę Amerykankę. Deportację wstrzymał sąd do czasu rozstrzygnięcia sprawy, ale Khalil spędził w areszcie kilka miesięcy. Trump nazywał go „radykałem”, „zwolennikiem Hamasu i terroryzmu”, choć sam Khalil temu zaprzecza. „Rząd USA finansuje ludobójstwo w Gazie, a Columbia inwestuje pieniądze w to ludobójstwo. Dlatego protestowałem i będę protestował” – oświadczył, kiedy wyszedł na wolność.

Kilkumiesięczny areszt ma za sobą również Rümeyşa Öztürk, doktorantka z Turcji, która w ogóle nie brała udziału w protestach, tylko napisała otwarty list

do władz swojej uczelni, Tufts University. Wzywała do bojkotu Izraela „ze względu na duże prawdopodobieństwo ludobójstwa w Gazie”. Przypominała też, że w latach 80. XX w. Tufts, podobnie jak inne amerykańskie wyższe uczelnie, bojkotował rasistowską Republikę Południowej Afryki. I została zgarnięta z ulicy przez sześciu agentów po cywilnemu (z początku myślała, że to porwanie). Okrzyknięto ją „zwolenniczką Hamasu” i wydano nakaz deportacji (kilka dni przed zatrzymaniem Departament Stanu cofnął jej wizę, o czym jej nie poinformowano, więc nieświadomie przebywała już na terenie USA nielegalnie). Także ją uwolniono po nakazie sądu, czeka na wyrok w swojej sprawie.

Jedynym, który konsekwentnie nazywa wojnę w Gazie ludobójstwem i wzywa do wstrzymania dostaw broni do Izraela, ale jakoś nie jest oskarżany o antysemityzm ani o wspieranie Hamasu, pozostaje senator Bernie Sanders. On jednak funkcjonuje w amerykańskiej polityce na specjalnych prawach. Dwukrotnie kandydował na urząd prezydenta. Dla prawicowców jest zbyt niepoważny – ze względu na mocno lewicowe poglądy. Dla lewicowców ma zbyt duży autorytet, żeby można go było zaatakować.

Projekt Estera

„New York Times” niedawno pisał, że dławienie krytyki Izraela nie jest jakąś doraźną decyzją administracji Trumpa, tylko zostało metodycznie i szczegółowo zaplanowane przez konserwatywną Heritage Foundation w ramach Projektu Estery (to nawiązanie do biblijnej postaci, która swoją urodą i przebiegłością zmieniała zamiary króla Persji względem Żydów). Chodzi z grubsza o to, co ADL

postulowała w liście do władz uniwersytetów w 2023 r., czyli na piętnowaniu wszelkiej krytyki Izraela jako materialnej, fizyczne wspieranie terroryzmu. A za to grozi deportacja, pozwy sądowe, utraty finansowania, utrata pracy, ostracyzm, a nawet więzienie. Każdy, kto potępia Izrael, jest przedstawiany jako „sympatyk Hamasu”. Nawet jeśli sąd go u niewinni od oskarżeń w ramach wolności słowa, to koszty procesów są na tyle duże, że skutecznie utemperują wielu niepokornych i obserwatorów, którzy dobrze się zastanowią, zanim cokolwiek powiedzą.

Wojna Trumpa z uniwersytetami ma oczywiście szersze tło. Od wielu lat konserwatyści uważają, że najbardziej prestiżowe uczelnie są wyłęgarnią liberalizmu i zgubnych pomysłów lewicowców. Awantura o antysemityzm jest dobrą okazją, żeby je ukarać, a może nawet zmusić do zmiany kursu.

Wydaje się jednak, że Projekt Estery przynosi skutki odwrotne do zamierzonych. W kwietniowym sondażu Pew Research Center aż 53 proc. Amerykanów stwierdziło, że ma negatywne zdanie o Izraelu (o 11 pkt proc. więcej niż trzy lata temu). Szczególnie radykalne antyizraelskie poglądy mają ludzie młodzi, którzy najbardziej korzystają z internetu i czerpią wiadomości o świecie z mediów społecznościowych, gdzie dużo zdjęć i filmików z Gazy. Wręcz szokujące wyniki przyniosło badanie przeprowadzone przez sondażownię Harris na zlecenie Uniwersytetu Harvarda: w grupie wiekowej 18–24 lata aż 48 proc. badanych stwierdziło, że w wojnie Izraela z Hamasem popiera... Hamas! Dla porównania w grupie wiekowej 65+ aż 93 proc. popiera Izrael, a tylko 7 proc. Hamas. A jeszcze rok temu młodzi w 72 proc. popierali Izrael...

Oczywiście trzeba poczekać jeszcze jakieś 20 lat, zanim ta radykalna młodzież przejmie władzę w Waszyngtonie. To dużo czasu, żeby nad nią porządkować. Na przykład senator Ted Cruz, który popiera „czarne listy antysemitów”, w swojej politycznej karierze dostał od proizraelskiego lobby 2 mln dol. (rekordzista jest Joe Biden – 4,2 mln dol.). Z kolei kongresmeni krytykujący Izrael są karani w ten sposób, że lobby finansuje ich przeciwników w walce o reelekcję. Istnieje zatem niezerowa szansa, że dzisiejsi zbuntowani studenci zostaną spacyfikowani.

MARIUSZ ZAWADZKI



Obchody Dnia Europy w Brukseli. Agnieszka Bartol (w czerwonej marynarce) i zespół Polonia.

Esencja z prezydencji

Polska zakończyła właśnie półroczne przewodniczenie w Unii. Nie było wielkich wizji. Ale polskich urzędników bardzo chwalono za sprawność.

TOMASZ BIELECKI Z BRUKSELI

Pierwszej polskiej prezydencji w Radzie Unii Europejskiej z 2011 r. towarzyszyły wielkie hasła: „Polska przejmuje stery w Europie”, „Polska pokieruje Unią”. Taki zaszczyt zaledwie siedem lat po wejściu do Unii Europejskiej traktowano zarówno w Warszawie, jak i w Brukseli jako finał politycznej aklimatyzacji Polski w strukturach unijnych. Celebra, jaką w naszym kraju otoczono tamtą prezydencję, niektórych irytowała, ale ułatwiała opowieść o pracach Polski na czele Rady UE, w których przecież na co dzień chodzi zwykle o szczegółowe rokowania, mało zrozumiałe poza bańką brukselską.

W zakończonej 30 czerwca drugiej polskiej prezydencji tym razem Warszawa

unikająca celebry. Jej hasło przewodnie „Bezpieczeństwo, Europo!” mobilizowało naszych dyplomatów do konkretnej (i wychwalanej przez zagranicznych kolegów) pracy w Brukseli. Ale rząd Donalda Tuska nie próbował wykorzystać swą rolę w Europie, np. poprzez dodatkowe szczyty. Prawie wcale nie wykorzystywano też tej prezydencji w kampanii prezydenckiej.

Jak się udało? – Agnieszka poradziła sobie bardzo dobrze. Ale przecież to nie zaskoczenie – w tym tonie odpowiadają zagraniczni dyplomaci, pytani o ocenę prezydencji, która dla maszynierii negocjacyjnej w Brukseli miała twarz nie tylko ministra do spraw europejskich Adama Szałapki czy innych członków rządu

Tuska, lecz przede wszystkim ambasadorki Agnieszki Bartol. To stała polska przedstawicielka przy UE, będąca jednocześnie „szerpą” Tuska, a zatem główną doradczynią premiera w sprawach Unii.

Bartol przecierała szlaki w euroinstytucjach już u progu polskiego członkostwa. Jako jedyna dyplomatka z krajów szycujących się do akcesji weszła w 2002 r. do kilkunastoosobowego Sekretariatu Konwentu Europejskiego, który pod przewodnictwem Valéry’ego Giscarda d’Estaing opracował traktat konstytucyjny (odrzucony potem w referendum we Francji i w Holandii).

Wspomina, że od samego początku pracy w Brukseli nigdy nie odczuła, że jest odmiennie traktowana z racji pochodzenia z młodszej części UE. To świadectwo

wyjątkowe, bo zwykle Polacy z pierwszej polskiej fali w instytucjach unijnych wspominają, że byli przyjmowani miło, ale z rezerwą. Do 2023 r. pracowała jako eurourzędniczka, więc mimo przejścia na drugą stronę – najpierw do rządu Tuska, a potem do polskiej placówki w Brukseli – nadal zasiadała przy tym samym stole negocyjnym, tyle że teraz reprezentując Polskę.

Tegoroczna prezydencja oznaczała kierowanie ponad 40 ministerialnymi posiedzeniami Rady UE. Ale permanentne negocjacje i wstępne wypracowywanie kompromisów działały się głównie na poziomie ambasadorów 27 krajów UE oraz ich zastępców. Gdy Komisja Europejska przedłożyła w lutym projekt SAFE dotyczący 150 mld euro tanich pożyczek na projekty zbrojeniowe, Bartol z pozostałymi ambasadorami wzięła na siebie wynegocjowanie go w zaledwie dwa miesiące.

Sprawne sfinalizowanie SAFE, z którego rząd Tuska chce wyciągnąć dla Polski co najmniej 20 mld euro, uchodzi w Brukseli za czołowe osiągnięcie naszej prezydencji. Tu wielką przeszkodą było odświeżenie starego unijnego sporu, czy i do jakiego stopnia fundusze unijne mogą pójść do firm spoza Unii. Ostatecznie Polska zdołała wynegocjować formułę, że co najmniej 65 proc. wartości projektów musi pochodzić z Europy.

Kolejny duży temat to deregulacja. Krajowe priorytety rządu Tuska – podobnie jak w przypadku obronności – zgrały się tu z poglądami wielu innych państw Unii domagających się ograniczenia „brukselskiej biurokracji” oraz wpisały w program Komisji Europejskiej. W pierwszym półroczu Komisja przedłożyła pięć pakietów uproszczeń przepisów („omnibusów”), a nasi dyplomaci zdołali dość szybko wypracować kompromis.

Pod sam koniec prezydencji Polska sparzyła się jednak na projekcie przepisów o walce z oszustwami w tzw. zielonym marketingu, bo w rozmowach z delegacją europarlamentu przystała na obciążenie – wbrew intencjom Komisji – milionów mikroprzedsiębiorców (zamiast tylko średnich i dużych firm) kosztownym obowiązkiem regularnego uzasadniania etykiet „towar neutralny klimatycznie” albo „wyprodukowany z surowców recyklingowych”. Załagodzeniem tej awantury zajmą się już Duńczycy, którzy

pokierują pracami Rady UE w drugiej połowie 2025 r.

Od każdego państwa prezydenckiego oczekuje się wejścia w rolę „neutralnego pośrednika”, który działa poza własnymi interesami, a nawet powstrzymuje się w głosowaniach Rady UE, gdyby jego głos miał przechylić szalę na rzecz zwolenników bądź przeciwników któregoś z projektów. To ideał oparty nie na twardych zapisach, lecz na dobrym obyczaju, do którego kolejne prezydencje podchodzą z większą lub mniejszą elastycznością.

Polska stanęła tu na wysokości zadania. Dzięki negocjacjom Arkadiusza Plucińskiego (zastępcy Bartol) doprowadziła m.in. do kompromisu w sprawie nowych przepisów farmaceutycznych, które wyważyły interesy wielkich firm oraz producentów leków generycznych.

Z drugiej strony rząd Tuska, zapewne w sporej mierze z powodu kampanii prezydenckiej, twardo naciskał w Brukseli na odwołanie projektów wywołujących kontrowersje w Polsce. Prezydencja to wydatnie ułatwiła. Przykładem stało się na początku czerwca wygaśnięcie – wzbudzających protesty polskich rolników – przywilejów handlowych dla Ukrainy. Wprowadzono je w 2022 r. jako formę pomocy wojennej dla Kijowa. Szeffostwo Komisji (pod presją Warszawy) nie wywiązało się też z obietnicy przedłożenia Radzie UE projektu nowych reguł handlu z Ukraincami na kolejne lata.

Naciski Polski przyczyniły się również do odsunięcia w przyszłość propozycji legislacyjnych dotyczących kontynuacji Zielonego Ładu, które miały ustanowić nowy unijny cel redukcji emisji gazów cieplarnianych na 2040 r.

Wykorzystywanie prezydencji do własnych interesów bywa niebezpieczne. „Prosimy wszystkich, którzy prowadzą kontrole na granicach wewnętrznych UE, aby od tego odstąpili. Jeśli chcemy, by Europejczycy wspierali UE, muszą mieć zachowane te wartości, które dotyczą wolności” – przekonywał niedawno minister Tomasz Siemoniak, wyraźnie odnosząc się do kontroli wprowadzonych przez Niemców.

Dzień później ten sam minister Siemoniak znalazł się w niezręcznej sytuacji, gdy w roli przewodniczącego Rady UE omawiał stan przygotowań wszystkich krajów UE do wdrożenia paktu

migracyjnego. Tymczasem tylko Polska i Węgry, wbrew obowiązkom prawnemu, nie przedłożyły Brukseli planów swoich przygotowań, łącznie z „solidarnościowym” elementem relokacji uchodźców lub alternatywnie innych form pomocy dla państw dotkniętych kryzysem na granicach. I w tej kwestii Komisja Europejska przymknęła oko, pewnie by nie komplikować sytuacji politycznej w Polsce.

Z kolei premier Węgier Viktor Orbán udaremnił – deklarowane na początku prezydencji przez ministra Radosława Sikorskiego – plany otwarcia pierwszego „klastra”, czyli etapu w negocjacjach członkowskich Ukrainy i UE. Choć ta sprawa pachnie żmudnymi procedurami brukselskimi, to dla Kijowa jest ważna politycznie dla uwiarygodnienia konieczności reform na „drodę ku Unii”. Część unijnych prawników podpowiada, że niezapisany w traktatach warunek jednomyślności przy klastrach można uchylić w głosowaniu większościowym. Ale za polskiej prezydencji w Brukseli zabrakło apetytu na takie eksperymenty prawnicze.

Sceptycyzm wobec Ukrainy w UE będzie teraz paliwem politycznym premiera Węgier przed wyborami parlamentarnymi wiosną 2026 r. – W tej jednej kwestii Orbán przestał być transakcyjny. Zwykle ustępował w negocjacyjnym handlu „coś za coś”, ale opór wobec perspektyw Ukrainy w UE ostatnio stał się u niego bardzo ideologiczny – tłumaczy brukselscy urzędnicy, którzy mają za sobą ponad dekadę negocjacyjnych szarpanin z Węgrem.

Polscy dyplomaci wynegocjowali natomiast dodatkowe pakiety sankcji gospodarczych przeciw Rosji, choć to również wymagało jednomyślności wszystkich 27 krajów w Radzie UE. A Orbán, zdeklarowany trumpista, pod koniec czerwca sygnalizował gotowość do udziału w polityce sankcyjnej UE, bo Donald Trump dotąd nie zarządził amerykańskiego odwrotu od restrykcji gospodarczych wobec Moskwy.

W sumie więc ostatnie pół roku to nie był dogodny czas – zarówno ze względów wewnątrz krajowych, jak i kontynentalnych – by prezydencja ogłaszała fundamentalne reformy. Rząd Tuska do końca utrzymał pragmatyczny styl prezydencji. A nasi urzędnicy zapewnili jej profesjonalny poziom. Ale bez rewolucji. ■



Masaż bez happy endu

W laickiej, lecz wciąż protestanckiej Szwecji nowa świecka religia rusza na wojnę z moralnym brudem. Amatorzy płatnego seksu i porno mogą nawet trafić do więzienia.

KATARZYNA TUBYLEWICZ ZE SZTOKHOLMU

Już w 1960 r. amerykański prezydent Dwight Eisenhower straszył Amerykanów „szwedzkim grzechem”, zapewne pod wpływem śmiałej erotyki filmów Ingmara Bergmana. Kiedy w 1971 r. w Londynie pokazywano „Z języka miłości” Torgny’ego Wickmana, 30 tys. ludzi demonstrowało przeciw tym „sprośnościom” pod hasłem: „Szwecja – z roku na rok więcej pornografii, więcej samobójstw, więcej alkoholizmu i więcej rzeżączki”.

Dziś Szwecja kojarzy się z edukacją seksualną od podstawówki, tęczowymi małżeństwami i jedną z największych parad Pride w Europie. Z otwartością mówienia o seksie, także tym bez zobowiązań, oraz z możliwością zakupu wibratora w aptece. Szwedzi należą też

do czołowych na świecie konsumentów pornografii. Tym większe zaskoczenie budzi fakt, że przez ten kraj przechodzi fala postprotestanckiego purytyzmu i obyczajowej kontrrewolucji.

Od 1 lipca podlega tu karze kupowanie filmików o treści seksualnej w internecie. Osoby płacące za sekskamery będą mogły nawet trafić do więzienia. Nowe przepisy uderzają m.in. w platformy takie jak OnlyFans, której dyrektor ds. komunikacji domagał się – bez rezultatu – spotkania z dwoma ministrami. Firma opublikowała oświadczenie: „W Szwecji OnlyFans płaci 12 mln dol. podatku rocznie. Nasza platforma daje niezależnym twórcom – z których wiele to kobiety, członkowie społeczności LGBT oraz osoby zmarginalizowane – możliwość zarobkowania”. Przeciw

nowej ustawie protestowała też Krajowa Federacja na rzecz Praw Osób Homoseksualnych, Biseksualnych, Transpłciowych i Queer. Według niej przepisy „zamiast zapewniać ochronę osobom LGBT, które sprzedają usługi seksualne, mogą wpędzić je w problemy finansowe”.

Władze się nie ugięły i w dzienniku „Dagens Nyheter” można teraz przeczytać o osobach, które planują wyprowadzkę do „prawdziwie liberalnej” Danii. Jak studentka prawa Cara, która utrzymuje się z kanału na OnlyFans, gdzie ma 200 tys. obserwatorów. Uważa się za aktorkę porno i chciałaby, żeby jej działalność była traktowana jak każda inna praca. W Szwecji Cara nie ma na to szans.

Problem ma też dyplomata Tobias Thylberg, były ambasador w Afganistanie

© OLIVIER CHOUHAN/GAMMA-RAPHO/GETTY IMAGES

i Ukrainie, zdeklarowany gej, który 8 maja został doradcą premiera ds. bezpieczeństwa narodowego. Niecałą dobę później ogłosił rezygnację ze stanowiska po informacji, że prasa jest w posiadaniu jego intymnych zdjęć z aplikacji randkowej Grindr. Nie pomogły protesty, nawet artykuł popularnego pisarza i komika Jonasa Gardella, który przypominał, że wysyłanie *dick picks*, czyli zdjęć penisa, na Grindr to zwykły element gejowskiego życia erotycznego. A upokorzenie Thyberga przypomina mu to, co Brytyjczycy wyprawiali z Alanem Turingiem.

W „Dagens Nyheter” Clara Cronhielm pisze, że zamieszanie wokół Thyberga uwidacznia gigantyczną przepaść pokoleniową w postrzeganiu seksualności i nagich zdjęć: „Thyberg nie mógł zostać doradcą premiera z powodu zdjęcia penisa. Gdy wypowiadałam to krótkie zdanie, ogarnia mnie panika. Jeśli samo istnienie czyichś nagich zdjęć w internecie lub w telefonach komórkowych innych osób jest przeszkodą w objęciu wysokiego stanowiska zawodowego, to przedstawiciele pokolenia Z i milenialsi są skończeni”.

W maju odbywały się w Sztokholmie hokejowe mistrzostwa świata. To sport uchodzący za męski, a policja szwedzka regularnie informuje, że podczas dużych wydarzeń sportowych rośnie przestępczość seksualna. Dlatego w czasie mistrzostw zatrzymano 175 klientów prostytutek. Media pisały, że wśród nich byli ojcowie małych dzieci, nauczyciele, mężczyźni w związkach oraz nałogowcy. „Jedynie, co ich łączy, to fakt, że są mężczyznami, którzy konsumują kobiety jak hamburgery” – powiedział w wywiadzie telewizyjnym Simon Häggström, znany policjant i pogromca klientów prostytutek.

Wiosną media donosiły, że 80 proc. popularnych salonów masażu tajskiego to ukryte domy publiczne. I że policja robi na nie naloty. Zdarzają się też skandale z celebrytami w rolach głównych. O przestępstwo zakupu usług seksualnych podejrzany był bratanek królowej Patrick Sommerlath, który w jednym ze stołecznych salonów masażu dwukrotnie zapłacił za jedną wizytę szwedzkim BLIK-iem – raz 250, a potem 1000 koron (ponad 380 zł). Tak się płaci za masaż z happy endem albo jeszcze coś gorszego – skontaktowała policja. Wizyta u prostytutki zakończyła też karierę medialną Paola

Roberto, byłego boksera, dziennikarza i właściciela kilku restauracji. Uznano go przy okazji za człowieka podłego.

W Szwecji panuje dziś polityczna zgoda co do tego, że prostytutka jest formą przemocy względem kobiet. „Kupowanie seksu to kupowanie gwałtu” – brzmiał pamiętny tytuł w jednej z gazet, gdy w 1999 r. wprowadzono tu kary za prostytutkę – dla klientów, bo osoby świadczące takie usługi są postrzegane jako bezwolne ofiary. Pisano wówczas, że nie ma mowy o moralnej panice, lecz o rozwiązaniu, które „odróżnia porządne społeczeństwo od piekła”.

W Polsce polityczna poprawność nakażywałaby napisać, że chodziło o klientów „pracownic seksualnych”. Szokuje w tym, że określenie *sex-worker* uważane za właściwe i podmiotowe także w Danii, Holandii, Niemczech, Anglii i wielu innych krajach, w Szwecji uchodzi za przejaw hipokryzji i cynizmu. Jakby ktoś mógł dobrowolnie zdecydować się na sprzedaż usług seksualnych i traktować je jako pracę. A w to nie wierzy przytłaczająca większość Szwedów. Dość przypomnieć popularny w Polsce film „Powodzenia, Leo Grande”, w którym dojrzała kobieta grana przez Emmę Thompson doświadcza po raz pierwszy przyjemności erotycznej dzięki niezwykle empatycznemu pracownikowi seksualnemu. W Szwecji ten obraz w zasadzie przepadł bez wieści, nie pisały o nim gazety, praktycznie nikt go nie widział.

Mówimy tu o swoście religijnym podejściu. Szwedzi są wprawdzie zsekularyzowani, nie wierzą w Boga i nie chodzą do kościoła. Mają za to inne wiary i religie, które sprawiają, że pewne kwestie są w Szwecji postrzegane dość czarno-biało. Kiedyś szwedzką świętą była Greta Thunberg i pod jej wpływem społeczeństwo zgodnie i kategorycznie potępiało podróże samolotami, nie było tu dużo miejsca na odcienie i niuanse. Pisze o tym politolożka Katarina Barrling w nowej książce „Världens mest protestantiska land” (szw. „Najbardziej protestancki kraj świata”): „Im bardziej szwedzkie społeczeństwo oddala się od tradycyjnie pojmowanej religii, tym silniej religijny sposób myślenia przenika do innych sfer”. Najwyraźniej wśród szwedzkich przekonań religijnych znajduje się dziś również to, że praca seksualna nie istnieje. Jest tylko handel ludźmi i gwałt, z którym trzeba walczyć jak z szatanem.

Autorzy nowego raportu Rady Europy o pracownikach seksualnych są jednak

innego zdania. Wskazują, że kryminalizacja i stosowanie sankcji wobec tej grupy, jej klientów lub stron trzecich wpływa na ograniczenia praw i pogorszenie sytuacji życiowej pracowników seksualnych, zwiększa ich stygmatyzację i zagrożenie przemocą. „Podejście osadzone w przekonaniu o uniwersalnych prawach człowieka powinno zakładać, że dobrowolne relacje seksualne między dorosłymi osobami odbywające się za wynagrodzeniem nie powinny być kryminalizowane” – piszą autorzy raportu.

W Szwecji to by nie przeszło, choć badacze ze Stockholm Institute of Transition Economics (SITE) ostrzegają, że zakaz kupowania seksu ma negatywne skutki międzynarodowe – zwiększa poziom seksturystyki związanej nie tylko z handlem ludźmi, ale też z wykorzystywaniem dzieci. Mimo to za penalizacją zakupu usług seksualnych przez internet zagłosowały zgodnie wszystkie partie z wyjątkiem socjaldemokratów. Ci ostatni chcą bowiem pójść jeszcze dalej i zakazać wszelkich platform, które transmitują treści seksualne. Rzeczniczka partii twierdzi, że „cały zdigitalizowany przemysł seksualny to droga prowadząca do prostytucji i handlu ludźmi”.

Na poparcie tej tezy przytacza się opisaną niedawno w „Dagens Nyheter” historię Samuela, który został w dzieciństwie zgwałcony i ma problemy z wyznaczaniem granic w relacjach z ludźmi, a tym bardziej w seksie. Jako młody chłopak zaczął zarabiał pieniądze, wrzucając seksowne filmiki na OnlyFans, co w jego przypadku szybko prowadziło do spotkań z mężczyznami, którzy płacili mu za seks. Dziś uważa, że cała ta działalność była dla niego szalenie destrukcyjna.

Zapewne innego zdania jest 51-letnia Linda Skugge, jedna z najbardziej znanych w Szwecji feministek. Przez wiele lat krytykowała patriarchy, opisywała trudy macierzyństwa i wtykała szpile Szwedkom i Szwedom sprzeniewierzającym się feministycznym ideałom. Od dwóch lat zarabia podobno całkiem duże pieniądze na OnlyFans, gdzie udostępnia odpłatnie swoje zdjęcia o charakterze erotycznym. Twierdzi, że dzięki tej platformie mężczyźni, którzy wcześniej nieproszeni wysyłali jej *dick picks*, teraz dostarczają jej takie zdjęcia za opłatą, czym jest wprost zachwycona. ■



Brokuł władzy

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Kojarzymy wegetarian z wrażliwością i miłością do zwierząt. Najnowsze badania sugerują jednak, że ich wybór miewa – i miewał – zupełnie inne przyczyny.

Jeszcze do niedawna panowało przekonanie, że kto nie je mięsa, musi być albo chorowity, albo dziwaczny. Ten obraz się zmienił – dieta roślinna zdobywa popularność nie tylko wśród młodych ludzi, ale i wśród seniorów, którym lekarze zalecają ograniczenie mięsa, zwłaszcza czerwonego. Ta zmiana motywacji dobrze ilustruje,

jak bardzo nasze wybory żywieniowe są odbiciem zmieniających się wartości. Ale rezygnując z mięsa, nie kierujemy się tylko tymi „miękkimi”, sugerują badania opublikowane w „PLOS One” przez Johna B. Nezleka z SWPS i College of William & Mary.

W trzech badaniach wzięły udział 3782 osoby z Polski i ze Stanów Zjednoczonych. Na podstawie odpowiedzi ankietowych autor porównał, jak wegetarianie i mięsożercy oceniają tzw.

podstawowe wartości uporządkowane według popularnego modelu psychologa Shaloma Schwartza.

Okazało się, że wegetarianie rzadziej niż mięsożercy przywiązują wagę do bezpieczeństwa, tradycji, konformizmu, a nawet – co może być największym zaskoczeniem – do życzliwości wobec bliskich. Wartość ta, nazywana *benevolence*, oznacza gotowość do pomagania, dbania o relacje i wspólnotę. Jeszcze ciekawszy jest stosunek do wartości nazwanej „uniwersalizmem”, która w modelu Schwartza odnosi się do troski o środowisko i prawa wszystkich żywych istot. W USA osoby na diecie roślinnej cenią sobie ją wyżej niż mięsożercy, w Polsce ta różnica nie występuje. Zamiast tego bardziej jest widoczna potrzeba autonomii i działania na własnych zasadach. Wegetarianie po obu stronach oceanu częściej niż mięsożercy cenili stymulację, osiągnięcia i władzę, czyli wartości związane z ambicją, potrzebą wyzwania i odróżniania się od otoczenia.

Autor badania sugeruje, że rezygnacja z mięsa może być dla wielu nie tyle gestem empatii, ile świadomym wyborem na przekór normom, a także częścią tożsamości osoby niezależnej i samostanowiącej. Wyniki te są sprzeczne ze społecznym postrzeganiem wegetarian. Skoro kobiety częściej niż mężczyźni wybierają diety bezmięsne, a mięso w kulturze Zachodu bywa symbolem męskości, łatwo uznać, że wegetarianizm to wybór „miękk”. Tymczasem wartości, które rzeczywiście wyróżniają osoby niejedzące mięsa, są raczej „twarde”: indywidualizm, nonkonformizm, ambicja. Niezlek nie analizował historycznych uwarunkowań takich wyborów. Wykonajmy więc to ćwiczenie. Spójrzmy wstecz i zapytajmy, co kiedyś powodowało, że ludzie nie jedli mięsa.

Kuchnia paleolitu

Pierwsze homininy jadały głównie owoce, bulwy, liście, orzechy, kłaczka, nasiona i trawy. Potwierdzeniem są ich zęby typowe dla roślinożerców. *Australopithecus afarensis* 4 mln lat temu wydobywał szpik z kości zwierząt upolowanych przez większe drapieżniki, czego ślady znaleziono na stanowisku Dikika w Etiopii, ale ze składu izotopów azotu i węgla w szkliwie osobników ze Sterkfontein w RPA wynika, że żywiły się roślinami strączkowymi oraz insektami. Najwidoczniej mięso z „odzysku” jadano rzadko. Dopiero 2 mln lat później weszło na stałe do diety, w której i tak królowały rośliny.

Według badaczy wiele najstarszych narzędzi z kamienia służyło homininom właśnie do ich obróbki, na co wskazują mikro-uszkodzenia charakterystyczne dla cięcia, miażdżenia czy rozcierania roślin oraz przyklejone do nich fitolity (krzemionkowe twory powstające w komórkach roślinnych) i skrobienia. Można powiedzieć, że podstawą diety paleo były bogate w węglowodany bulwy: ziemniaki, maniok, bataty czy taro. Ludzie odnieśli sukces nie dlatego, że zamienili pokarm roślinny na zwierzęcy, ale dlatego, że myślistwo jako dodatek do zbieractwa stanowiło najlepszą strategię pozyskiwania kalorii.

Paleolityczni łowcy-zbieracze jadali wszystko, co rosło w okolicy, było odżywcze i nadające się do strawienia na surowo lub po obróbce termicznej czy fermentacji. Fałszywe przekonanie, że paleolityczna dieta opierała się na białku zwierzęcym, wzięło się stąd, że badaliśmy głównie mieszkańców Północy, którzy rzeczywiście żywili się upolowaną zwierzyną, a także dlatego, że ślady po konsumpcji mięsa lepiej się zachowują. Tymczasem nawet podążający za mamutami i renami neandertalczyki jadaliby nie tylko ich ciała, ale i treść żołądków, co było sposobem

na dostarczanie roślinnych składników odżywczych. Badanie składu kamienia nazębnego mieszkańców hiszpańskiej jaskini El Sidrón wykazało też, że wśród nich byli smakosze gotowanego mchu, orzeszków piniowych i grzybów. Jeszcze bardziej wyrafinowani byli neandertalczyki z jaskini Szanidar w północnym Iraku, którzy przygotowywali skomplikowane potrawy z nasion wyki i grochu polnego. Moczyli je, częściowo obierali, a potem tłukli i podgrzewali z dodatkiem gorczycy i dzikich pistacji.

Człowiek współczesny też jadał rośliny tam, gdzie miał do nich dostęp. Żyjący 30 tys. lat temu przedstawiciele kultury iberomau-ryzyskiej z jaskini Taforalt w Maroku żywili się gatunkami śródziemnomorskimi. Natomiast pochowani między 9–6 tys. lat temu w Wilamaya Patjxa i Soro Mik'aya Patjxa w Peru łowcy-zbieracze głównie wcinali ziemniaki – i tylko 20 proc. ich menu stanowiło mięso. Jest to o tyle ciekawe, że niektórzy mężczyźni i kobiety mieli w grobach broń do polowania i narzędzia do oprawiania dużych zwierząt, jakby należeli do społeczeństwa zapalonych myśliwych. Dlatego należy przyjąć, że dieta w paleolicie zależała od wielu czynników, choć nie bez znaczenia były osobiste preferencje lub – być może – niechęć do polowań, jak w przypadku wegetarian z jaskini El Sidrón.

Menu nierównych

Wraz z pojawieniem się rolnictwa zmienił się sposób odżywiania, choć nie wszędzie tak samo radykalnie. Jednak izotopowe analizy kości pierwszych rolników wykazują, że jedli mniej białka zwierzęcego niż ludzie żyjący wcześniej, ale główna zmiana polegała na tym, że dzikie gatunki zastąpiono udomowionymi. Dieta stała się bardziej monotonna, gdy zdominowały ją dwa, trzy uprawne zboża, co fatalnie wpłynęło na stan zdrowia. Neolit, olbrzymi krok w rozwoju ludzkości, przyniósł nie tyle kulinarne bogactwo, ile uproszczenie menu. Tak jest do dziś, bo o ile w paleolicie spożywaliśmy 7 tys. sezonowo zbieranych gatunków roślin, o tyle dziś jemy ich zaledwie kilkaset (w najlepszym razie).

Pasterze w strefach suchych i wysokogórskich spożywali głównie mięso ze swoich stad. Gdzie indziej zastrzeżone było na ofiary i specjalne okazje, ponieważ hodowla wymagała ziemi, paszy, pracy, a zabicie zwierząt oznaczało rezygnację z mleka, wełny i siły pociągowej. Mięso do garnków rolników trafiało rzadko – w czasie uczt pogrzebowych, świąt czy rytuałów przejścia, a wraz z rozwarstwieniem społecznym stało się wyznacznikiem statusu. Pieczyste w czasie uczt elit symbolizowało władzę nad ludźmi i nad naturą. Już w III tys. p.n.e. warstwy uprzywilejowane zarezerwowały sobie też dostęp do polowań – w ramach rytuałów, a jednocześnie jako formę rozrywki. Przez kilka tysięcy lat miało to charakter nieformalny, wynikający z hierarchii społecznej. Do usankcjonowania doszło dopiero w średniowiecznych monarchiach feudalnych. Prawo do polowań mieli tylko właściciele ziemscy w swoich włościach, a kłusownictwo w ich lasach karano jak rabunek. Kontrola nad dostępem do mięsa była kontrolą nad ciałami i potrzebami biedoty, a mięso stało się synonimem męskiej siły, władzy, dobrobytu i hedonizmu.

Tabu mięsa

To, co wyznaczało władzę i prestiż, w niektórych religiach stało się symbolem przemocy i nieczystości. W Indiach pojawiła się zasada niekrzywdzenia (*ahimsy*), którą na przełomie VI i V w. p.n.e. założyciel dżinizmu Mahawira uczynił normą religijną. Wprowadził zakaz zabijania zwierząt i jedzenia ich ►

Wszystko, co najważniejsze

Psycholog Shalom H. Schwartz zaproponował model podstawowych wartości, które ludzie uznają za ważne w życiu. Wyodrębnił 10 uniwersalnych kryteriów w czterech kategoriach:

- **Zachowanie ładu i stabilności** – w tej grupie wartością jest bezpieczeństwo (*security*), czyli potrzeba ochrony, porządku i stabilności; konformizm (*conformity*), czyli unikanie zachowań naruszających normy społeczne, oraz tradycja (*tradition*), czyli szacunek dla zwyczajów, religii i dziedzictwa kulturowego.
- **Troska o relacje i wspólnotę** – tu liczy się życzliwość (*benevolence*), czyli lojalność, opieka nad bliskimi, wspieranie grupy, oraz uniwersalizm (*universalism*), czyli troska o ludzi, zwierzęta i środowisko, otwartość na różnorodność.
- **Autonomia i wolność jednostki** – najważniejsza jest niezależność (*self-direction*), czyli działanie według własnych zasad i przekonañ; stymulacja (*stimulation*), czyli potrzeba nowości, ryzyka i silnych doznań, oraz hedonizm (*hedonism*), w ramach którego dąży się do przyjemności i zaspokajania potrzeb.
- **Ambicja i pozycja społeczna** – największą wartością są osiągnięcia (*achievement*), czyli sukces osobisty, kompetencje, uznanie oraz władza (*power*), czyli kontrola nad zasobami, wpływ społeczny, prestiż.

► mięsa – traktowanych jako akt przemocy zanieczyszczający karmę i przeszkadzający w osiągnięciu wyższego stanu świadomości. Wyznawcy tej religii noszą też maski na twarzy, by nie połknąć muchy, i zamiatają ścieżki, by nie nadepnąć na jakiegoś bezkręgowca.

Trend się przyjął, bo w hinduizmie, który stopniowo przekształcał się z religii ofiar w religię osobistego zbawienia, ahimsa zyskała rangę jednej z najważniejszych cnót braminów, co wiemy z sanskryckiego eposu „Mahabharata” datowanego na IV–II w. p.n.e. Budda Siddhartha Gautama, który też nauczał współczucia wobec wszystkich istot i odrzucał składanie zwierząt w ofierze, nie nałożył całkowitego zakazu jedzenia ich mięsa. Tylko niektóre odmiany buddyzmu w Chinach, Wietnamie i Japonii surowo przestrzegają diety wegetariańskiej w klasztorach.

Podobna reguła znana jest z chrześcijańskiego monastycyzmu. Egipcjcy eremici, którzy w IV w. porzucali miasta i osiedlali się na pustyniach, rezygnowali z mięsa, postrzegając je jako pokarm zbyt związany z ciałem, krwią i przyjemnością, źródło grzechu i pożądania. Wegetarianizm był zatem formą ascezy i treningu ducha, który miał ujarzmić cielesność, jak celibat. Jednak reguła św. Benedykta z VI w. trochę łagodziła ten wymóg, pozwalając zamkniętym w klasztorach mnichom jeść drób i ryby.

Ostatecznie ograniczenie spożycia białka zwierzęcego stało się elementem szerszego systemu pokutnego, który dyscyplinował wiernych. Posty miały być aktem duchowej pracy, z tym że niejedzenie mięsa nie wynikało, jak w Indiach, z zasady niekrzywdzenia zwierząt, lecz z troski o własne zbawienie. Nie było więc indywidualnym wyborem, lecz normą narzuconą przez religię, klasę lub wspólnotę. Współczesne ruchy prozwierzęce niesłusznie powołują się na te tradycje, ponieważ dzisiejszy wegetarianizm jest raczej wyrazem przekonań osobistych. Zakaz jedzenia mięsa nie zawsze był przejawem empatii – bywał też narzędziem kontroli i egzekwowania duchowej czystości.

Choć mogłoby się wydawać, że to dieta determinuje poziom przemocy w danej kulturze, bo przecież „mięsożerca” brzmi drapieżniej niż „roślinożerca”, to rzeczywistość jest bardziej skomplikowana. Nic nie potwierdza prostego związku między tym, co jemy, a tym, jak brutalnie traktujemy innych. Nawet w Indiach, gdzie mięso było odrzucane z powodu współczucia, praktykowano ofiary z kóz czy kogutów w hinduistycznych kultach lokalnych bóstw, takich jak Kali, Durga czy Bhajrawa. Z kolei społeczności stricte myśliwskie, np. Inuici, ludy syberyjskie czy niektóre grupy z Amazonii, choć żyły dzięki mięsu, nierzadko otaczały zwierzęta głębokim szacunkiem i wiązały ich zabijanie z obowiązkiem rytualnym, a nie rozrywką czy przemocą.

Okrucieństwo nie zależy od ilości spożywanego białka zwierzęcego, lecz wiąże się z hierarchią, dostępnością zasobów i strukturą władzy. Tam, gdzie występowała silna hierarchizacja, jak w cywilizacjach Mezoameryki, składano brutalne ofiary nie dlatego, że Aztekowie lubili ludzkie mięso, lecz ponieważ potrzebowali rytualnego paliwa dla boskiego porządku. Z kolei plemię Warĩ z Brazylii, żywiące się głównie roślinami, praktykowało endokanibalizm z szacunku dla zmarłych i egzokanibalizm – z chęci upokorzenia wrogów. Zarówno mięsne, jak i roślinne kultury mogą być i brutalne, i pokojowe, w zależności od tego, w jakim świecie żyją i jak radzą sobie ze swoimi lękami.

Dieta zdrowia

Dziś wiele osób wybiera wegetarianizm z powodów światopoglądowych, mówiąc o śladzie węglowym, prawach zwierząt, nieetycznym przemyśle mięsnym. Badania Johna B. Nezeleka pokazują jednak, że często to tylko deklaracje na poziomie języka. Rzeczywiste motywacje mogą być inne. Na przykład zdrowie – dziś staje się jednym z najważniejszych powodów zmiany diety, nie tylko u młodych. Wielu specjalistów dowodzi, że przejście na dietę roślinną obniża ryzyko chorób serca, nadciśnienia, otyłości, cukrzycy typu 2, a nawet demencji. Rośliny lepiej niż mięso wspierają mikrobiom jelitowy, którego kondycja jest kluczem do zdrowszego i dłuższego życia. Przykładem są niebieskie strefy, gdzie średnia długość życia jest wyjątkowo wysoka. Dieta Japończyków z Okinawy opiera się głównie na warzywach korzeniowych, fasoli, wodorostach i tofu. Przy czym nie jest to kwestia ideologicznego wyboru, lecz codzienna praktyka równowagi dietetycznej.

Niejedzenie mięsa, mniej lub bardziej rygorystycznie przestrzegane, staje się więc formą higieny długiego życia, racjonalnym wyborem opartym na wiedzy, ale też społeczną modą. W XXI w. to nie tylko przekonanie, ale i deklaracja przynależności do grona ludzi świadomych, odpowiedzialnych, nowoczesnych. I nie ma w tym niczego nowego, bo już tysiące lat temu mniej lub bardziej dobrowolne unikanie mięsa było wpisane w zbiorowy rytuał, system wartości, wybór przynależności.

Zresztą, czy każdy wybór musi być głęboko przemyślany albo podszyty jakimiś wartościami? Niektórzy nie jedzą mięsa, bo nie lubią jego zapachu czy konsystencji. Dla jednych to przysmak, dla innych nieprzyjemne wspomnienie z dzieciństwa albo uczucie ciężkości po posiłku. Nie każdy, kto wybiera warzywa, chce zbawiać świat, i nie każdy, kto je mięso, pragnie krwi na talerzu. Między światopoglądem a mikrobiomem jest jeszcze podniebienie – najbardziej osobista z instancji decyzyjnych.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Mental na orbicie

Drugi Polak w kosmosie wykona wiele eksperymentów naukowych, ale i sam będzie badany. W jaki sposób? Opowiadają dr Agnieszka Skorupa i dr Mateusz Paliga, szefowie projektu AstroMentalHealth.



© SHUTTERSTOCK

KATARZYNA CZARNECKA: – Mamy swojego drugiego człowieka w kosmosie. Przeprowadza tam wiele eksperymentów naukowych. Wy jednak doprowadziliście do tego, że sam także jest eksperymentem.

AGNIESZKA SKORUPA: – Taka praca. I paja. Jedni starają się poznać kosmos, a my – ludzi, którzy w nim przebywają.

MATEUSZ PALIGA: – Spośród 13 eksperymentów prowadzonych przez Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej nasz faktycznie jest wyjątkowy.

Bo dotyczy kondycji psychicznej człowieka w izolacji.

M.P.: Owszem. Mimo kilkudziesięciu lat eksploracji kosmosu wskazówek na temat ten temat jest niewiele.

A.S.: Myśleliśmy, że porównamy nasze wyniki z poprzednimi. Okazało się, że NASA chroni dane, bo dotyczą niewielu osób, więc nie są anonimowe. Poza tym astronauta są kreowani na herosów. Czy nie doświadczali emocji, które zmieniały

się w trakcie misji? Nie sędzę. Po prostu się o tym nie mówiło.

M.P.: Przy wzmożonym treningu, mikrograwitacji, promieniowaniu kosmicznym wszystko może zdarzyć. Może dojść do pogorszenia wzroku czy słuchu, zwiócenia mięśni itp. I jakoś nie jest to powodem do obaw o sprawność astronauty w przyszłości. A zadanie mu w trakcie misji pytania: „Czy stresowałeś się dzisiaj?” chyba budziło lęki. Są prace – także nasze – po badaniach z misji analogowych (w warunkach zbliżonych do docelowych, ale na Ziemi – przyp. red.). Zazwyczaj kończą się stwierdzeniem: „Warto to przetestować na stacji kosmicznej”. Prawie nikt tego jednak nie robi. My mamy to ogromne szczęście i przywilej.

Jak do tego doszło?

A.S.: Od kilku lat prowadzimy badania w habitacie LunAres w Pile i jesteśmy dość dobrze osadzeni w tematyce kosmicznej. Kiedy nastąpił ten przełomowy dla Polski moment – wyselekcjonowanie do nowego składu astronautów Sławosza

Uznańskiego-Wiśniewskiego i przystąpienie do składki na załogowe loty w kosmos – byliśmy gotowi do złożenia wniosku projektowego w Europejskiej Agencji Kosmicznej.

M.P.: Poprosiliśmy o dzielenie się doświadczeniami z misji. I żeby badany oceniał to, czy dobrze wykonuje zadania, czy spełnia wymagania, czy radzi sobie z presją.

To dwa różne zadania.

M.P.: I dwie różne metody badawcze. Z jednej strony stosujemy wystandaryzowane kwestionariusze. Z drugiej – zadajemy pytania, na które uczestnicy będą odpowiadać za pomocą wideodzienników. Człowiek czasami nie zdaje sobie sprawy z pewnych aspektów swojego funkcjonowania, dopóki ktoś go nie zapyta. Wydaje mi się więc, że w pewnym sensie nasi badani są teraz eksperymentem także sami dla siebie.

Rozumiem, że Sławosze nie jest jedyny?

A.S.: Oczywiście byłoby pięknie, gdyby udział wzięli wszyscy członkowie ►

► misji Axiom-4, ale nie mieliśmy na to wielkiego wpływu. To, który astronauta w którym eksperymencie weźmie udział, negocjowały POLSA, ESA i NASA. My jesteśmy w tej całej machinie bardzo mali. Mamy jednak zgodę na udział jeszcze jednej osoby. Cieszę się, tym bardziej że pochodzi z innego kręgu kulturowego. A to jest jeden z czynników ryzyka w misjach kosmicznych, bo może powodować konflikty czy nieporozumienia wynikające z problemów komunikacyjnych.

Informacje uzyskane za pośrednictwem dzienników wideo to w nauce źródła dyskusyjne. Badani niekiedy konfabulują albo nie potrafią obiektywnie ocenić swojego stanu. Co wy na to?

M.P.: Żadne badanie psychologiczne nie jest w 100 proc. odporne na kłamstwo. Tyle że astronauta to osoby bardzo świadome siebie, więc możemy założyć, że dane będą prawdziwe. Poza tym wideodzienniki to metoda dobrze poznana w psychologii. Może nie jest w mainstreamie badawczym, w którym raczej stawia się na badania ilościowe, ale ma swoje procedury. Wykorzystuje się ją z powodzeniem w badaniach ludzi przebywających w izolacji i w środowiskach ekstremalnych. Poza tym nagrania są tworzone sześciokrotnie na różnych etapach misji i za każdym razem są odpowiedziami na same pytania. Będziemy więc mieli materiał do porównań.

A.S.: Mieliśmy też pomysł, który nam odradzono. Badani mieli oglądać jednodominutowe filmy ze scenami spaceru po lesie czy obiadu z rodziną i przyjaciółmi. Chcieliśmy pokazać im coś, czego nie można doświadczyć w kosmosie, żeby zobaczyć, czy budzi to jakieś stany emocjonalne. W końcu doszliśmy do wniosku, że nie możemy wzbudzać w nich tęsknoty. Bo jeśli nie zostanie przepracowana, może to mieć konsekwencje w postaci spadku motywacji czy trudności w radzeniu sobie ze stresorami. Zrobiliśmy jednak te badania w pilotażu.

Czyli podczas tzw. misji analogowych prowadzonych w projekcie LunAres.

A.S.: To są bezpieczniejsze warunki, żeby sprawdzać, czy i w jaki sposób sceny „ziemskie” oddziałują na psychikę ludzi w izolacji.

Wracając do wideodzienników.

Kto będzie je analizował?

A.S.: Po pierwsze, eksperci od lingwistyki – dr hab. Justyna Ziółkowska



Dr Agnieszka Skorupa, psycholożka, specjalizuje się w analizie zachowania człowieka w warunkach ekstremalnych i psychologicznej pracy z filmem. Współpracuje z Polską Stacją Polarną Hornsund im. Stanisława Siedleckiego i Polską Stacją Antarktyczną im. Henryka Arctowskiego oraz z marsjańsko-księżycowym habitatem kosmicznym LunAres.

z Uniwersytetu SWPS, prof. Dariusz Gasiński z Uniwersytetu Wrocławskiego i Konrad Opaliński z Uniwersytetu Zielonogórskiego. Po zmienności używanych struktur językowych – a mamy też materiał porównawczy sprzed misji – można bowiem poznać zmienność stanów emocjonalnych. My z naszymi doktorantami zajmujemy się ekspresją emocji na twarzy. Prowadzimy też rozmowy z Uniwersytetem Oksfordzkim w sprawie analizy zmiany tonu głosu. Badając wszystkie te parametry, chcemy wychwycić, czy sam fakt izolacji powoduje lepsze lub gorsze przystosowanie, większe zaangażowanie w pracę czy wycofanie się z niej, czy następuje przebudzowanie czy niedobodzowanie.

I jak się to rozkłada w czasie, prawda?

Są badacze, którzy preferują tzw. hipotezę trzeciej ćwiartki. Ich zdaniem w przedostatniej części misji pojawiają się największe problemy.

A.S.: Jest to mój ulubiony temat. To pojęcie wprowadzono do psychologii już 30 lat temu. Wówczas było oparte na pamiętnikach marynarzy i polarników. Teraz jest trochę badań empirycznych, które ten syndrom potwierdzają, i trochę takich, które mu przeczą. Kłopot z nimi jest taki,

że były prowadzone w różnych kontekstach – od sportowej podróży poprzez pustynię po wyprawę polarną właśnie. My przebadaliśmy uczestników kilkunastu analogowych misji kosmicznych – dwutygodniowych i miesięcznych – w tych samych warunkach i tym samym zestawem narzędzi. I to zbliżyło nas do wniosku, że syndrom trzeciej ćwiartki nie istnieje.

M.P.: Precyzyjniej: nie widać zmienności, która go odzwierciedla w przyjętych przez nas parametrach. A monitorowaliśmy stany emocjonalne czy efektywność pracy. I okazuje się, że ludzie dobrze sobie radzą do połowy misji, a później są i upadki, i wzloty. I jeszcze jedno: w przypadku krótszych izolacji wiele negatywnych doświadczeń może przykrywać motywacja. Ludzie, którzy uczestniczą w takich misjach to zapaleńcy, więc wytrzymują nawet trudne rzeczy i nie narzekają. Nie wiadomo jednak, co by się działo w trakcie np. rocznego pobytu w kosmosie – tego jeszcze nikt nie sprawdził.

W połowie misji jest właśnie nasz astronauta. Z waszych badań wynika, że teraz szczyt osiągają jego emocje pozytywne. Także jednak negatywne. Nie jest to sprzeczność?

M.P. Owszem, trudno być jednocześnie wściekłym na przełożonego i szczęśliwym z projektu, który się pod jego kierunkiem wykonuje. To jednak emocje o dużej intensywności, uruchamiane przez bardzo wyraźne bodźce. Odczucia mniej intensywne często się przeplatają. Nasze analizy wskazują, iż ludzie mogą się cieszyć, że dali radę przetrwać już połowę, a jednocześnie martwić końcem misji. Albo odczuwać smutek, że połowa za nimi, oraz radość, bo są już bliżej powrotu do domu.

Wówczas najlepsze są także poziom adaptacji do zadań oraz wydajność w pracy. Jednocześnie jednak zaczyna narastać technostres. Dlaczego?

M.P.: Znow – interpretacje mogą być różne. To może być zmęczenie wynikające z obsługi tak dużej liczby urządzeń. Albo rozczarowanie, że są zbyt wolne czy nadmiernie skomplikowane. Możliwe też, że w tym momencie misji człowiek najsilniej odczuwa fakt, że to, czy przeżyje, czy nie, zależy wyłącznie od technologii.

A.S.: To mi się wydaje najważniejsze. Pisałam pracę doktorską o polarnikach. Dla nich również – poza niedźwiedziami, które na Spitsbergenie są poważnym zagrożeniem – najbardziej stresogenne były relacje z urządzeniami. Oczywiście byli

bardzo kreatywni i radzili sobie z tym, co mieli. Astronauci natomiast są od technologii zależni w 100 proc. Takiego poziomu strachu i stresu nie da się odtworzyć nawet w badaniach w analogowym habitacie. Gdyby tam urządzenia dostarczające tlen zaszawkowały i mieszkańcy zaczęli się dusić, wystarczyłoby otworzyć drzwi. Jak to jest w kosmosie, mamy nadzieję dowiedzieć się od Sławosza.

**Paradoksalne jest to,
że na technostres proponujecie
remedium technologiczne.**

A.S.: Tak. Użytkowników smartfonów czy komputerów ostrzega się: „Nie patrzcie w ekran przed zaśnięciem”, a my zalecamy medytację pod wirtualnym drzewem. Cóż, tam ziemskie reguły nie działają.

Polarnikom by pani tego nie zalecała.

A.S.: Nie. Swoją drogą, ich doświadczenia nie są tak do końca analogiczne do przeżyć astronautów. To są osoby o nieco innym profilu osobowości. Z badań wynika, że kieruje nimi potrzeba eskapizmu lub przeżycia przygody, a w mniejszym stopniu potrzeba osiągnięć. Astronauci mają zaś więcej motywacji społecznej, ambicji, chęci wykazania się dla narodu i jego reprezentowania.

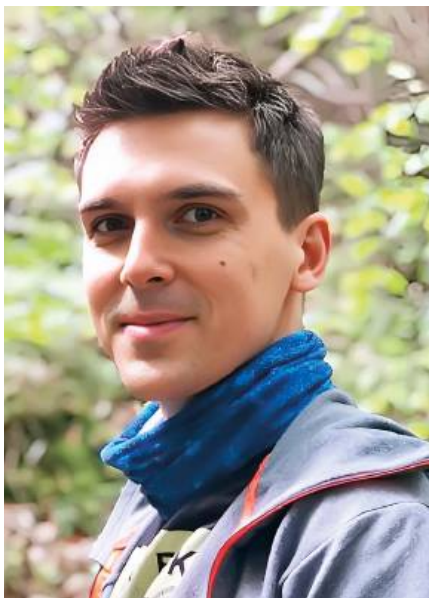
A.S.: Żeby jednak nie deprecjonować badań porównawczych powiem, że polarników i astronautów łączy realizm zagrożenia. Międzynarodowa Stacja Kosmiczna jest 420 km nad Ziemią. A Concordia, czyli stacja polarna na Antarktydzie – 600 km od najbliższej bazy ludzkiej. Czyli jest w pewnym sensie bardziej odizolowana – zresztą nocą polarną, która trwa kilka miesięcy, nie ma możliwości do niej dojechać ani się z niej wydostać. Polarnicy niosą więc podobny bagaż psychiczny, którego – jak mówiłam – nie odczuwa się w analogu kosmicznym.

**W ludzkiej potrzebie podboju kosmosu
Emmanuel Levinas dostrzegał szansę
na wyniesienie człowieka do godności
mieszkańca wszechświata. Hannah
Arendt uważała zaś, że mogłaby
przynieść raczej spadek znaczenia
ludzi w ich własnych oczach...**

M.P.: A Burrhus Frederic Skinner stwierdził, że im mniej wiemy o przyczynach dobrych uczynków ludzi, tym bardziej uważamy ich za godnych szacunku.

**Jak waszym zdaniem jest w przypadku
astronautów?**

M.P.: Bardzo ich szanujemy, ponieważ uważamy, że to, co robią, robią dla



Dr Mateusz Paliga, profesor Uniwersytetu Śląskiego, jest psychologiem pracy i organizacji. Specjalista w zakresie m.in. wydajności i satysfakcji z pracy oraz przywództwa. Bada również konsekwencje współpracy człowieka z robotami.

ludzkości, a nie tylko dla siebie. Szczególnie że zaczęliśmy poważnie zastanawiać się nad swoim miejscem w świecie. Tworzymy humanoidalne roboty, rozwijamy sztuczną inteligencję i mówi się, że technologia zagraża nam na trzech poziomach. Po pierwsze, na fizycznym – boimy się, że urządzenie zrani nas w trakcie pracy. Po drugie, na egzystencjalnym – że zabierze nam miejsca pracy. A trzeci lęk dotyczy utraty ludzkiej wyjątkowości. Może człowieczeństwo przestało być wyłączone nasze? Dużo czasu jednak upłynie, zanim Mars będzie dla nas faktyczną alternatywą. Zresztą, jeżeli stworzenie planety do „drugiego życia” ludzkości ma tyle kosztować, to dlaczego nie przeznaczyć tych pieniędzy na to, żeby zadbać o Ziemię?

Bo to byłoby mniej spektakularne?

M.P.: Choćby dlatego. Ludzie niekoniecznie mają motywację do tego, żeby coś ratować, ale koniecznie chcą być prekursorami. Tymczasem są nas miliardy, a do tej pory w kosmosie było kilkadziesiąt osób.

A.S.: Po półtorarocznym projekcie w habitacie LunAres napisaliśmy artykuł. I jeden z recenzentów zapytał, jak się czujemy z tym, że zamykamy ludzi w izolacji dla badania kosmosu, a tu są prawdziwe

problemy: trzeba uczyć dzieci, walczyć z głodem. Tyle że człowiek będzie latać w kosmos, bo jest gatunkiem eksplorującym. Nie mnie oceniać, czy to jest dobre, czy złe. Fascynuje mnie natomiast to, jak ludzie przystosowują się do różnych warunków środowiskowych. I wierzę, że psychologia ma narzędzia, które mogą ich wspierać.

**Będziemy mogli to sprawdzić
dopiero po misji Ax-4.**

M.P.: Porównamy, czy doświadczenia „naziemnych” i faktycznych astronautów się pokrywają. Jeśli tak, to świetnie: badania prowadzone w misjach analogowych są zasadne. Jeśli nie, postaramy się odpowiedzieć na pytanie, skąd biorą się różnice.

A.S.: Chcemy też dopracować metody monitoringu dobrostanu psychicznego osób w izolacji. Wytypować wskaźniki zdrowia psychicznego, którym warto się przyglądać, i na podstawie obserwacji ich zmienności np. proponować interwencje. Jeśli doszłoby do eksploracji długoterminowej na większą odległość od Ziemi, nie będzie możliwy bieżący kontakt z astronautami. Może trzeba będzie zaprząć AI do stworzenia profilu gramatycznego i emocjonalnego odzwierciedlającego zmiany w dobrostanie astronautów?

M.P.: Tylko czy to nie oznaczałoby uproszczenia i spłaszczenia informacji?

A.S.: To prawda. I najważniejsza rzecz – chcemy się dowiedzieć, jak wzmacniać w astronautach to, co konstruktywne: wgląd we własne emocje i ich samoregulację.

M.P.: Bo właśnie te cechy ułatwiają przystosowanie do warunków izolacji.

Jak to, co dzieje się ze zdrowiem psychicznym astronautów, ma się do tego, co dzieje się z nami na Ziemi?

A.S.: 17,3 proc. mieszkańców Unii Europejskiej (w tym 20 proc. tych z Polski) co najmniej raz w życiu doświadcza różnego rodzaju zaburzeń. Astronauci – bohaterowie masowej wyobraźni – mogą wiele w tej sprawie zrobić. Mogą być fantastycznymi ambasadorami dbałości o zdrowie psychiczne. Nie tylko dając się badać, lecz także nie wstydząc się o tym mówić.

M.P.: Dzięki nim inni mogą się przekonać, że każdy człowiek może i powinien poszukiwać wsparcia, kiedy mierzy się z sytuacjami nieprzewidywalnymi czy trudnymi. Czy jest, czy nie jest bohaterem.

ROZMAWIAŁA KATARZYNA CZARNECKA



Mózg w chmurze?

W niespokojnych czasach radosny technologiczny optymizm słynnego amerykańskiego wynalazcy **Raya Kurzweila** brzmi jak fałszywa nuta.

MARCIN ROTKIEWICZ

Oglądając aktualne zdjęcia Raya Kurzweila – właściciela licznych patentów odznaczonego National Medal of Technology przez Billa Clintona, a od 2012 r. „głównego badacza i wizjonera sztucznej inteligencji” w Google – można odnieść wrażenie, że w jego przypadku bieg czasu uległ odwróceniu. Zwłaszcza patrząc na fryzurę, bo gęste włosy zastąpiły widoczną jeszcze dekadę temu łysinę. Jak doniosły wścibskie media, nie jest to jednak cud odmłodzenia za sprawą jakiegoś genialnego wynalazku, tylko rezultat przeszczepu włosów. Czyżby Kurzweil pozazdrościł celebrytom, starającym się wszelkimi sposobami oszukać metryki? To raczej nie ten przypadek.

Kurzweil ma bowiem jedną wielką motywację utrzymywania jak najlepszej formy – marzy, żeby zobaczyć cuda radykalnej rewolucji technologicznej, której nadejście wieszczy od lat. Dlatego m.in. łyka codziennie koktajle ok. 200 mikroelementów i witamin (choć nie wiadomo,

czy mu pomagają), napisał o tym dwie książki (ich współautorem jest pewien amerykański lekarz). A najważniejszym „prorocstwem”, którego spełnienia chciałby doczekać, jest pojawienie się „osobliwości” (ang. *singularity*) około 2045 r. (miałby wtedy 97 lat).

Jak tłumaczył kiedyś w rozmowie z POLITYKĄ (45/10), pojęcie to ma ściśle znaczenie w fizyce. Do osobliwości dochodzi wówczas, gdy w wyniku koncentracji materia uzyskuje nieskończoną gęstość, i z taką sytuacją mamy prawdopodobnie do czynienia w kosmicznych czarnych dziurach. Kurzweil wykorzystuje to pojęcie metaforycznie w odniesieniu do hipotetycznego momentu, w którym postęp technologiczny, szczególnie w dziedzinie sztucznej inteligencji, przyspieszy do tego stopnia, że przekroczy ludzkie zdolności pojmowania i kontroli. Doprowadzi to m.in. do połączenia umysłu człowieka z maszyną, co zaowocuje powstaniem superinteligencji o niewyobrażalnych dziś możliwościach. Ten skokowy rozwój ma pociągnąć za sobą fundamentalne zmiany

w każdym aspekcie życia, od medycyny, poprzez edukację, aż po samą definicję człowieczeństwa. Nastanie wówczas era, w której granice między nami a maszynami zaczną się zacierać. Dzięki temu przekroczymy limity biologicznych ciał i mózgów, więc 97 lat Kurzweila (jeśli dożyje tego momentu) nie będzie miało znaczenia.

Amerykański wynalazca opisał owe nadciągające cuda w swojej najbardziej znanej książce „Nadchodzi osobliwość”, którą opublikował w 2005 r. (polskie wydanie w 2014 r.). Teraz postanowił powrócić do wizji sprzed dwóch dekad w wydanym właśnie w Polsce dziele „Osobliwość coraz bliżej. Kiedy połączymy się z AI”. Pisze w nim m.in., że od dekady jesteśmy świadkami bezprecedensowego przyspieszenia. Media społecznościowe i smartfony stały się naszymi nieodłącznymi towarzyszami, a innowacje algorytmiczne (nowe sposoby programowania komputerów, aby mogły uczyć się, rozumować i rozwiązywać problemy w sposób bardziej zbliżony do ludzkiego, a często nawet go przewyższający) oraz dostęp do ogromnych zbiorów danych umożliwiły AI osiągnięcie zaskakujących przełomów. I to wcześniej, niż spodziewali się eksperci. Kurzweil podaje przykłady opanowania przez AI skomplikowanych gier, takich jak Jeopardy! (Va banque) czy starochińska planszówka go,

zdolność prowadzenia samochodów, pisanie esejów, zdawania testów egzaminacyjnych czy wykrywania nowotworów.

Szczególną rolę przypisuje dużym modelom językowym (LLM), takim jak GPT-4 i Gemini, które radykalnie zmniejszają barierę między człowiekiem a maszyną. W momencie pisania książki, jak zaznacza, dziesiątki milionów ludzi prawdopodobnie doświadczyło już ich możliwości. Jest więc przekonany, że trzymamy się obwieszczonego przez niego harmonogramu dążenia do osobliwości, a nowa książka opisuje „ostatnie kilometry na ścieżce wiodącej do jej osiągnięcia”, w przeciwieństwie do tej z 2005 r., która była tylko spojrzeniem na odległy horyzont.

U podstaw tego przyspieszenia leży, niezmiennie dla teorii Kurzweila i przez niego zaproponowane, prawo przyspieszających zwrotów. Chodzi o to, że technologie informacyjne, takie jak metody obliczeniowe, stają się wykładniczo tańsze i potężniejsze, ponieważ każdy postęp ułatwia zaprojektowanie kolejnego etapu ich własnej ewolucji. Ilustrować ma to m.in. fakt, że za jednego dolara można dziś kupić ponad 11 tys. razy więcej mocy obliczeniowej (uwzględniając inflację) niż w momencie publikacji pierwszej książki. Dlatego w następnej dekadzie, jak przewiduje, będziemy wchodzić w interakcje z przekonująco ludzką AI, a proste interfejsy mózg-komputer zyskają wpływ na codzienne życie na podobieństwo dzisiejszych smartfonów.

Kluczowym etapem na tej drodze do osobliwości ma być zdanie przez AI testu Turinga (oceniającego na podstawie rozmowy, czy maszyna potrafi wykazać się inteligentnym zachowaniem nieodróżnialnym od ludzkiego) do końca bieżącej dekady, co oznaczałoby opanowanie przez nią języka i zdroworozsądkowego rozumowania na poziomie człowieka. Kolejnym krokiem, w latach 30. XXI w., będzie bezpośrednie połączenie ludzkiej kory mózgowej z chmurą obliczeniową, co sprawi, że AI, zamiast konkurentem, stanie się przedłużeniem nas samych. Kulminacją tego procesu, możliwą dzięki nanotechnologii, okaże się rozszerzenie naszych mózgów o warstwy wirtualnych neuronów w chmurze, co poszerzy inteligencję i świadomość w sposób trudny do pojęcia. Mimo radykalności tej zmiany Kurzweil wierzy, że nasze zdolności poznawcze będą rosły na tyle szybko, abyśmy mogli się do niej przystosować.

Zwieńczeniem tej największej technologicznej rewolucji w historii ludzkości stanie się kosmiczna ekspansja naszej połączonej z maszynami inteligencji i przekształcenie zwykłej materii w „komputronium”, posiadające maksymalną gęstość obliczeniową (czyli upakowanie jak największej mocy przetwarzania informacji w jak najmniejszej ilości materii, zgodnie z ostatecznymi granicami narzucanymi przez fizykę).

Czy to utopijne prorocтва skrajnego technooptymisty, czy jednak wizje geniusza, który dostrzega znacznie więcej niż przeciętny człowiek? Mimo imponującej wiedzy technicznej autora jego zapowiedź rajy na Ziemi budzi ogromne wątpliwości. Dziwi niezachwiana wiara, że ilość przechodzi w jakość – że zwiększanie mocy obliczeniowych komputerów jest niezbędnym i kluczowym czynnikiem umożliwiającym uzyskanie przełomowych skoków technologicznych. A to wcale nie musi być prawdą, co widać już dziś – w pewnym momencie zwiększanie mocy maszyn wykorzystywanych do uczenia modeli AI przestaje się przekładać na wzrost inteligencji.

Zaskakuje też jego optymizm, który zdaje się ignorować złożoność problemów społecznych, politycznych i etycznych. Autor zakłada bowiem, że technologia sama w sobie rozwiąże kwestie nierówności, biedy czy dostępu do zasobów. Twierdzi np., że drukarki 3D zapewnią wszystkim ubrania i mieszkania, a AI zrewolucjonizuje rolnictwo, eliminując głód. Pomija jednak fakt, że teoretycznie – gdyby dokonać sprawiedliwego podziału zasobów i przezwyciężyć problemy polityczne – pewnie mielibyśmy spore szanse dokonać tego nawet dzisiaj. Nasz świat okazuje się jednak zbyt skomplikowany.

Podobnie wiara w wykładniczy postęp w zakresie energii odnawialnej czy rozprzestrzeniania demokracji ignoruje aktualne trendy polityczne, czyli rosnące w siłę ugrupowania populistyczne i skrajnie prawicowe oraz erozję poszanowania prawa w wielu krajach. Kurzweil zdaje się wierzyć, że jeśli jakaś linia na wykresie rośnie, to tak będzie działać się nadal, co trudno uznać za rzetelną analizę. Podchodzi też skrajnie optymistycznie do kwestii pokonania dwóch technologicznych przeszkód, które są kluczowe dla jego wizji. Pierwsza to dalszy rozwój AI, a druga – połączenie naszych mózgów z maszynami.

Kurzweil uczciwie przyznaje, że obecne duże modele językowe wykazują kilka zasadniczych braków, które muszą zostać przezwyciężone, aby osiągnąć poziom inteligencji porównywalny z ludzką. Dziś AI „zapomina” bowiem informacje podane np. kilka dni wcześniej podczas konwersacji z użytkownikiem, nie posiada zdolności zdroworozsądkowego rozumowania, „halucynuje” (czyli zmyśla). Trudno też się zgodzić, że uprawnione jest tu mówienie o inteligencji zbliżonej do ludzkiej. LLM-y są bowiem tylko bardzo sprawnymi „kalkulatorami językowym”, dobierającymi odpowiednio słowa, ale nierozumiejącymi generowanych przez siebie treści. Nie potrafią też ich odnieść do zewnętrznego świata fizycznego, którego modelu nie posiadają (my od dziecka tworzymy go w głowach).

Autor właściwie przechodzi nad tym do porządku dziennego, pisząc, że ograniczeń tych nie należy traktować jako dowodu braku prawdziwej inteligencji, ale raczej postrzegać w kategorii wyzwań, które są i będą pokonywane dzięki przyspieszającemu rozwojowi. Jeśli AI może dokonywać przełomowych odkryć naukowych lub pisać rozzdzierające serce powieści, to dla czego – pyta – mielibyśmy się przejmować sposobem ich wygenerowania?

Jeszcze większą barierą dla realizacji jego wizji jest kwestia połączenia ludzkich mózgów z maszynami. Biorąc pod uwagę, czego udało się do tej pory dokonać naukowcom i inżynierom (a rezultaty są dość mizerne), przepowiednie Kurzweila o wprowadzaniu miliardów nanobotów do mózgu poprzez krwiociąg brzmią jak szalone science fiction. Sam autor przyznaje, że sposób przetwarzania informacji przez obecne AI jest zupełnie inny od ludzkiego. Jak więc połączyć te dwa niekompatybilne systemy? Tu znów pada znana odpowiedź: postęp technologiczny rozwiąże i te problemy.

Nowa książka Kurzweila może zrazić czytelników naiwnością i jednostronnością. Choć zawiera interesujące spostrzeżenia, rozczarowuje brakiem pogłębionej refleksji nad złożonością umysłu człowieka i niekontrolowanym postępem. Jak trafnie ujął to Nathaniel Rich na łamach „The New York Timesa”, największą wartością tej książki wydaje się szczere ukazanie technokratycznego spojrzenia na ludzkość – jako na coś, co należy zoptymalizować i udoskonalić, nawet za cenę utraty człowieczeństwa. ■

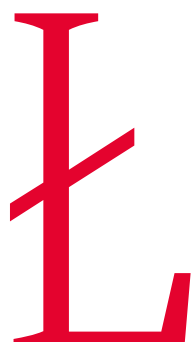
Umyj twarz,

Zdjęcie z końca XIX w.



© BETTMANN ARCHIVE/GETTY IMAGES

a nawet nogi



Kąpać się trzeba było ostrożnie, żeby przeżyć. Jeszcze w XIX w. gorąca woda niosła niebezpieczeństwo poważnych chorób. Przynajmniej według teoretyków higieny.

DARIUSZ ŁUKASIEWICZ

Łazienka jest zdobyczą cywilizacyjną, która odegrała ważną rolę w walce lekarzy o zdrowie publiczne. Edukacja dotycząca higieny na masową skalę ruszyła w XIX w. Instruowano bardzo serio, że każdy powinien dysponować własnym mydłem, gąbką, ręcznikiem, grzebieniem, szczotką. Było jeszcze w nauce wiele dziwactw, np. czasem odradzano ciepłą kąpiel, bo jakoby powodowała niebezpieczne przyspieszenie cyrkulacji krwi, zawroty głowy, znużenie, apopleksję. Niepokojono się, że dla kobiet może być powodem „wrażen zmysłowych” i niebezpiecznej „elektryzacji ciała”. Absolutnie odradzano kąpieł gorącą, chyba że ktoś liczył na paraliż. Słynne czasopismo kobiece „Bluszcz” z 1869 r. przestrzegało, że złe stosowanie kąpieł może być nawet przyczyną nagłej śmierci, toteż uczono, jak korzystać z niej rozważnie.

Higiena ludowa

Edukacja zdrowotna ludu w zakresie higieny zaczęła się w epoce oświecenia. Lekarz niemiecki Christoph Wilhelm Hufeland w 1796 r. wyrażał zdziwienie, „jak w nowszych czasach, w narodach oświeceńszych” zaniedbuje się podstawową kwestię czystości. Zalecał, by „często umywać się, kąpać, czesać, wypłukiwać usta, odmieniać bieliznę, suknie i poślanie”. Wśród polskich pisarzy oświeceniowych Ludwik Perzyna kładł nacisk na mycie. 100 lat później w czasopiśmie „Zdrowie” z 1899 r. pisano jeszcze, że lud nadal nie jest wdrożony do utrzymywania czystości. Niedługo później Mieczysław Zawadzki w 1911 r. w broszurze „Higiena ludowa” opublikował 10 przykazań higienicznych dla mieszkańców wsi:

„Myj co dzień po wstaniu ze snu twarz, ręce, szyję i uszy wodą z mydłem. Czesz włosy!

Plucz usta i myj zęby rano i na noc.

Myj ręce przed jedzeniem i przed pójściem spać.

Dbaj o czystość ciała, kąpiąc się często.

Noś czystą bieliznę i odzież. Nie śypiaj w odzieniu.

Jedz powoli, żuj dokładnie!

Przewietrzaj często stancję!

Nie pij wódki!

Nie pal papierosów!

Nie trzymaj w stancyi cieląt, prosiąt, kur i nie urządźaj gnojówki przed chatą!”.

Na polskiej wsi w wielu regionach z kąpielą nie było najlepiej, długo chodzono w tej samej odzieży i rzeczą zwykłą stały się problemy skórne, przeważnie ze świerzbem. Mydło należało

do rzadkości, stosowano raczej ług. Rozwiązaniem, zwłaszcza na wschodzie, stały się łaźnie. Wspomina o nich już XII-wieczny kronikarz Anonim zwany Gallem piszący na dworze Bolesława Krzywoustego. Według niego korzystał z łaźni Bolesław Chrobry. Późniejsze przekazy mówią, że wielki książę Witold chodził do łaźni codziennie, Jagiełło co trzeci dzień, a Zygmunt I w soboty.

Wzmianka o łaźni w Warszawie pochodzi z 1376 r., we Wrocławiu – z 1309 r. W Krakowie funkcjonowały w 1358 r. trzy, a pod koniec XIV w. – 12. Jak pisał historyk, archeolog i etnograf Zygmunt Gloger, łaźnie otwierano też w miasteczkach i we wsiach. Magistraty wydzierżawiały je łaźnienikom i balwierzom, którzy często podejmowali się również praktyk medycznych. Kobiетom i mężczyznom wyznaczano określone dni tygodnia na oddzielne kąpiele.

Jednak przybytki te stały się miejscem uprawiania nierządu i zaczęto je likwidować w XVI w. Z czasem powróciły – ponownie popularyzowały się w XIX w. W zależności od standardu obsługiwały różne grupy społeczne. W Warszawie dla bogatej klienteli otwarto w 1910 r. przy Krakowskim Przedmieściu luksusową łaźnię Pod Messalką, oferującą baseny, prysznic, łaźnię parową i rzymską, kilkadziesiąt gabinetów do przebierania się, fryzjera, pedicure i manicure. Przy wejściu do westybulu gości witał dobrze zaopatrzony bufet.

A w tym czasie w innym punkcie miasta, na Powiślu, tania łaźnia Pod Blachą przyjmowała za kilkadziesiąt groszy marynarzy z barek na Wiśle, flisaków, piaskarzy, tragarzy i sklepikarzy. Po opłaceniu wstępu wchodziło do wielkiej kolistej sali słabo oświetlonej gazowym żyrandolem, gdzie mieściła się szatnia. Tutaj rozbierali się do naga, ubrania chowali do szafek, a tabliczkę z numerem przywiązywali do nogi powyżej kostki. Szafki nadzorował pan Teofil. Potem nago schodzili po schodach do łaźni. Szum wody mieszał się ze stękaniami i podśpiewywaniem kąpiących się.

Było to bezpieczniejsze rozwiązanie niż kąpieł w Wiśle, do której wylewano bez zahamowań wszelkie nieczystości z garbarni oraz innych zakładów. Już w XVIII w. lekarz króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, Niemiec Leopold Lafontaine, oceniał, że od kąpieł w tej rzece można dostać biegunki i innych przypadłości.

W szlacheckich dworach pierwszej połowy XIX w. łaźienki nie były jeszcze powszechne, ale już zalecane i wymarzone. Wielkopolanka Karolina z Potockich Nakwaska, autorka powiastek i umoralniających broszur dla dzieci i dorosłych, pisała w XIX w., że wanna miedziana w dworach uważana jest za zbytek, więc ►

► zalecała sprawić sobie chociaż blaszaną: „Ta niech stoi w miejscu przyzwoitem, to jest osobnem, widnem, nie na przechodzie, nie w przeciągu, nie na wilgoci, wybierz sobie do kąpania komoreczkę jaką w bliskości kuchni lub pralni”. Nie była to więc jeszcze łazienka, ale już osobne pomieszczenie.

Oznaka cywilizacji

Przełom i wielki skok cywilizacyjny w zakresie wyposażenia mieszkań klasy średniej w łazienki to na Zachodzie dopiero horyzont roku 1900, kiedy jakość życia w ogóle się poprawiła. Wcześniej zwracano uwagę na czystość odzieży i bielizny, a jeśli chodzi o mycie, standardem było obejmowanie nim zaledwie rąk i twarzy. Jeszcze w 1859 r. Ignacy Piotr Legowicz zalecał w podręczniku higieny: „Umyj sobie codziennie twarz, uszy, szyję, ręce, ba, nawet i nogi, aby dla drugich nie wydawały obrzydliwego smrodu (...) miej zwyczaj wytrzeć się pod pachami i na piersiach, abyś sobą nie wydawał obrzydliwego swądu”.

Zmiany postępowały. Jak pisze Anita Napierała w książce „Higiena prywatna. Koncepcje i porady w polskich publikacjach popularnych i popularnonaukowych w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku”: „czysta przestrzeń, a zwłaszcza czysta woda, stały się najpilniejszym postulatami dla nowoczesnego, dziewiętnastowiecznego miasta, a czyste ciało – oznaką cywilizowanego człowieka”. Chodziło przede wszystkim o postulaty medycyny dotyczące profilaktyki zachowania zdrowia, obrony przed epidemiami i zmniejszenia śmiertelności.

Jak czytamy w „Leksykonie rzeczy minionych i przemijających” Małgorzaty Szubert, w Nowym Jorku już w drugiej połowie XIX w. pojawiła się woda w rurach rozprowadzana do kranów w mieszkaniach. W wielu domach były też „sale z wannami” przeznaczone dla lokatorów, a woda doprowadzona była do wanien, o czym informowano w roku 1865.

W Poznaniu wodociąg w 1905 r. doprowadzono już do 82,8 proc. mieszkań, łazienki jednak miało 18 proc. z nich, a ubikacje – 32 proc. Zmiany na lepsze były szybkie, ale od dzisiejszych standardów odległe. W 1925 r. w Berlinie 74 proc. mieszkań miało łazienki, a toalety 35 proc.

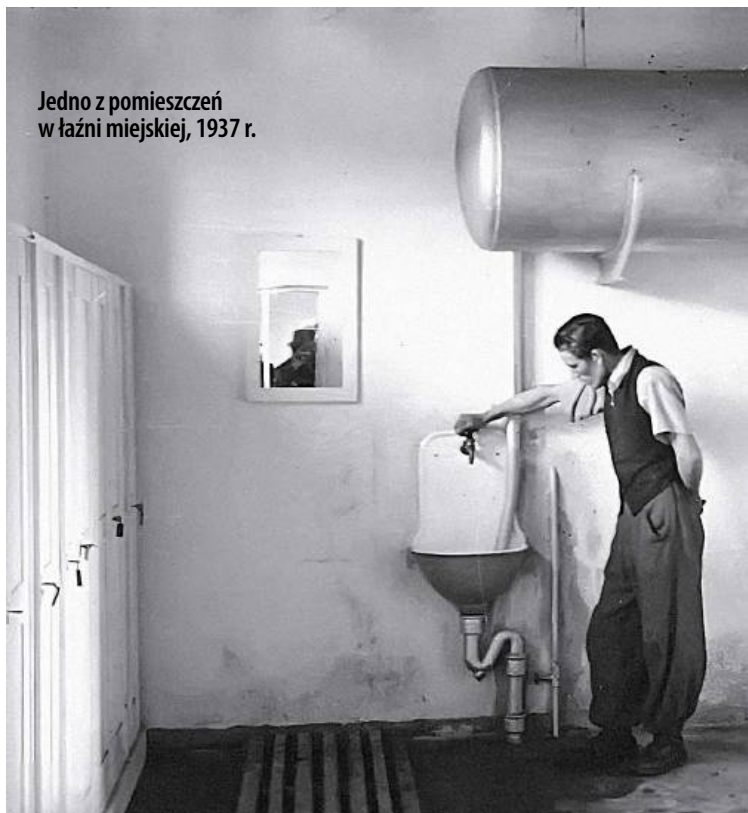
Stopniowo nawet w małych miastach jako zauważalna z daleka część nowoczesnego pejzażu pojawiła się wieża ciśnienia oznaczająca, że działa w nich kanalizacja z bieżącą wodą. W Berlinie w latach 1885–86 większość parcel już miała nowoczesną kanalizację, ale łazienki ciągle jeszcze były rzadkością.

Przy dbaniu o higienę w mieszkaniach często korzystano jeszcze z prowizorycznej „umywalni”, czyli szafki z lustrem i miednicą umieszczoną na stojaku lub na metalowej obręczy. Do mycia używano dzbaną z wodą podgrzaną w kuchni. Poradnik z XIX w. mówił, że myć się można w miednicy cynowej. Za pomocą gąbki najpierw obmywa się pierś, potem plecy i tak kolejno całe ciało, oprócz twarzy, szyi, uszu, wymagających subtelniejszych starań. Poprzestawano na kąpieli w balii czy blaszanej wannie wstawionej na czas ablucji do kuchni.

Mieszczkański luksus

Utrzymywały się ogromne różnice między dzielnicami mieszczańskimi i robotniczymi. W tekście poradnikowym z 1858 r. czytamy uwagi skierowane do zamożnych mieszczan, że kąpiele w wannie powinny odbywać się w specjalnym pomieszczeniu, odpowiednio wentylowanym i pokrytym kafelkami terakotowymi, aby nie zakradła się do niego wilgoć. I rzeczywiście pod koniec

Jedno z pomieszczeń
w łazni miejskiej, 1937 r.



XIX w. w reprezentacyjnych mieszkaniach pojawiły się osobne łazienki. Małe i ciasne, bez okna, z wanną i żelaznym piecykiem węglowym do grzania wody. Trzeba się w nich było kąpać przy lampce oliwnej lub świecy, podczas gdy za ścianą były przestronne, bogato wyposażone salony.

Nie wszędzie działała kanalizacja, więc wodę dla państwa wносиły w wiadrach i podgrzewały służące. Czerpano ją ze studni albo z pompy w podwórzu. Studnie dzieliły się na publiczne (na ich konserwację i budowę składali się mieszkańcy) oraz prywatne. Powstawały na placach lub rogach ulic, gdzie mieszkańcy mieli do nich łatwy dostęp. Do XVIII w. budowano studnie otwarte. Kopano otwór w ziemi i okładano jego ściany drewnianą cembrowiną. Wodę czerpano żurawiem lub wiadrem na łańcuchu. Pompy zaczęli wprowadzać już w 1728 r. Prusacy w Szczecinie, a upowszechniały się w XVIII i XIX w. Do Szczecina sprowadzono z Halle specjalistę, potem kolejnych, i w ciągu trzech lat skonstruowano 12 pomp. W 1732 r. było w Szczecinie 17 studni zwykłych z wiadrem i 12 pomp. W drugiej połowie XVIII w. już ponad 150 studni – 74 publiczne i 83 prywatne. Po 1793 r. pompy wprowadzano także w Poznaniu.

Często mylnie porównuje się prymitywne wodociągi znane jeszcze w średniowieczu do współczesnych. Z nowoczesną inżynierią nie miały jednak nic wspólnego. Taki wodociąg działał np. w Krakowie w XIV w. – składał się z urządzenia z kołem i czerpakami oraz wydrążonych rur sosnowych. Rury ułożone były wzdłuż ulic na głębokości 1,7 m. Wodę pobierano jedynie na rynku, do domów nie była doprowadzana.

Codziennosc czynszówek

W proletariackich czynszówkach wodę wiadrami wnoszono na wysokie piętra, co zniechęcało do mycia i prania. Czasem na piętrze na korytarzu były zlew i kran. Do tego jeden wychodek, na który nierzadko przypadało 30, 50, a nawet 80 lokatorów.



Łazienka w zamku w Pszczynie,
rezydencji książąt Hochberg von Pless

Higienie to nie sprzyjało. Relacja Jürgena Kuczyńskiego z Pomorza mówi o rodzinie sześciuosobowej w jednej izbie z dwójką małych dzieci i chorym ojcem, w której „mieszkało, spano, gotowano i prano, a teraz służyła jako izba chorych!”. W raportach lekarskich doktora Schneera, dotyczących robotniczych domów Wrocławia, przeważają takie określenia, jak: mrok, wilgoć, smród, brud, tłok.

Opis wygódki w Warszawie sporządzony przez komisję lekarską w 1866 r. nie był zachęcający: „Wygódka składa się z deski, z okrągłą dziurą nad kanałem, urządzona pod schodami w sieni; zupełnie tu ciemno i smród niemożliwy”. Inny opis mówił o: „Kłoece wypełnionej po brzegi, której zawartość wycieka przez wierzch”. Najbardziej odczuwanym dyskomfortem były wyziewy kłoeckie. Dr Ludwik Natanson w 1866 r. pisał, że trzeba zobowiązać właścicieli domów do „ubezwanniania” smrodu za pomocą kwasu karbolowego i siarczanu żelaza. Inżynierowie skrupulatnie obliczali, ile każdy człowiek wydziela średnio kału w ciągu roku. Dowodzono, że kłoecki są sprawą wymagającą najwyższej uwagi, a ich obmurowanie nie gwarantuje nieprzesiąkania nieczystości do gruntu. Bardzo krytyczna i surowa była opinia Karola Gregorowicza z lat 60. XIX w. w odniesieniu do kłoeckich warszawskich: „Żadna stolica, żadne większe miasto nie może poszczycić się takimi kłoeckami jak Warszawa! Kłoecki warszawskie są nieznównanej obrzydliwości!”. Nieczystości wywożono wozami w beczkach, które były nieszczelne, i na całą okolicę rozchodził się fetor. Z czasem zaczęto je pompować z dołów do beczek rurami. Dla mieszkańców było to przeżycie traumatyczne.

Pojawienie się zwykłej ubikacji było dla Polaków jeszcze na początku XX w. wielkim przeżyciem: „W toaletowym gabinecie był wodospad, który spadał z tak wielką siłą i hukiem, że gdy go po raz pierwszy spuściłam, serce zamarło mi z trwogi. Wyleciawszy na ulicę, gnałam półprzytomna aż za Żelazną Bramę, bojąc

się powrócić do domu, pewna, że spowodowałam zatopienie dywanów i ciocinych pantofli” – wspominała wizytę w Warszawie u ciotki aktorka Jadwiga Toeplitz-Mrozowska.

Status bidetu

Do mycia i prania korzystano z mydła. Od drugiej połowy XIX w. do higieny jamy ustnej stosowano proszek do mycia zębów. Wytwarzano go w domu głównie ze zmielonej kredy. Do tego czasu myto zęby mydłem toaletowym i solą kuchenną. Jak czytamy w leksykonie Charlesa Panatiego „Niezwyczajne dzieje zwykłych rzeczy”, papier toaletowy popularyzował się podzielony na perforowane odcinki w Anglii, w latach 80. XIX w., gdy sprzedawano go już w niewielkich rolkach reklamowanych „miękkie jak stare płótno”.

Pod koniec XIX w. jeden lokal w Warszawie na cztery miał już własny ustęp w domu. Ich upowszechnianie ograniczała jednak wysoka cena wody niezbędnej do ich splukiwania.

Dla klasy ludowej przybyłej ze wsi do miasta jeszcze po drugiej wojnie światowej łazienki były czymś obcym. Nie tylko w Polsce. We Francji zdarzało się, że robotnicy wykorzystywali wannę do magazynowania węgla lub trzymali w niej króliki.

Po 1945 r. liczba polskich mieszkań podłączonych do wodociągu wzrosła z 42,3 proc. w 1950 r. do 87,2 proc. w 1978 r., wyposażonych w łazienkę z 14,2 proc. do 69,1 proc. Toaletę miało odpowiednio 25,7 proc. w 1950 r. i 72,9 proc. w 1978 r. (obecnie według GUS łazienek nie ma już tylko 6,2 proc. mieszkań, a toalet – 2,2 proc.).

Czystość i brud zawsze oddzielały bogactwo od biedy. Dziś żyjemy w epoce „dezodoryzacji”, nowego, prawie obsesyjnego stosunku do zabiegów higienicznych, czystości i zapachu. Od drugiej połowy XX w. wyposażenie łazienki, jej estetyka i organizacja przestrzeni stały się więc wyznacznikiem społecznego statusu właściciela. Ludzi dzieli obecnie to, czy posiadają bidet, czy nie.

DARIUSZ ŁUKASIEWICZ

XVIII-wieczne
wyobrażenie
Bolesława
Chrobrego
pędzla Marcella
Bacciarellego



Nieświęty Chrobry

Na polskim dworze monarszym rozważano na początku XII w. kandydaturę pierwszego króla Piasta na świętego. Co poszło nie tak?

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

Anonim zwany Gallem przedstawił naszego pierwszego króla jako nieugiętego propagatora wiary. Według tego pomnikowego wizerunku Bolesław Chrobry był nie tylko skutecznym ewangelizatorem swoich poddanych, ale też „Ludy barbarzyńskie dookoła, które zwyciężał (...), zmuszał do przyjęcia prawdziwej religii”. Energicznie szerzył więc chrześcijaństwo u siebie i u sąsiadujących z Polską pogan.

Ten misjonarsko-apostolski wizerunek pozwalała podejrzewać, że na początku XII w. na polskim dworze monarszym rozważano kandydaturę Bolesława jako świętego. Zgodnie z duchem epoki, w której posiadanie kanonizowanego przodka było ambicją wielu dynastii. Zabiegi sakralizujące wczesnych władców objęły przecież wszystkich sąsiadów Polski, więc większość współczesnych Chrobremu okolicznych monarchów wcześniej czy później została kanonizowana.

Już w 1031 r. za świętego męczennika został uznany władca Norwegii Olaf II Haraldsson (rządził 1016–28). W 1083 r. został kanonizowany węgierski król Stefan I Wielki (997–1038). Wkrótce i inne państwa zaczęły nadrobić wstydlive braki, uświęcając swoich monarchów. Duńczycy zrobili to w 1101 r., kiedy kanonizowano Kanuta IV (1080–86), prawnuka siostry Bolesława Chrobrego. W 1146 r. Kościół uznał świętość głównego przeciwnika Chrobrego, cesarza Henryka II (1002–24). Dłużej musiała poczekać Szwecja, bo dopiero na przełomie XII–XIII w. uznano za świętego męczennika Eryka IX Jedvardssona (ok. 1155 – ok. 1160). Wielki książę Rusi Włodzimierz I Wielki (978–1015) od XIII w. jest oficjalnie czczony w Cerkwi prawosławnej. Później za świętego uznał go też Kościół katolicki, a następnie greckokatolicki.

Czeski wuj Chrobrego, Bolesław II (972–99) nie został kanonizowany dlatego, że funkcję świętego członka dynastii Przemyślidów pełnił już jego stryj, święty męczennik Waclaw I. Zasłużył sobie jednak w ojczyźnie na przydomek „Pobożny”,

choć przecież święty biskup Wojciech zarzucał mu poważne występki przeciwko chrześcijańskiej moralności. Podejrzewano go też o zlecenie wymordowania w 995 r. całej rodziny św. Wojciecha.

W takim kontekście geograficzno-historycznym trzeba uznać za znaczące, że nic podobnego nie spotkało Bolesława Chrobrego, tak bardzo przecież zasłużonego dla szerzenia wiary „w kraju i za granicą”. Nazywano go „Wielkim”, ale przecież nie „Świętym” czy chociaż „Pobożnym”, co choćby pośrednio sakralizowałoby władzę Piastów jako naturalnych rządców Polski. Prawdę mówiąc, na świętego patrona dynastii i państwa bardziej nadawał się Mieszko I, który przynosząc wiarę do pogańskiego kraju, spełnił funkcję apostołską, ale i on nie dostał tego zaszczytu.

W powyższym kontekście geograficznym ten uderzający brak Piasta wyniesionego na ołtarze należy uznać za co najmniej dziwny ewenement historyczny. W przeciwieństwie do wszystkich sąsiadów pozbawiało to bowiem polską dynastię rządzącą sakralnego autorytetu pochodzenia od boskiego wybrańca. Całkowite milczenie źródeł w tej sprawie można uznać za odzwierciedlenie faktycznego braku oficjalnych starań Piastów i piastowskiego Kościoła o uznanie świętości Mieszka I lub Bolesława Chrobrego, którzy jako jedyni spełniali potrzebne warunki, bo trudno było zaprzeczyć ich szczególnym zasługom misyjno-ewangelizacyjnym.

Przyczyny tego, że żaden z naszych wczesnych władców nie został sakralnym patronem dynastii piastowskiej i państwa polskiego, mogły być wielorakie. Trzeba ich upatrywać w sferze skomplikowanych relacji, jakie łączyły państwo piastowskie i polski Kościół, który początkowo był całkowicie uzależniony od wsparcia przez władzę polityczną, ale stopniowo się uniezależniał. Wykorzystując autorytet państwa kontynentalnej organizacji ześrodkowanej w papieskim Rzymie, polski episkopat prowadził skomplikowaną grę polityczną.

Polski Kościół mógł się obawiać, że sakralizacja korzeni rodu Piastów zbyt wzmocniłaby świecką władzę centralną. Wypromowanie świętego przodka rządzącej dynastii przeniosłoby bowiem kwestię posłuszeństwa wobec jego następców do sfery religijnej. Jeśli nawet aktualny monarcha nie byłby

królewskim pomazańcem, to i tak byłby przecież dziedzicem świętości swojego kanonizowanego przodka. Mógłby więc odwoływać się do swojego patrona o skuteczne wstawiennictwo u Boga bez konieczności poszukiwania pośrednictwa ludzi Kościoła. Podejrzewany tu opór hierarchii kościelnej mógł mieć uzasadnienie nie tylko „polityczne”, bo nie brakowało przecież argumentów moralno-etycznych przeciw uświęceniu któregoś z Piastów.

Trudno ocenić wiarygodność zanotowanego przez Galla wspomnienia grzesznej młodości Mieszka I, który przed swoim chrztem miał ponoć siedem pogańskich żon. Z kolei Kościół niemiecki wypominał mu ślub z saską margrabianką Odą Teodorykówną, który został zawarty ok. 980 r. w podejrzanych okolicznościach. Panna młoda była bowiem wcześniej mniszką, którą dla celów politycznych wyciągnięto z klasztoru w Kalbe, przerywając jej służbę Bogu.

Nie bez skazy był też Bolesław Chrobry. Już saski biskup Thietmar zarzucił mu małżeńskie wiarołomstwo. Wkrótce po poślubieniu w styczniu 1018 r. saskiej margrabianki Ody Ekkehardówny polski książę przywiózł sobie bowiem z Kijowa kochankę Przedstawę – siostrę ruskiego wielkiego księcia Jarosława Mądrego. W oczach kościelnego hierarchy tego postępu nie usprawiedliwiał fakt, że była to swoista zemsta polityczna za uwięzienie na Rusi córki Chrobrego nieszczęśliwie wydanej ongiś za Świętopełka Przekłętego, pechowego brata Jarosława.

Sto lat później Anonim zwany Gallem tajemniczo zasugerował, że nasz pierwszy arcybiskup Radim-Gaudenty rzucił klątwę na Polskę z powodu jakichś nagannych występów Chrobrego. Nie wiadomo, czy było to przywołanie faktycznego konfliktu z Kościołem, czy tylko propagandowe przygotowanie czytelnika do informacji o zbrodni, jakiej prawnuk Chrobrego Bolesław II Szczodry dopuścił się w 1079 r. na krakowskim biskupie Stanisławie, który też miał rzucić klątwę.

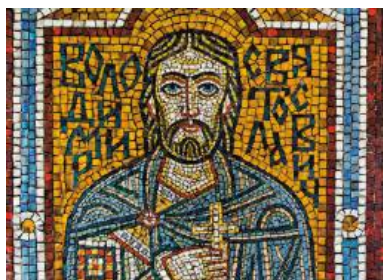
Polski Kościół miał więc sporo argumentów, aby torpedować ewentualne starania Piastów o kanonizowanie jednego ze swoich przodków. W każdym razie zmonopolizowane przez duchownych wczesne polskie piśmiennictwo nie zanotowało żadnych informacji o cudach, do jakich powinno było dochodzić przy grobach dwóch pierwszych Piastów, gdyby naprawdę byli boskimi wybrańcami. Wszystkie żywoty



Święty król Norwegii Olaf II Haraldsson



Stefan I Wielki, święty król Węgier



Święty książę Rusi Włodzimierz I Wielki

świętych mężów i niewiast pełne są przecież opisów cudownych zdarzeń, do jakich dochodziło koło miejsc spoczynku ich doczesnych szczątków. To cuda dowodziły bowiem szczególnych względów, jakimi święci cieszyli się u Boga.

Jednak najważniejszym wyjaśnieniem zadziwiającego braku świętego Piasta mogła być duża podaż w Polsce innych kandydatów do kanonizacji.

Historycznie dobrze uzasadnione kandydatury Mieszka I i Bolesława Chrobrego nie wytrzymywały propagandowo konkurencji z księżmi i zakonnikami, którzy mieli dla Kościoła dużo większą wartość. Już w kwietniu 997 r. praski biskup Wojciech-Adalbert został zamordowany przez Prusów w trakcie swojej akcji misyjnej nad dolną Wisłą. Sześć lat później

w listopadzie 1003 r. w klasztorze międzyrzeckim zginęli męczeńsko benedyktyni nazwani później „pięcioma braćmi pustelnikami”. Wiosną 1009 r. Jaćwingowie zamordowali saskiego (arcy)biskupa Brunona-Bonifacego.

Można więc uznać, że na przełomie tysiącleci w państwie piastowskim wystąpiła swoista „inflacja” świętości spowodowana serią zabójstw ludzi, którzy zapłacili życiem za próby nawracania pogan. Dla Kościoła najważniejsi byli oczywiście zamordowani hierarchowie, których śmierć za wiarę potwierdzała wyjątkowość samej organizacji, uświęconej męczeństwem swoich biskupów. Późniejsze skazanie na śmierć św. biskupa Stanisława (w 1079 r.) przez króla Bolesława II Szczodrego ostatecznie zamknęło drogę do kanonizacji jego piastowskich przodków.

Oprócz tych prostych wyjaśnień kościelnych można też szukać argumentu w pragmatyce sprawowania władzy świeckiej. Sami Piastowie mogli bowiem uznać, że wypromowanie świętości jednego ze swoich przodków mogłoby osłabić ich osobiste legitymacje do najwyższego autorytetu w państwie. Ewentualny święty Piast mógłby być politycznie rozgrywany przez Kościół, który wskazywałby na niego jako na wybranego ongiś przez Boga prawdziwego władcę, którego potomkowie rządzą tylko „z jego upoważnienia”, nie mając do tego sakralnej legitymacji.

Nie sposób ustalić, czy rozważania Piastów nad legitymacją ich władzy i jej skutkami mogły być aż tak wyrafinowane. Nie wiemy, jakie naprawdę były przyczyny braku wsparcia polskiego Kościoła dla ewentualnych starań monarchów o usakralizowanie swojej władzy. Jakkolwiek było, dynastii piastowskiej jako jednej z niewielu w średniowieczu nie udało się (jeśli próbowano) przeprowadzić sakralizacji swoich korzeni przez wyniesienie na ołtarze któregoś z przodków. Nie miała więc w swoim rodzie kanonizowanego władcy, który byłby jej świętym patronem i obiektem kultu, sakralnie legitymizując monarszy monopol Piastów. ■



Dowiedz się więcej
z Pomocnika Historycznego POLITYKI
**„PIASTOWIE. 1000 LAT KORONACJI
BOLESŁAWA CHROBREGO”**
– do nabycia na sklep.polityka.pl

KUP TERAZ



Polska w bunkrze 3/6

Szczepan Twardoch, **Pokój**, reż. Szczepan Twardoch, Robert Talarczyk, Teatr im. Słowackiego w Krakowie

Betonowy bunker, wybuchy na zewnątrz, a wewnątrz szóстка przedstawicieli dwóch walczących polskich stron, Demokratów i Patriotów, próbuje się porozumieć w sprawie pokoju pod okiem gwiazdy mediów w czerwonym garniturze i białych adidasach (**Dominika Bednarczyk**), podczas gdy u bram stoi prawdziwy wróg i szykuje nam powtórkę z historii. Więcej tu publicystyki niż teatru, zarówno w klótniach, jak i w monologach wygłaszanych przez bohaterów pod pretekstem udziału w kręconym po latach filmie dokumentalnym o tym nowym polsko-polskim okrągłym stole. Z odpowiedzi na pytanie, kiedy zaczęli nienawidzić „tych drugih”, wyłania się obraz podziałów: zrodzonych w czasie transformacji, wynikłych z różnicy pochodzenia, statusu ekonomicznego, na tle ochrony praw mniejszości itd. Ostatnie słowo będzie należało do 40-latków Jana (Mateusz Janicki) i Piotra (Marcin Kalisz): znajomi, skończyli te same szkoły, mieli podobne poglądy, ale pierwszy to krakus z rodziny „z tradycjami” i robił karierę za rządów PO, drugi zaś jest z awansu, z wiejskimi korzeniami, i wszedł do rządu PiS. Ostatecznie to pogarda Piotra wobec dawnego kolegi zdecyduje o losach kraju. Diagnoza Szczepana Twardocha, który „Pokój” napisał dla Teatru im. Słowackiego i wyreżyserował razem z dyrektorem katowickiego Teatru Śląskiego, reżyserem i aktorem Robertem Talarczykiem, nie zaskoczy nikogo, kto zna publicystykę autora albo widział wcześniejsze dzieło duetu, monodram „Byk”, „Warszawka” i „krakówek” mają specjalne miejsce w sercu Ślązaka. Tymczasem rzeczywistość dopisała własny akt do sztuki. Tuż po premierze dyrektor Słowackiego ogłosił, że jest zmuszony przenieść flagę Ukrainy, wiszącą obok polskiej na frontonie teatru od 2022 r. w geście solidarności z napadniętym sąsiadem, do wnętrza budynku. „Robię to z bólem i wstydem, ale wobec nasilających się ataków na Teatr, wobec karalnych gróźb kierowanych w naszą stronę (...) wobec potencjalnego zagrożenia zniszczenia mienia nie mogę podjąć innej decyzji” – tłumaczył.

ANETA KYZIOŁ



Magia technologii 3/6

Ironheart, twórczyni serialu: Chinaka Hodge, Disney+, 6 odc.



Geniałna studentka Riri Williams (**Dominique Thorne**), która zbudowała mechaniczną zbroję inspirowaną technologią Iron Mana, zadebiutowała w filmowym uniwersum Marvela w drugiej części „Czarnej Pantery”, a teraz doczekała się własnego serialu. Jej życiowa sytuacja radykalnie

się zmieniła: Riri nie ma już wsparcia zamożnych mieszkańców Wakandy, na dodatek została wyrzucona ze studiów. Wraca do rodzinnego Chicago, a żeby zdobyć pieniądze na naukowe eksperymenty, dołącza do szajki utalentowanych złodziei. Niby chodzi o okradanie bogatych korporacji, więc moralny kompas Riri

jeszcze nie wariuje, ale szybko się okazuje, że motywacje lidera gangu Parkera (Anthony Ramos) są znacznie mroczniejsze. „Ironheart” eksploruje kolejne zakamarki marvelowskiego świata, tworzy nowe połączenia między poszczególnymi tytułami (bezpośrednio odwołuje się m.in. do pierwszego „Iron Mana”), ale nowej jakości próżno tu szukać. Ma bardzo ciekawą obsadę (choć większość postaci to raczej papierowe wycinanki), mimochodem podrzuca parę celnych społecznych komentarzy, a najciekawsze jest nieustanne poczucie winy, gnębiące główną bohaterkę i pogłębiające się z każdą jej błędną decyzją. Zbyt często jednak akcja przypomina kserokopię innych produkcji, a połączenie zaawansowanej technologii i magii, z której korzysta Parker, wydaje się kompletnie nieprzekonujące.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Wszystko gnije 4/6

Brzydka siostra (Den stygge stesøsteren), reż. Emilie Blichfeldt, prod. Norwegia, Dania, Polska, Szwecja, 109 min, w kinach od 4 lipca

Historię Kopciuszka znamy doskonale: czy to w wersji Charlesa Perraulta, czy z disneyowskiej animacji, czy wreszcie z jednej z setek adaptacji mitu o biednej dziewczynie, która znajduje drogę do serca księcia. Tu Kopciuszek ma na imię Agnes (Thea Sofie Loch Næss) i zgodnie z baśniową tradycją po śmierci ojca staje się celem nieustających ataków ze strony macochy oraz przyrodniej siostry Elwiry (**Lea Myren**). I to właśnie punkt widzenia tej ostatniej przyjmuje debiutująca w pełnym metrażu reżyserka Emilie Blichfeldt. Elwira nie jest tu zresztą klasycznym czarnym charakterem, lecz raczej jeszcze jedną ofiarą chciwości matki, dla której wydanie córki za mąż za księcia jest nadrzędnym życiowym celem. Poddawana bolesnym zabiegom medycznym i towarzyskiej tresurze widzi w pięknej Agnes naturalną rywalkę, w jej stronę kieruje więc narastający w niej gniew i nienawiść. „Brzydka siostra” idzie ścieżką już wcześniej wydeptaną z jednej strony przez prace Brunona Bettelheima, z drugiej – przez feministyczną krytykę oskarżającą „Kopciuszka” o utrwalanie genderowych stereotypów i patriarchalnego porządku społecznego. Blichfeldt porzuca baśniowe moralizatorstwo, by dać widzom historię narastającej obsesji i zaburzonych relacji rodzinnych. Lecz to zarazem opowieść o ciele, pożądanym i pożądanym, a zarazem traktowanym okrutnie w imię nierealnych standardów piękna. Norweska reżyserka łączy eteryczną, baśniową estetykę ze zjadliwą satyrą społeczną i skrajnym naturalizmem scen przemocy, seksu i rozkładu.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Pitt stop 4/6

F1: Film (F1: The Movie), reż. Joseph Kosinski, prod. USA, 155 min, już w kinach

Młośnicy Formuły 1 otrzymali pełne rozmachu hollywoodzkie widowisko, które warto obejrzeć z dwóch powodów. Nie przypominam sobie, żeby wielu twórcom podejmującym temat rajdowych wyścigów udało się wyrazić dynamikę rywalizacji na torze w tak spektakularny sposób. Skrojona pod wymagania masowego odbiorcy wyobraźnia producenta Jerry'ego Bruckheimera (m.in. „Piraci z Karaibów”, „Pearl Harbor”) znacząco podniosła poprzeczkę wizualnych atrakcji. Nikt tu na niczym nie oszczędza, a wrażenia, szczególnie z ostatniego rajdu w Abu Zabi, są oszałamiające. Drugi powód to obecność **Brada Pitta**. Gra bardzo jak na sport samochodowy zaawansowanego wiekowo kierowcę, łapiącego różne chałtury po wypadku, w którym omal nie zginął. Urok 61-letniego gwiazdora i jego charyzma pozwalają uwierzyć, że aby wrócić po dekadach nieobecności do Formuły 1, wystarczy kilka pompek, zanurzenie się w wannie z lodem i przesądne wsunięcie do kieszeni kombinezonu wylosowanej karty do gry. Magia działa! Wyreżyserowany przez Josepha Kosinskiego („Top Gun: Maverick”) film opiera się na sprawdzonej receptce: odstawiony na boczny tor kowboj, bokser, zapaśnik i pilot dostaje w końcu drugą szansę, by zaspokoić ego i podążać za swoją pasją. Ponieważ tu jest to Pitt, łatwiej się będzie z tą figurą utożsamiać.

JANUSZ WRÓBLEWSKI



W lustrze 4/6

Let's Face It, wystawa zbiorowa, Galeria Lotna, Warszawa, do 5 września

Zorganizowana w Muzeum Narodowym w Warszawie wystawa autoportretów mogła pozostawić uczucie niedosytu. Ekspozycja w Galerii Lotnej doskonale uzupełnia tamtą prezentację. I choć w podtytule ma „Portret dziś”, to w większości są to także autoportrety zaproszonych do udziału w wystawie artystów. O ile tam mieliśmy do czynienia z pokoleniem co najmniej średnim (tak od pięćdziesiątki wstecz), o tyle tutaj skoncentrowano się na najmłodszej generacji twórców. Dominuje malarstwo, w całym bogactwie jego odsłoni, od wizerunków subtelnych (Agnieszka Apoznańska, Patryk Staruch) po dosadne (Monika



Misztal, Martyna Czech). Jest wiele intymności, trochę socjologicznych obserwacji, nieco humoru (Anna Grzymała), parę prac, których autorzy wyraźnie szukają swej tożsamości, a nawet wciągająca instalacja znającego ze sceny Quebonafide. Portret dość dawno przestał być wiernym zapisem rzeczywistości. Stał się kreacją pożądanego wizerunku, próbą zapisu psychologicznego czy emanacją emocji. I praktycznie wszystkie te jego odsłony odnaleźć możemy na wystawie. Udało się tam zgromadzić wiele interesujących dzieł, które poprzez portret dużo mówią nie tylko o duszy artysty, ale i o otaczającym nas świecie. Jedną z nich polecam szczególnie – to bardzo mocny i przejmujący zapis performansu młodej artystki i reżyserki Natalii Sary Skorupy o tym, co w dzisiejszych czasach znaczy być artystą.

PIOTR SARZYŃSKI

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Radość, że się żyje 5/6

Mikołaj Grynberg, **Rok, w którym nie umarłem**, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2025, s. 144

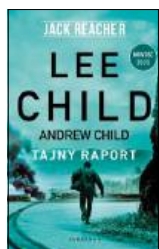
Gdy tata miał pięćdziesiąt osiem lat, przeżył udar, ja w tym wieku miałem zawał – pisze Mikołaj Grynberg w książce o umieraniu, ale przede wszystkim o życiu i miłości do niego. Od umierania się zaczyna, ale pisarz dba o dramaturgię, więc ta historia ma kolejne momenty pełne napięcia. Przede wszystkim zaskoczeniem jest to, że od pierwszych stron często się uśmiechamy, nawet w dramatycznych sytuacjach. Pierwsze spotkanie z ratownikami z karetki, którzy nie rozpoznają zawału, ma w sobie momenty komiczne. Potem wszystko mogło potoczyć się źle, gdyby pacjent słuchał ratowników. Na szczęście nie słucha i w ostatnim momencie trafia do szpitala. Grynberg pilnuje zdania i puenty, jest uważnym obserwatorem siebie i swojego otoczenia, podobnie jak wcześniej Miron

Białoszewski, autor „Zawału”. Łączy ich ciekawość tego, co się dzieje dookoła, wspólnoty pacjentów. Grynberg opisuje choćby niespodziewane nagłe uczucie do lekarza, który ratuje mu życie, rozmowy za parawanami, cielesność, która w okolicznościach szpitalnych staje się główną bohaterką. Ta książka jest niewielka, ale pojemna – opowiada również o Polsce sali szpitalnej, a potem (i tu już dosyć brutalnie) o Polsce szatni męskiej (podczas rehabilitacji). Pojawia się też cień Marcina Wichy, pisarza, który rozminął się z Grynbergiem w śmierci. To też książka o czasie, o jego materialności i nieuchwytności, i o bezskutecznych próbach liczenia, ile go nam zostało. Radość, że się żyje, brzmi banalnie, ale Grynberg opowiada o niej w sposób wyjątkowy.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

postaci z drugiego planu. W „Tajnym raporcie” były wojskowy musi stawić czoło grupie łodziei, która zamierza okraść kilka należących do rosyjskich oligarchów domów. Reacher wpłatał się w całą aferę – choć wskutek wypadku stracił wspomnienia z ostatnich godzin – i nie odpuszcza, bo czuje, że chodzi o coś znacznie poważniejszego niż okradanie bogaczy. Na dodatek zyskuje nieoczekiwane wsparcie ze strony policjantki mającej prywatne porachunki z jednym z bandytów. Childowie (Lee od kilku lat pisze wspólnie z bratem Andrew) wiedzą, jak prowadzić akcję, utrzymać napięcie i sprawić, żeby czytelnicy nie zadawali sobie zbyt wielu pytań o logikę fabuły (ani o to, jak Reacher, już dobrze po sześćdziesiątce, zachowuje olimpijską formę). Ta seria to fenomen: jej siła tkwi w znacznej mierze w przewidywalności i powtarzalności schematów. To czytało w najlepszym znaczeniu tego słowa: eskapistyczna rozrywka z solidnym moralnym kręgosłupem, choć wciąż w starym stylu opisująca świat, w którym problemy rozwiązują się w równej mierze inteligencją, co siłą.

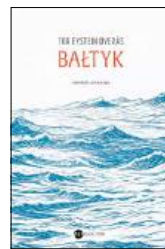
JAKUB DEMIAŃCZUK



Spytem i pięścią 4/6

Andrew Child, Lee Child, **Tajny raport**, przeł. Jan Kraśko, Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2025, s. 400

Premiery kolejnych powieści o Jacku Reacherze stały się już zwiastunami nadchodzącego lata (przynajmniej w Polsce, bo w USA zapowiadają raczej sezon świąteczny). I od lat jest to literatura czysto urlopowa: skonstruowana według sprawdzonego wzorca, z wyrazistym i niezmiennym głównym bohaterem oraz barwną, choć często stereotypową galerią



Połączeni Bałtykiem 4/6

Tor Eystein Øverås, **Bałtyk. Podróż literacka**, przeł. Ewa M. Bilińska, Witold Biliński, Marta Petryk, Wielka Litera, Warszawa 2025, s. 488

Imponująca rozmachem książka Tora Eysteina Øveråsa sytuuje się gdzieś pomiędzy dziennikiem podróży, literackim esejem a prozą autobiograficzną. Norweski autor wyrusza z leżące go za kołem podbiegunowym rodzinnego Bodø w podróż przez 10 bałtyckich krajów. Idąc tropem wielkich artystów, przenika genius loci miejsc, w których żyli i tworzyli, by lepiej poznać sąsiednie kraje i zastanowić się, na ile ich kultura wyrasta z tego samego pnia. Øverås twierdzi, że w epoce globalnej popkulturowej unifikacji Los Angeles stało się Norwegom bliższe niż Helsinki i że warto zmienić te proporcje. Czas na historię kultury północnoeuropejskiej, której zwornikiem będzie Bałtyk – proponuje Øverås. Czy Tomasz Mann pisałby inaczej, gdyby urodził się nieco bardziej na północ i był Skandynawem, czy Tarkowski i Bergman są filmowymi pobratymcami, czy Kopenhaga Kierkegaarda i Królewiec Kanta mają ze sobą coś wspólnego, wreszcie czy Szwecja i Norwegia są do siebie odwrócone plecami? Øverås stara się unieważnić państwowe granice, wypuklając przy okazji rolę wspólnych doświadczeń oraz krajobrazu jako głównych czynników tożsamości (ponad narodowych i literackich). Szkoda tylko, że miejscami prowadzi to do uproszczeń, co wyraźnie widać w opisach podróży przez Polskę: Øverås pisze najpierw, że „Polska jest przecież literackim imperium”, po czym wspomina Danzig Grassa oraz Stettin jako miasto z powieści „Effi Briest” Theodora Fontanego (zresztą błędnie utożsamiając powieściowca Kessin ze Szczecinem zamiast ze Świnoujściem). Potknięcia te jednak nie umniejszają rangi książki, z którą aż chce się wyruszyć w podróż.

MACIEJ ROBERT

Mieszanka wybuchowa

Warsaw Summer Jazz Days,
Warszawa, Klub Stodoła, 3–6 lipca

Cztery dni warszawskiego festiwalu jazzowego zwykle planowane są jako crescendo: na początek młodzi obiecujący muzycy polscy, później światowe gwiazdy. W tym roku jako polskie supporty wystąpią kolejno dniami: trio Dr Zolo (elektronika i jazzpunk), grająca na klawiszach Joanna Duda (z materiałem ze swojego albumu „KEEN”), poznańskie trio Głupi Komputer (autorzy wydanego na początku tego roku albumu „Jazz Not Found”) i Barbara Drazkov, czyli Drażkowska, pianistka i kompozytorka o klasycznym wykształceniu, grająca na fortepianie preparowanym (mieszka w Brukseli). A po nich – fajerwerki. Pierwszego wieczoru wybuchowa mieszanka stylistyczna: nowojorski kwartet WRENS oraz amerykańska wokalistka Me’shell Ndegeocello ze swoim zespołem. Drugiego – James Brandon Lewis z zespo-

łem The Messthetics (repertuar z najnowszej wspólnej płyty) oraz legenda – Stanley Clarke, niegdysiejszy basista Return to Forever Chicka Corei, ze swoim New Quartet. Trzeciego wieczoru pojawią się goście z Pernambuco – **Amaro Freitas Trio** oraz kolejne legendy: Kurt Elling z zespołem Yellowjackets w programie nawiązującym do repertuaru pamiętnego zespołu Weather Report. I na wielki finał – John Scofield ze swoim nowym zespołem Long Days Quartet oraz Nicholas Payton Trio. Warto wpaść.

DOROTA SZWARCMAN

Szczegóły: bileteria.adamiakjazz.pl/program festiwalu



Na koniec świata

Wschód Kultury – Inne Brzmienia,
Lublin, Błonia pod Zamkiem, 3–6 lipca

Program otwartego lubelskiego festiwalu Inne Brzmienia zwykle bywa eklektyczny, a w tym roku wyznacza go współpraca z wytwórnią płytową o bardzo dużym rozstrzale gatunkowym – Stone Tapes. Jest relatywnie młoda, ma kuratora w postaci Yonatana Gata, byłego lidera grupy Monotonix, i publikuje „muzykę na koniec świata”, co wydaje się niebezpiecznie aktualną dewizą. Od mistrza ambientu Laraajiego po gitarzystę Sonic Youth Lee Ranaldo – żeby skoncentrować się na tych, których występy będą przyciągać tegoroczną publiczność. Poza tym zagranicznymi filarami programu imprezy wydają się The Ex z Holandii, łączący punkową estetykę i improwizację, oraz kanadyjscy weterani metalu z grupy **Voivod**. Polską scenę reprezentować będą Zamilska, godząca ostatnio scenę metalową z klubową, oraz Raphael Rogiński – wybitny gitarzysta, który do Lublina przyjedzie zapowiedzieć swoje kolejne wydawnictwo: płytę nagrywaną w duecie z Iztokiem Korenem ze słoweńskiej grupy Širom. Koncertom będzie towarzyszyć wizualno-dźwiękowa instalacja „Sing the Gloaming” – dzieło Simona Kirby’ego, Tommy’ego Permana i Roba St. Johna wystawiane w ramach polsko-brytyjskiego sezonu artystycznego – oraz premiery kolejnych tomików literackich wydanych pod szyldem Wschodniego Expressu. Bo w Lublinie co roku spotykają się symbolicznie Wschód z Zachodem.

BARTEK CHACIŃSKI

Szczegóły: innebrzmienia.eu

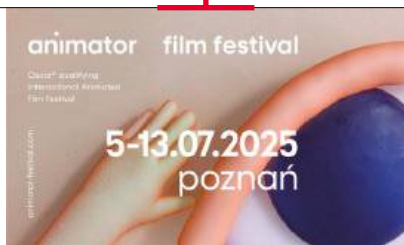


nie przegap



AC/DC, Stadion Narodowy,
Warszawa, 5 lipca

Od ostatniej wizyty gigantów rocka w Polsce minęła dekada. To wystarczająco dużo czasu, żeby w zespole sporo się zmieniło. Jednak ani śmierć współzałożyciela grupy Malcolma Younga, ani (koncertowa) emerytura perkusisty Phila Rudda nie zatrzymały Australijczyków. AC/DC trwają niczym hardrockowy monolit i – jak się wydaje – wciąż są w dobrej formie. Kto chce znów chóralnie zaśpiewać „Highway to Hell” czy „Hells Bells”, Stadionu Narodowego nie powinien omijać. JD



Festiwal Animator, Poznań, 5–13 lipca

Największy w Polsce festiwal poświęcony sztuce animacji symbolicznie wchodzi w dorosłość. Jednak na 18. edycji Animatora znajdzie się coś dla widzów w każdym wieku. Do Poznania przyjadą m.in. autorzy kultowego serialu „Było sobie życie”, mistrz anime Yoshimi Itazu oraz współtwórca serialu „BoJack Horseman” Mike Hollingsworth. Filmem otwarcia będzie zaś nagrodzony na festiwalu w Annecy oszałamiający „Dandelion’s Odyssey” – podróż przez kosmiczną przestrzeń opowiadana z perspektywy czterech nasion dmuchawca. JD



Santander Letnie Brzmienia, Kraków, Wrocław, Warszawa, Gdańsk, Poznań, 4 lipca – 30 sierpnia

Wakacyjny objazd Letnich Brzmień zaczyna się w Krakowie na lotnisku Rakowice-Czyżyny. Tu od razu festiwal wyłoży karty na stół. Ile osób przyciągnie reaktywany na letnią trasę zespół Hey? Czy **trio Margaret, Zalia i Sara James** okaże się atrakcyjną żeńską drużyną imprezy? Warto zwrócić uwagę na retrospektywny program koncertowy Edyty Bartosiewicz oraz dwutakt Piotra Roguckiego występującego pierwszego dnia z zespołem Normalni Ludzie, a drugiego – z Comą. BCH



© WARNER MUSIC

Głupi wszystko

Prawica jedzie po wszystkich bez trzymanki, lewica stara się robić to samo, ale w sposób poprawny politycznie i obyczajowo. Mamy problem autocenzury – mówi **Ryszard Tymon Tymański**, muzyk, autor, lider wracającej na scenę grupy Kury.

MIROSŁAW PĘCZAK: – 27 lat temu twój zespół Kury wydał płytę „P.O.L.O.V.I.R.U.S”. To była potężna dawka szyderstwa z polskich postaw, stylów życia. Przypomina o tym wszystkim film „Najgłupsza płyta świata”. Ten tytuł jest autoszyderstwem. Sam go wymyśliłeś?

RYSZARD TYMON TYMAŃSKI: – Głupota to temat rzeka. Głupota głupocie nierówna, a głupota „twórcza” jest aktem spuszczenia powietrza z balonu powagi. Mamy tu temat wyboru śmiechu, przekory i przedrzeźniania zamiast dętej walki ideologicznej. Nie będę się wypowiadał za twórców filmu, bo dokument jest ich suwerennym dziełem i przy okazji czyni sporo dobrego dla sprawy reaktywacji Kur. Jest tam kilka tematów: geneza płyty „P.O.L.O.V.I.R.U.S”, ówczesna sytuacja socjopolityczno-obyczajowa, życie w nieustannej trasie, muzyczna niezależność po polsku, tragedia Jacka Oltera itd. (zmarły tragicznie perkusista Kur – red.). Spore ryzyko dokumentalne, bo wszystkie te wątki wymagają rozbudowanego formatu w rodzaju serialu dokumentalnego, a w jednym obrazku łatwiej byłoby chyba omówić jeden nadrzędny temat. Ale *chapeau bas*, że koledzy Knera i Kulczyński podjęli się tego ambitnego zadania. Swoją drogą ciekawe, że film miał być nagrobkiem dla martwego zespołu, a tymczasem ten niespodziewanie ożył i we wrześniu wydaje nową płytę.

Czasy mamy takie, że Kury musiały zmartwychwstać. Przy okazji trafiliśmy na nowy ciekawy problem – problem społecznej wrażliwości i autocenzury. Prawica jedzie po wszystkich bez trzymanki, lewica stara się robić to samo, ale w sposób poprawny politycznie i obyczajowo. Wszyscy stracili poczucie humoru

Ryszard Tymon Tymański

(ur. 1968 r.) – wokalista, multiinstrumentalista i autor piosenek, animator trójmiejskiej sceny artystycznej, lider zespołów Miłość, Kury, Tymański Yass Ensemble i Tymon & The Transistors. Studiuje reżyserię w Gdynińskiej Szkole Filmowej. Laureat Paszportu POLITYKI za 2000 r., nominowany do Nike za wspomnieniową książkę „Sclavus”.

może

i dystans, a my, ludzie satyry, kabaretu i stand-upu, musimy ciągle uważać, żeby żartować na tyle kulturalnie, by nikogo nie urazić. W latach 90. było o wiele łatwiej. No ale tu wracamy do naszej głupiej metody. Mówimy: jesteśmy głupi, a głupim wszystko wolno.

Na płycie „P.O.L.O.V.I.R.U.S” wszystkim się obrywa:

deathmetalowym satanistom, jazzmanom, rastafarianom, wielbicielom krainy łagodności, żeglarzom nucącym szanty, fanom country. Skąd pomyślna na tę wielowątkową podróż przez muzyczne style?

Ta płyta była pomyślana jako rodzaj broni obosiecznej, trochę jak film „Borat” Barona Sachy Cohena, który niby się śmieje z niemądrego Kazachstanu, ale tak naprawdę obnaża idiotyzm współczesnej Ameryki, brak wiedzy o świecie, kołtunerię, arogancję, populizm. Na pewno był to efekt pracy – jak powiedział Lechu Możdżer – trustu umysłów i erupcji endoplazmy, ale też sprzyjało nam szczęście, bo wbiliśmy się w ten szczególnie moment w historii wolności polskiej kultury... A co do wielowątkowej podróży przez style, to niewątpliwie inspiracja Frankiem Zappą. Jest taka świetna płyta, trzecia w dorobku jego zespołu Mothers of Invention: „We’re Only in It for the Money” (Robimy to tylko dla pieniędzy). Zappa z tego okresu (1968 r.) jest niesamowicie przenikliwy i ostry literacko. Jak się poczyta tamte teksty, to wyłania się taka osobliwa satyra na Amerykę farmersko-antykomunistyczno-komercyjną, skąpaną w tych wszystkich objawieniach ogłaszanych przez telewizyjnych kaznodziejów, oraz Amerykę naiwnej głupoty hipisowskiej, w której hipisi tłumnie zmierzają do mekki zwanej San Francisco, gdzie na trawnikach leżą w błocie i ujarani grają na bongosach. Zappa, człowiek o niesamowicie trzeźwym i osobnym punkcie widzenia, podśmiewa się z jednych i drugich, choć więcej współczucia ma pewnie dla nieszczęsnych hipisów. Czasem zastanawiam się nad tym, jakim byłby prezydentem ten nasz stryjek Franek – albo kolega Jello Biafra z Dead Kennedys – ale są to czysto płonne dywagacje. Dziś prezydentem może zostać każdy wypierdek pokroju Trumpa, Dudy czy Nawrockiego. *O tempora, o mores.*

„P.O.L.O.V.I.R.U.S” to nie jest płyta wyłącznie muzyczna. Są tam również wątki happensko-literackie, zainspirowane Totarrem, The Goon Show, Monty Pythonem, Gombrowiczem, Witkacym, Vonnegutem, futuryzmem, surrealizmem, oberiutami itp.

...co okazało się poręcznym narzędziem w artystycznej analizie rzeczywistości.

I co wcale nie musiało zakończyć się sukcesem. Pamiętamy komediowy serial Jerzego Gruzego „Czterdziestolatek. 20 lat później”. Bardzo nieudany. Nie udało mu się napisać hitu porównywalnego z wcześniejszym „Czterdziestolatkiem”.

Albo jeszcze wcześniej „Wojnę domową”.

Właśnie! Ja się wychowywałem na tych komediach, na Barei, Tymie, Fedorowiczu, Piwowskim i Kondratiukach. Mam wrażenie, że coś zdechło w komedii polskiej w latach 80. Mimo że były niezłe momenty, to trudno je porównywać ze złotym okresem komedii lat 60. i 70. W latach 90. pojawił się nie lada kłopot, ponieważ ►

► artyści ze starszego pokolenia nie potrafili wyczuć języka tej nowej rzeczywistości. A ona była bardzo śmieszna – gruboskórna, głupkowata, groteskowa. I ci kibole, agrorockowe gwiazdy radia i telewizji, nowi biznesmeni z brakami w obyciu, politycy prosto ze wsi oraz gangsterzy, którzy wcześniej byli cinkciarzami. To wszystko było bardzo zabawne, tylko całą tę groteskowość trzeba dobrze ugryźć. Teraz jest dużo trudniej, bo tych światów społecznych narobiło się bardzo wiele, przeszkadza atomizacja tych wieloświatów i rzeczona cenzura, bo właściwie oprócz idiotów mamy same nadwrażliwe mniejszości. Tutaj lewacy, tam prawacy, tutaj wierzący, tu ateści, tu LGBT, tam wszyscy nieszczęśnicy z zaburzeniami w terapii i na lekach. Zaczynam się martwić, że pojawi się zaraz lobby ludzi, którym śmierdzi z ust. I nie będziemy mogli grać na koncertach starej piosenki Kur „Śmierdzi mi z ust”, bo ktoś powie, że to przemocowe. Czasy takie, że strach się śmiać.

W filmie pojawia się teza, że tamten album Kur to był ostatni akt polskiej alternatywy jako ruchu świadomie antykomercyjnego, tkwiącego korzeniami w punkowskiej rewolucji i jeszcze wcześniejszej kontrykulturze. Zgadzasz się z tym?

Może i tak. Ale my przecież jeszcze nie umieramy i dalej nagrywamy kontrykulturowe płyty. I może to mnie trochę uwiera w tym stawianiu pomniczka niewątpliwie zacnej i udanej płycie sprzed prawie 30 lat. David Bowie zostawił po sobie kilkadziesiąt płyt. I są w całym tym dorobku płyty nieudane, którym brakuje pazura, artyzmu i fokusu. Dobra albo wybitna płyta pojawia się raz na parę średnich. Mam świadomość tego, że jestem alternatywnym twórcą z zaściankowego kraju, o którym Jarry pisał, że leży nigdzie, a Dygat – że „Polska to ani to, ani sio”. Dziwaczna miedza między Zachodem a Wschodem. Rubież, manowiec, samoświat. Tu również oddychamy sztuką i kulturą, która w większości jest nieprzetłumaczalna na inne języki. Naszym ślepym Kurom trafiło się owo polovirusowe ziarno i raz udało się trafić z armaty w okolice masowego gustu. No cóż, będziemy próbować dalej. Polski muzyczny kabaret nie był najwyższych lotów, najczęściej był tani, szkolny, postpunkowy i głupkowaty. Wyjątkiem jest twórczość zespołów Macia Morettiego, to jedyny markowy kontynuator szlachetnego sowizdrzalstwa, podszytego odpowiednim muzykanctwem. Oczywiście warto przypomnieć, że przed Kurami była Bielizna z Jarkiem Janiszewskim, autorem świetnych, prześmiewczych i absurdalnych tekstów.

Bielizna, czyli znów Gdańsk. Zawsze byłem przekonany, że istnieje coś takiego jak trójmiejska scena alternatywna poczucia humoru.

Jest jakieś pokrewieństwo. Często mówiłem Jarkowi, że czuję się jego kuzynem. Swoją drogą mieszkaliśmy o pół przystanku od siebie. Ja przy zajezdni na Wojska Polskiego we Wrzeszczu, a on przy Abrahama w Oliwie, dosłownie rzut beretem. Może to kwestia jodu, a może powojennego charakteru Trójmiasta, który ukształtowała ludność napływowa, bez tradycji i ciągłości kulturowej. Podobnie jest ze mną i Pawłem Końcem Konnakiem oraz Krzysiem Skibą. Czuję z nimi powinowactwo literackie i metaanarchistyczne, w końcu czytaliśmy te same książki i bywaliśmy w tych samych lub sąsiedzkich ugrupowaniach. Spore wrażenie robiła na mnie wywrotowa działalność Skiby – jego szaleństwa i aberracje w ramach aktywności Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego oraz Pomarańczowej Alternatywy. Jako Totart byliśmy bardziej ostrożną frakcją anarchizmu, a oni szli na ostro i napierdalać się z zomowcami. Dlatego moim starszym braciom i siostram w anarchii zawsze poświęcam osobne słowo

sympatii. Wracając do Kur – to szerszy fenomen, zainspirowany happeningami Totartu i Pomarańczowej. Rodzaj kolektywnego frontalnego ataku żartem i absurdem.

Naśmiewaliście się nawet z Solidarności, patriotyzmu jej weteranów.

Ten nurt w mojej twórczości nie jest jakiś osobny, bo na płycie „Wesele” też mamy tego świadectwa. Choćby piosenkę „Dymać Orła Białego”. Z jednej strony szanowałem Kaczmarzkiego czy Gintrowskiego i ich poezję historyczną, a z drugiej to nadęcie mnie jakoś drażniło. Szczerze mówiąc, zawsze wolałem dowcip i dystans Wysockiego, u którego aborygeni zjedli Cooka. Zawsze się półgębkiem podśmiewałem z tej naszej polskiej, powstańczożnoskiej tromtadracji. No i tu się pojawia problem – jak się śmiesz ze świętości, stajesz się zaprzęncem, żydem, komuchem albo satanistą. Nawet jeśli przestrzegasz przed polskim faszyzmem. Skiba zawsze twierdził, że generał z jego milionową armią staje się bezsilny wobec drwiny. Ale tej jakościowej drwiny jest coraz mniej. Możliwe, że „Dzień świra” był ostatnią udaną polską komedią. Ale czy był komedią? Na pewno nie był dziełem dla wszystkich, ale czymś w rodzaju łabędziego śpiewu inteligenckiego żartu spod znaku Kabaretu Starszych Panów, Salonu Niezależnych itp. Jak się okazało, autoironia niekoniecznie cieszy się wśród Polaków dużym wzięciem. A i inteligencja jako grupa społeczna jest u nas w zaniku.

Kiedy „P.O.L.O.V.I.R.U.S.” trafił do sklepów, wydawał się bardzo mocną, ale mimo wszystko doraźną satyrą.

Film dowodzi, że jest to jednak satyra nad podziw aktualna.

No tak, piosenka „Kibolski” choćby. Wspomniałem przed chwilą o kwestiach narodowości, nacjonalizmu. Otóż zawsze uważałem, że nacjonalizm to taka współczesna choroba narodów, zwłaszcza tych niepewnych swojej wagi i dojrzałości. Przecież ta ideologia ma niewiele ponad 150 lat. W normalnych krajach nie za bardzo się tym przejmują. No ale może ten ciężar historii powoduje, że dziś ożywa w Polsce duch endecji, ONR, Falangi i innych faszystowskich pierdół. Na Marszach Niepodległości, na stadionach. Może z tego kiedyś wyjdziemy, ale na razie ta głupia śpiewka wraca, bo wraca lęk przed obcym, przed zmianą. No i jest wojna, wielka wojna kulturowa. Mówią mi koledzy i wydawcy: uważaj, co głosisz, bo narazisz się fanom. Połowa z nich mogła głosować za prezydentem gangusem i armią jego oszołomów.

W jednej ze scen „Najgłupszej płyty świata” wspomniana została przygoda Grzegorza Nawrockiego, późniejszego lidera zespołu Kobiety, który po pobycie za granicą został w Gdańsku pobity. Na płycie opowiada o takiej sytuacji piosenka „Sztany, glany” o trójmiejskich kibolach.

To akurat Oli Deriglasoff napisał kultowe „Sztany, glany”, usłyszawszy tę historię od Grzeska Nawrockiego. Nie pamiętam szczegółów, ale zdaje się, że nasz kochany Grześ, dzisiaj wybitny trójmiejski songwriter, sam się prosił o manto, które ponoć dostał pod klubem Forty. Nawrocki – oczywiście Grześ, a nie Karol, który był zawodowym ustawkowiczem – był podówczas naszym ulicznym kogucikiem, popularnym kozakiem skorym do bitki.

Czy podobnie jak prezydent elekt byłeś kibicem Lechii Gdańsk?

No tak, jako gówniarz byłem kibolem, choć może bardziej – jak mówisz – kibicem Lechii Gdańsk. Bywało, że odbierałem łomot od policji, a właściwie milicji, np. wtedy, kiedy w 1983 r. Lechia weszła do pierwszej ligi. Rzecz się dzieła jakoś w maju albo czerwcu 1983 r. w Gronowie Elbląskim. Jechaliśmy pociągami,



Grupa Kury wraca z nową płytą. Obok: okładka słynnego albumu „P.O.L.O.V.I.R.U.S.” z 1998 r.



część chłopaków zaczęła rzucać w latarnie kamieniami i przyjechało kilkanaście „suk” i „łodówek”. Naćpani amfetaminą stróżowie prawa zrobili nam „ścieżki zdrowia” i z zapalonym lutem nas przez jakąś godzinę czy dwie, pomstując, że przez nas nie pójdą na „dancing”. Byłem częścią tej subkultury, choć – znowu – stanowiłem ciut grzeczniejszą, kulturalną frakcję. Chciałem po prostu obejrzeć mecz wyjazdowy, a trafiłem w sam środek zadymy. Nie uczestniczyłem w ustawkach, ale wiedziałem o grupie w tzw. młynie Lechii, która mniej się interesowała meczami, a bardziej napierdaleniem z innymi kibolami. „P.O.L.O.V.I.R.U.S.” obfitował w takie teksty, które stały się kanwą swego rodzaju kulturowo-obyczajowej mapy – jak w grze planszowej.

Jeśli byś rekonstruował historię prezydenta elekta, to w którym momencie wypadałby ten jego epizod kibolski?

On jest jednak sporo młodszy ode mnie. Mam kumpla Krzyszta Paciorka ze znanego postpunkowego zespołu JAD, który studiował z Nawrockim historię na Uniwersytecie Gdańskim. Ale Pacior to typ z drugiej strony barykady – bardziej lewak niż anarchista, w dodatku kibic Arki Gdynia i jej były rzecznik. Żartobliwie dodam, że zdecydowanie wolę się przyjaźnić z wyulgowanym lewakiem z Arki niż nadętym prawakiem z Lechii. Czyli jestem zdrajcą idei Wielkiego Wrzeszcza. Ale wracając do naszego Nawrota, nieślubnego albo duchowego syna Nikosia. Wygląda na to, że przyszły prezydent kibolską karierę rozpoczął w latach 90. A Lechia Gdańsk to był zespół dość szemrany. W 1995 r. wszedł w fuzję z Olimpią Poznań, co porządni kibice przyjęli z totalną niechęcią. W tym samym czasie samochodowa mafia, gloryfikowana filmem „Sztos” Olafa Lubaszenki (mowa o jej cinkciarskich początkach), przegrywała uliczną wojnę z młodszą mafią narkotykową, o czym sporo się słyszało w Trójmieście. Subkultura kiboli raczkowała i kształtowała charakter pośród ustawek i akcji z rozprowadzaniem dragów itp. Nie wątpię, że część z nich stała się żołnierzami mafii narkotykowej,

która wygrała bitwę o Trójmiasto, zakończoną strzałami pod gdyńskim burdelem Las Vegas, gdzie zginął Nikoś. Jakie z tym wszystkim związki miał młody Karol Nawrocki vel Tadeusz Batory, który zadziwiająco dużo wie o tym okresie? Trzeba by jego o to zapytać. Możliwe, że zna te historie tylko z siłowni, gdzie spotykali się ówcześni kibole.

Kultura siłowni to oczywiście kultura narcyzmu: patrzysz, jak ci rośnie mięsień, i się zachwycasz sam sobą. Do tego kupujesz małego dziarskiego bulteriera i jesteś nietykany! Ja byłem karateką i zawsze się z takich gości naśmiewałem. Bo to raczej nie działa na ulicy. Taki napakowany sterydami gość nie przebiegnie setki, a do walki potrzeba przede wszystkim kondycji. No ale Karol Nawrocki był bokserem ze Stoczniowa, ponoć całkiem przyzwoitym, „ciężkim”, który ocierał się o mistrzostwo Polski w swojej grupie wiekowej.

Zgadzasz się z poglądem zaprezentowanym w raporcie POLITYKI o kibicowskiej subkulturze, że po wyborach „radikalni kibole mają ogromną satysfakcję: prezydentem kraju został jeden z nich”?

Moje poglądy powoli stają się wręcz antypolskie, co jest dziś zapewne mocno wstydliwe i nawet ryzykowne, bo przecież naziole mogą powrócić, wzmocnieni zbieraniną Konfy. Mnie PiS odarł z resztek tzw. uczuć patriotycznych. Pamiętam z czasów dzieciństwa takie żartobliwe stopniowanie: „dobry, lepszy, radziecki”. Za ośmioletnich rządów PiS to hasło zostało sparafrazowane na: „dobry, lepszy, pisowski”. Boję się powrotu takiej Polski: Polski nacjonalistycznej, kibolskiej, radykalnej i ksenofobicznej. Ale jako że nadchodzi lato, skończę na niespodziewanie pozytywną nutę. Polska to nie tylko PiS i Konfa, naziole i kibole. To również piękny krajobraz Trójmiasta, Mazur, Mazowsza, Bieszczadów czy Karkonoszy. Mam nadzieję, że Polska Kaczyńskiego i Nawrockiego kiedyś przeminie. Oby krajobraz pozostał – jak najdłużej.

ROZMAWIAŁ MIROSLAW PĘCZAK



Brama do sąsiadów

Konkursy są ważne, ale nie tylko po to, by je wygrywać – mówią **Aleksander Bednarski** i **Mariusz Komraus** z pracowni SLAS Architekci, laureaci Grand Prix Nagrody Architektonicznej POLITYKI za budynek wielorodzinny **TBS „Ajnfart”** w Rybniku.

PIOTR SARZYŃSKI: – Obaj panowie są Ślązakami?

ALEKSANDER BEDNARSKI: – Mało tego, pochodzimy z tego samego miasta, czyli Siemianowic Śląskich. A poznaliśmy się chwilę przed egzaminem na studia architektoniczne. W sklepie papierniczym, w którym kupowaliśmy jakieś ostatnie linijki czy ekerki potrzebne na egzaminie. Nasze domy były oddalone od siebie o jakieś pół kilometra i jako chłopcy znaliśmy się z widzenia. Ale bliższe kontakty nawiązaliśmy dopiero na studiach.

Pytam o tę ślaskość, bo interesuje mnie, kto wymyślił dla budynku nazwę „Ajnfart”? Teraz wiem, że mógł to być każdy z was.

MARIUSZ KOMRAUS: – Ajnfarty, czyli bramy prowadzące z ulicy na podwórze kamienicy, są na Śląsku stałym elementem architektury, więc oczywiście, że znaleźliśmy je dobrze. Nie zawsze z najlepszej strony, bo niektóre były po prostu ciemne i niebezpieczne. Ale generalnie z dzieciństwa zapamiętałem je jako fajne miejsce podwórkowych zabaw. A co do nazwy, to pamiętam, że Olek jako pierwszy użył tego terminu w kontekście naszego projektu.

Czy z pomysłu na nazwę wziął się pomysł na rozwiązanie architektoniczne, czy na odwrót?

A.B.: – Na początku była (i zawsze u nas jest) urbanistyka. Czyli myślenie o tym, jak zaprogramować, zurbanizować całą strukturę, by maksymalnie otworzyć budynek na miasto i zintegrować go z nim. Dopiero w kolejnym kroku szukaliśmy skojarzeń i linków, które ułatwiłyby nam interpretację tego konceptu. No i tak pojawił się „Ajnfart”.

Wasz inwestor, czyli Towarzystwo Budownictwa Społecznego, to nie jest bogaty deweloper sprzedający apartamenty za grube miliony. Świadomość ograniczonych funduszy na realizację blokuje czy stymuluje kreatywność?

M.K.: – Niski budżet jest z pewnością dużym wyzwaniem, ale pozwala też na użycie – nazwijmy to – bardziej szczerych rozwiązań. Zmusza do uproszczania, redukcji, syntezy, a więc do intelektualnego wysiłku, do głębszych przemyśleń i analiz, do pewnego rodzaju sprytu projektowego.

A.B.: – Wydaje mi się, że najcenniejszą rzeczą w architekturze jest tak naprawdę urbanistyka, bo to dzięki niej miasto

rozwija się jako całość. Sam obiekt, czy to „Ajnfart”, czy jakkolwiek inny, jest jedynie małą częścią tego miejskiego organizmu. A nie jest ekskluzywnym, bez związku z otoczeniem gadżetem, zawierającym tylko drogie rozwiązania. Więc staramy się myśleć głównie o urbanistyce. To ona stanowi kręgosłup projektu, na tyle silny, że nawet skromne wybory materiałowe nie są go w stanie zepsuć. Oczywiście zawsze jest przyjemnie stosować szlachetne i droższe materiały budowlane, ale to nie tylko one decydują o efekcie całości. W przypadku Rybnika istotne było powiązanie naszego projektu z otoczeniem, ze znajdującymi się w najbliższym sąsiedztwie zabytkowymi budynkami.

Czasami zdarza się tak, że projekt jest kompletny oraz spójny ideowo i materiałowo. Wydaje się, że z taką sytuacją mamy do czynienia właśnie w przypadku Rybnika. Nie zastosowaliśmy żadnych rewolucyjnych rozwiązań, ale po prostu dobrze poskładaliśmy wszystkie elementy tego projektu: architektoniczne, materiałowe, urbanistyczne, przestrzeni publicznej.

M.K.: – Na pewno jesteśmy zadowoleni z ciekawej typologii mieszkań.

Teoretycznie dla tych 80 lokali zaprojektowaliśmy 16 ogólnych typologii. Ale de facto jest ich tyle ile mieszkań i mogą zaryzykować tezę, że nie ma dwóch identycznych lokali, choć oczywiście często różnią się tylko szczegółami. Dopracowanie tego zajęło nam sporo czasu, ale satysfakcja jest ogromna, gdyż zwiększa to szanse na różnorodność i dostosowanie do potrzeb mieszkańców.

Interesuje was, co się dzieje z zakończonymi realizacjami? Jak sobie radzą w codziennym życiu?

A.B.: – Oczywiście. Wielokrotnie odwiedziliśmy Strefę Aktywności w Chorzowie czy salę koncertową w Jastrzębiu-Zdroju. Czasami znajdujemy jakieś mankamenty, czasami odkrywamy nieoczekiwane zalety. Projektant nigdy nie jest w stanie przewidzieć wszystkich praktycznych aspektów i konsekwencji swoich decyzji, więc śledzenie życia projektu jest dla nas zawsze nauką na przyszłość.

Projektujecie może niezbyt wiele, ale każda realizacja z ostatnich lat doczekała się wielu nagród.

Na czym polega wasz patent?

M.K.: – Zawsze mamy na stole kilka rozwiązań, dużo analizujemy, krytykujemy i dyskutujemy.

A.B.: – Architektura zawsze powinna nieść jakiś, choćby mały procent eksperymentu. Pamiętam, jak nas do tego przekonywali nasi akademicy profesorscy. Więc w naszych rozwiązaniach staraliśmy się szukać pomysłów, które niosą ze sobą może nie wielką rewolucję, ale choć pewne zaskoczenie. Być może właśnie ten aspekt jest doceniany. Takim małym eksperymentem było np. użycie przemysłowej blachy ze stali nierdzewnej na elewacji sali w Jastrzębiu-Zdroju. Finalnie kontrowersyjny przemysłowy materiał pozwolił zdematerializować ogromną kubaturę obiektu i związać go z najbliższym – zdrojowym – otoczeniem.

Czy nagrody i splendory pomagają w zdobyciu kolejnych zamówień?

M.K.: – Oczywiście można przypuszczać, że kilku naszych klientów sugerowało się tymi sukcesami. Bo nagrody oznaczają, że jesteśmy profesjonalni i godni zaufania. Natomiast nie zdarzyło się, by ktoś zgłosił się do nas tylko dlatego, że coś wygraliśmy. Przynajmniej na razie. Ale nie tracimy nadziei, że to się zmieni.

Projektujecie niemal wyłącznie na Śląsku. To taki patriotyczny wybór czy raczej realia rynkowe?

M.K.: – W dużym stopniu to świadoma życiowa decyzja. Mamy małe dzieci, rodziny i trudno byłoby jeździć gdzieś na drugi koniec Polski, by doglądać realizacji, a budowa często wymaga, by ją odwiedzać parę razy w tygodniu, na bieżąco rozwiązywać problemy. Ale myślę, że przyjdzie taki moment, że pomyślimy o wyjściu w Polskę. Jeżeli pojawi się ciekawy temat, to na pewno spróbujemy.

Jesteście kolejnym biurem architektonicznym ze Śląska, które odnosi duże sukcesy, o którym jest głośno. Wydaje się, że konkurencja tu jest ogromna.

A.B.: – Większość tych śląskich projektantów znamy i cenimy. Myślę, że jakoś łączy nas wspólny cel wzbogacania tego regionu o nowe fajne przestrzenie i obiekty. Nie traktujemy więc ich jako konkurencji, choć czasem zdarza się przegrać w bezpośredniej konfrontacji jakiś konkurs.

Powróćmy do historii waszej współpracy. Już wiem, że zaczęło się w sklepie papierniczym...

M.K.: – Ścisłej – zaczęliśmy współpracować na studiach, wspólnie przygotowaliśmy projekty na konkursy. Dużo rozmawialiśmy o architekturze, dobrze się dogadywaliśmy, czuliśmy, że warto by kontynuować to wspólne działanie. Później jednak nastąpiło zderzenie z życiem, musieliśmy się jakoś utrzymać. Początki zawsze są trudne, trzeba szukać pracy w już istniejących biurach projektowych. W pewnym momencie nadarzyła się okazja do pracy w biurach architektonicznych w Irlandii. To były typowo komercyjne firmy i decydowały kwestie finansowe. Chcieliśmy z tej pracy odłożyć fundusze, które pozwolą nam założyć w kraju własną praktykę architektoniczną. Ale i tam staraliśmy się wzbogacać nasze doświadczenia, rozwijać się. Po pracy, zamiast odpoczywać, przygotowaliśmy projekty na różne konkursy. Na przykład na European, bodaj najbardziej prestiżowy konkurs urbanistyczno-architektoniczny dla młodych architektów. Udało nam się zdobyć w nim wyróżnienie, a rok później – nagrodę główną, za projekt zagospodarowania nabrzeża w chorwackim mieście Opatija.

Projektowaliście już przestrzeń publiczną, sale koncertowe, mieszkania, biurowce, domy jednorodzinne itd. Co wam się marzy?

M.K.: – Każdy nowy projekt może być fascynujący. A tak prywatnie to chyba najbardziej chciałbym w przyszłości mieć okazję zaprojektować kościół. Takie

doświadczenie duchowe, ale też duże wyzwanie, bo wymagające redefinicji przestrzeni sakralnej stosownie do współczesnych czasów.

A.B.: – Na początku naszej wspólnej pracy byliśmy zainteresowani mniejszymi tematami, takimi bardziej socjalnymi. Szukaliśmy przede wszystkim konkursów na przedszkole, małą bibliotekę itp. Skala tych projektów wydawała nam się do ogarnięcia. Z czasem jednak przekonaliśmy się, że najważniejsze w konkursach jest coś innego: gwarancja rzetelnego i wysokiej jakości sędziowania. Wcześniej byliśmy świadkami różnych dziwnych werdyktów. Dzisiaj przede wszystkim patrzymy na to, kto jest w jury i czy te osoby gwarantują profesjonalną i obiektywną ocenę.

O jakiej waszej realizacji mamy szansę usłyszeć w najbliższym czasie?

A.B.: – Według naszego projektu powstaje obecnie nowy budynek Akademii Muzycznej – Akademicka Strefa Sztuki Scenicznej w Katowicach. Łączy w sobie funkcję dydaktyczną oraz wielofunkcyjną, operowo-teatralną salę, która będzie służyć nie tylko edukacji, ale i wydarzeniom publicznym. Lokalizacja obiektu była bardzo trudna: bezpośrednio przy linii torów kolejowych, które sztucznie podzieliły miasto na dwie części i spowodowały degradację tej części Katowic. Dlatego dla nas bardzo ważną sprawą stała się urbanistyka, takie zaprojektowanie, by budynek otworzył się nie tylko na zabytkową część kompleksu, ale i na tę część miasta, która znajduje się po drugiej stronie torów.

Będą znowu nagrody?

A.B.: – Przede wszystkim zależy nam na tym, żeby obiekt został dobrze przyjęty przez użytkowników i mieszkańców, i dobrze funkcjonował w mieście. To będzie dla nas największa nagroda. A gdyby pojawiły się inne, proszę bardzo.

Po więcej zapraszamy na stronę
polityka.pl/architektura

Sponsor Główny
Nagrody Architektonicznej POLITYKI





Lato bez scen

Dlaczego teatry nie grają latem? Czemu większość z nich z początkiem lipca zamyka drzwi, by wzorem szkół otworzyć je we wrześniu? I gdzie jednak można obejrzeć spektakl?

ANETA KYZIOŁ

W czerwcu, na finał sezonu, zwykle mamy wysyp premier, jak gdyby teatry przed nierzadko dwumiesięcznym urlopem chciały się pożegnać w wielkim stylu, zostawić dobre wrażenie. W przypadku Teatru Narodowego w Warszawie ostatnia premiera sezonu „Zaćmienie w dwóch aktach” Pabla Remóna w reż. Grzegorza Małeckiego – komediowy spektakl o artystycznych zmaganiach, ambicjach i byciu dostateczną wersją siebie – jest też ostatnią zrealizowaną

za 22-letniej dyrekcji Jana Englerta. Nowy sezon zacznie się 3 września, na dużą scenę wróci głośny, pożegnalny „Hamlet” Englerta, a 20 i 21 września zespołowi oraz widzom Narodowego przedstawi się nowy dyrektor Jan Klata. Teatralnie, bo z krakowskiego Narodowego Starego Teatru na trzy pokazy przyjedzie „Wesele” – świetny i poruszający spektakl, którym z kolei Klata żegnał się z dyrekcją Starego, gdy minister Głiński zignorował głos zespołu i środowiska i przeforsował swojego kandydata Marka Mikosa, wcześniej związanego z lokalną telewizją. Teraz w dramatycznej sytuacji znajduje się Teatr im. Żeromskiego

Nowohucki Teatr Łaźnia Nowa zaprasza w lipcu na Bulwar[t] Sztuki, gdzie zobaczymy m.in. spektakl „Dawno, dawno temu... Alurican”

w Kielcach, gdzie lokalny PiS próbuje podobnego manewru.

A Stary Teatr w Krakowie na finał pierwszego sezonu dyrektorskiego duetu Jakub Skrzywanek – Dorota Ignatjew dał premierę scenicznego performansu „Rewizja procesu Jezusa”, w którym artystka wizualna Katarzyna Kozyra wraca do swoich ulubionych motywów. Z widzami zaś pożegnał się imprezą „Silent disco” „w jednej z najpiękniejszych sal balowych Krakowa – Sali Modrzejewskiej w Narodowym Starym Teatrze!” pod hasłem: „Lato witamy tańcem!”. Wracają 12 września.

Krakowski Teatr im. Słowackiego, w którym powstał m.in. słynne „Dziady” w reż. Mai Kleczewskiej i musical „1989”, sezon kończy premierą „Pokoju”, sztuki Szczepana Twardocha, której akcja rozgrywa się w schronie podczas rozmów pokojowych mających doprowadzić do zakończenia polskiej wojny domowej między Patriotami i Demokratami (recenzujemy ją na s. 72). Zamyka drzwi 6 lipca, ponownie je

otworzy 4 września, by tydzień później premierowo pokazać kolejną opowieść o Polsce: „Polish Horror Story” Jarosława Murawskiego w reż. Marcina Libera.

Warszawski Nowy Teatr po czerwcowej premierze „Nagle, ostatniego lata” Tennessee Williamsa w reż. Michała Borczucha w lipcu planuje dwutygodniowe półkolonie teatralne dla dzieci, a we wrześniu pokazy w ramach dwóch festiwali: Generation After 9. Showcase i Nowa Europa. Lekki Hardcore. TR Warszawa skończył sezon reżyserskim debiutem – spektaklem „Trzask prask” Krzysztofa Zyguckiego, na wakacje rusza 6 lipca, wraca z nich 3 września. Podobnie stołeczny Powszechny, który na finał sezonu dał współprodukowaną z festiwalem Malta premierę „Kobiety samotnej” w reż. Anny Smolar, z tą różnicą, że w nowy sezon wejdzie z nową dyrektorką Mają Kleczewską. Teatr Studio odpowiednio: zegna się premierą „Koleżanek nocy” w reż. Anny Karasińskiej, wita 5 września premierą „U mnie wszystko w porządku” w reż. Cezarego Tomaszewskiego.

W warszawskim Współczesnym mała scena – Barak – wraca w połowie sierpnia, duża – pod koniec. Ateneum startuje 11 września z Dawidem Ogrodnikiem jako nową gwiazdą w zespole i „Lalką” w reż. Piotra Ratajczaka jako jedną z premier nowego sezonu. Duża scena Romy, z musicalem „Wicked”, otwiera się dopiero 19 września, Syrena – tydzień wcześniej premierą musicalu „Beetlejuice”. Lista teatrów zamykających się na lato jest tak długa jak ich urlopy. Z czego to wynika?

W rytmie miasta

Podział na teatralne sezony jest stary jak polski teatr publiczny. Zaczęto go wprowadzać wraz z otwarciem Teatru Narodowego w 1765 r. Wtedy trwały od Wielkanocy do Wielkanocy. Dziś pozostałością tamtego obyczaju są odbywające się w okolicach marca i kwietnia rozmowy sezonowe, teatralne „okienko transferowe”, gdy decyduje się, którzy aktorzy zostają w danym teatrze, a którzy zmieniają pracę. Sezony teatralne obecnie zaś liczy się od września do czerwca, z letnią przerwą pomiędzy. To z kolei tradycja tak długa jak polska niepodległość po 1918 r., ustabilizowała się w okolicach dwudziestolecia międzywojennego, a odtwarza rytm życia miasta, którego elity lato zwykle spędzały na letniskach, i rytm roku akademickiego.

Dziś spadek frekwencji w teatrach zaczyna się już w maju, wyraźny jest

w czerwcu, a także we wrześniu, i związany jest z pogodą. – W teatrze, a zaliczam już czwarty, kiedy zaczyna się robić ciepło, gruntownie spada liczba widzów – tłumaczy Paweł Łysak, świeży dyrektor Teatru im. Jaracza w Łodzi, przywołując swoje doświadczenia dyrekcji w Poznaniu, Bydgoszczy i Warszawie. – Pracowałem w kilku teatrach i wszędzie tak było – potwierdza Paweł Dobrowolski, dyrektor Teatru im. Jaracza w Olsztynie, wcześniej m.in. w Teatrze im. Kochanowskiego w Opolu. – Ale to nie znaczy, że spada do zera. My to staramy się obejść sposobem: w maju i czerwcu na dużej scenie gramy lżejszy repertuar i bajki, bo szkoły po wystawieniu ocen mają wolny czas i chętnie przyjdą. W tym roku w czerwcu sprzedaliśmy tak sześć spektakli po 400 osób na każdym. I dorzucam: – Lato to nie jest czas na granie dużych widowiskowych spektakli, ale na te kameralne zawsze się uzbiera widownia.

Tu jednak wkracza powód drugi: letniej pauzy teatrów: prawo pracy. Etatowym pracownikom teatru przysługuje, jak wszystkim zatrudnionym na umowę o pracę, 26-dniowy urlop i prawo do odbioru wolnych dni za pracę w weekendy. W ciągu sezonu, gdy machina teatru jest rozpędzona, trudno wyłączać z niej pracowników, zwłaszcza technicznych, którzy są potrzebni przy każdym tytule i pokazie. – Polskie teatry są niedoinwestowane, co przekłada się też na niskie zatrudnienie. To powoduje większe obciążenie pracą, która w dodatku w teatrze trwa sześć dni w tygodniu, z wolnymi poniedziałkami. Obowiązuje nas roczny czas rozliczenia pracy, w tym systemie rozlicza się te powstałe nadgodziny, a braki w zatrudnieniu powodują, że ludzie mają dużo dni do odebrania i wakacje ledwo starczą, żeby im je oddać – tłumaczy Paweł Łysak.

Nie znaczy to, że w czasie przerwy wakacyjnej teatry próżnują: przeprowadzają drobniejsze remonty, robią gruntowne porządki i przygotowują repertuar na nowy sezon.

Z widzami na leżakach

– Jako dyrektor Teatru Wybrzeże w Gdańsku zainicjowałem granie do połowy sierpnia, nie graliśmy za to w maju, bo wtedy jest zawsze spadek frekwencji. To była odpowiedź na napływ turystów latem nad morze i okazała się zniwami dla teatru – mówi Maciej Nowak, dziś dyrektor Teatru Polskiego w Poznaniu. – Rozważałem podobne rozwiązanie w Poznaniu,

ale to miasto nie jest taką destynacją turystyczną jak Gdańsk, latem więcej osób stąd wyjeżdża na urlop, niż przyjeżdża, do tego wielu poznaniaków ma domy w okolicy nad jeziorem, więc miasto latem pustoszeje. W Warszawie jest inaczej, tu turyści są przez cały rok. Za czasów PRL był zwyczaj, że wydział kultury wyznaczał albo teatry się dogadywały i zawsze dwa–trzy miejskie teatry grały w wakacje.

Dziś władze nie narzucają takiego wymogu, jednak takie „dyżurujące” sceny wciąż w stolicy można znaleźć. Od lat Teatr Dramatyczny przez cały lipiec gra na wszystkich scenach przegląd swojego repertuaru. Od niemal dwóch dekad teatry Krystyny Jandy pod hasłem „Gramy całe wakacje” proponują widzom spektakle nie tylko w swoich siedzibach, w Polonii i Och-Teatrze, ale też w plenerze, na pl. Konstytucji i przy Och-Teatrze. Cały rok gra też rozrywkowy Teatr Capitol, ale inne prywatne sceny robią sobie co najmniej miesiąc wolnego: Scena Buffo od 13 lipca do 20 sierpnia, Teatr 6. piętro od 11 lipca do 19 sierpnia.

Gdańskie Wybrzeże rozwinęło pomysł dyrektora Nowaka i gra przez całe wakacje na wszystkich scenach: w Gdańsku, Sopocie i na Scenie Letniej w Pruszczu Gdańskim. Hasło reklamowe: „Lato nad morzem? Zostań naszą drama queen!”. Teatr Miejski w Gdyni gra do 17 sierpnia na Scenie Letniej przy plaży w Orłowie (repertuar komediowy i śpiewany, m.in. świeżą premierę „Na ziemię! Czyli szal niebieskich ciał” Szymona Jachimka i Rafała Szumskiego reklamowaną: „Przygotowaliśmy wieczór pełen przygód, muzyki, śmiechu i teorii spiskowych. Przyjdźcie – będzie kosmos”) oraz pod pokładem „Daru Pomorza” (morskie opowieści, m.in. „Jądro ciemności” Conrada czy „Żeglarz” Szaniawskiego). Po drugiej zaś stronie mapy Teatr im. Witkacego w Zakopanem zaprasza na spektakle od 18 lipca do końca sierpnia.

W turystycznym Krakowie nowohucki Teatr Ludowy w sierpniu gra kameralne spektakle na Scenie Pod Ratuszem, na krakowskim Rynku, a Teatr Bagatela z urlopu wraca szybko, bo już 17 lipca. Także w lipcu nowohucki Teatr Łąźnia Nowa zaprasza na Bulwar[t] Sztuki. „Stawiamy na relaks i bez troskę, baśniową wyobraźnię najmłodszych, śmiech i sąsiedzkie rozmowy” – zachęcają do udziału. W Słupsku Teatr im. Witkacego w sierpniowe weekendy w ramach sponsorowanego ►

► cyklu „Lato z dobrą energią” zaprezentuje „najzabawniejsze spektakle muzyczne ostatnich sezonów”: „Nasz mały PRL” w reż. Moniki Janik-Hussakowskiej i „Jesteś szalona” w reż. Tomasza Mana, na pełnerowej scenie na teatralnym podwórku, z widzami na leżakach.

Łódzki Teatr Powszechny zwykle grał przez cały lipiec, obowiązywały wtedy niższe, wakacyjne ceny biletów.



Słupski Teatr im. Witkacego zaprasza w sierpniu na cykl „Lato z dobrą energią”, w ramach którego można będzie obejrzeć m.in. spektakl „Nasz mały PRL”

– Kilkadziesiąt przedstawień na dwóch scenach, przy pełnych widowniach – opowiada Ewa Pilawska, dyrektorka Powszechnego. – Stopniowo wytyczaliśmy ten rytm, uczyliśmy się tego razem z publicznością, obecnie wielu widzów czeka na ten czas, bo wtedy nadrabia teatralne zaległości z całego sezonu. Na marginesie chciałabym dodać, że to nie jest tak, że teatrowi takiemu jak nasz jest łatwiej, ponieważ jesteśmy teatrem komediowym. Nasze komedie to w większości prapremiery, sztuki, których prezentacja obarczona jest ogromnym ryzykiem artystycznym. Dlatego zawsze podkreślam, że najważniejsza jest jakość, a nie gatunek. W tym roku kończą wcześniej, ponieważ teatr idzie do gruntownego remontu, a po wakacjach będzie grał w siedzibie zastępczej.

Teatr Jaracza w Olsztynie zaś w czerwcu i sierpniu gra wyjazdowo, w plenerze, w ramach festiwalu Teatr Jaracza w Zabytkach Warmii i Mazur. – To jest też realizowanie naszej statutowej działalności, bo jesteśmy teatrem marszałkowskim

i powinniśmy grać część spektakli wyjazdowo, w województwie. W ciągu roku trudno to robić, bo jeden spektakl w terenie odbywa się kosztem rezygnacji z dwóch w siedzibie, więc korzystamy z sezonu ogórkowego – tłumaczy dyrektor sceny Paweł Dobrowolski. – Mamy już wypracowane kontakty z ośrodkami w Węgorzewie, Sztynorcie, Ełku, spektakle są atrakcją i dla mieszkańców, i dla letników. Przyjeżdżamy oklejoną

teatralnym logo ciężarówką, co jest też reklamą zachęcającą widzów do przyjazdu w sezonie do siedziby teatru. W tym roku tych pokazów organizujemy 14, każdy ogląda po kilkaset osób.

Mniej konwencjonalnie

Nie wszystkie miasta mają potencjał turystyczny, a samorządy nie są z reguły skore do dodatkowego dotowania teatrów w ich czasie wolnym. Paweł Łysak, przez 11 lat dyrektor Teatru Powszechnego w Warszawie, wspomina: – Przez siedem lat prowadziliśmy „Otwartą Ząbkowską” w ramach Festiwalu Miasto Szczęśliwe, graliśmy przedstawienia na Ząbkowskiej co weekend, zawalaliśmy urlopy pracowników, ale dostawali za to dodatkowe pieniądze z miejskiego programu rewitalizacji Pragi, i tam co roku było kilkanaście tysięcy widzów. Zrobiliśmy też „Park – operę” Wojtka Blecharza w parku Skaryszewskim. Teatry mogłyby rozszerzyć ofertę o mniej konwencjonalne widowiska, gdyby miasto znalazło na to środki.

W ostatnich latach to jednak nie przerwy wakacyjne były problemem teatromanów. Coraz częściej zamknięte drzwi i zgaszone światła witały ich w sezonie. Powodem była szalejąca inflacja i wzrost kosztów, także pracy, które drenowały budżety teatrów.

– Teatry grają tyle, ile mają grać, bo każdy dyrektor ma określoną liczbę spektakli w sezonie wpisaną do swojej umowy z miastem i musi się z tego rozliczyć. W momencie gdy nie zostały podniesione dotacje, a zaczęła się inflacja, w niektórych teatrach zmniejszono w uzgodnieniu z miastem liczbę granych spektakli – przyznaje Łysak. I dodaje: – Teraz miasto stara się je zwiększyć.

W teatrach z bardziej wymagającym, ambitniejszym repertuarem, ale też w tych z małymi widowniami, wpływy z biletów nie zawsze pokrywają koszty zagrania spektaklu. A teraz jest jeszcze trudniej, bo od kilku lat honoraria aktorów za spektakle rosną, co jest odpowiedzią na inflację, a w części też na zmniejszoną liczbę spektakli. Cen biletów zaś nie można nadmiernie windować, bo teatr publiczny powinien być dostępny. W takim przypadku granie w wakacje to dodatkowe, nieprzewidziane koszty. – Większość problemów rozwiązałoby zwiększenie nakładów na teatry. Budżet przeciętnego teatru niemieckiego jest 7–10 razy większy niż polskiego, a różnice w cenach czy płacach aż takie duże nie są – podsumowuje Łysak.

Teatry rozmawiają z samorządami o zwiększeniu dotacji, a na własną rękę wypróbują nowe strategie przyciągania widzów w sezonie. Inwestują w dostępność, ostatnio instalują pętle indukcyjne pozwalające osobom niedosłyszącym, używającym aparatów słuchowych, lepiej słyszeć aktorów. Premiery organizują w środku tygodnia, żeby ożywić i oswoić ten najmniej popularny teatralny termin. Do lamusa odchodzi święta godz. 19, o której do niedawna zwyczajowo rozpoczynały się w Polsce spektakle, przynajmniej te dla widzów dorosłych. Teatry posłuchały widzów i w weekendy proponują spektakle poobiednie (albo przedimprezowe): o godz. 16, 17 czy 18. Robią furorę. A w Olsztynie zauważyli, że przyciągają też warszawiaków: można przyjechać rano, spędzić dzień w mieście i nad jeziorem, o godz. 17 pójść na spektakl i wrócić pociągami o 19.30. Pomysły marketingowe są, chętni widzowie też, oby były też pieniądze. We wrześniu startuje nowy sezon.

ANETA KYZIOŁ

POSZERZAMY HORYZONTY



Naukowe miesięczniki **POLITYKI**



Lipcowe numery
już w kioskach
i na
sklep.polityka.pl

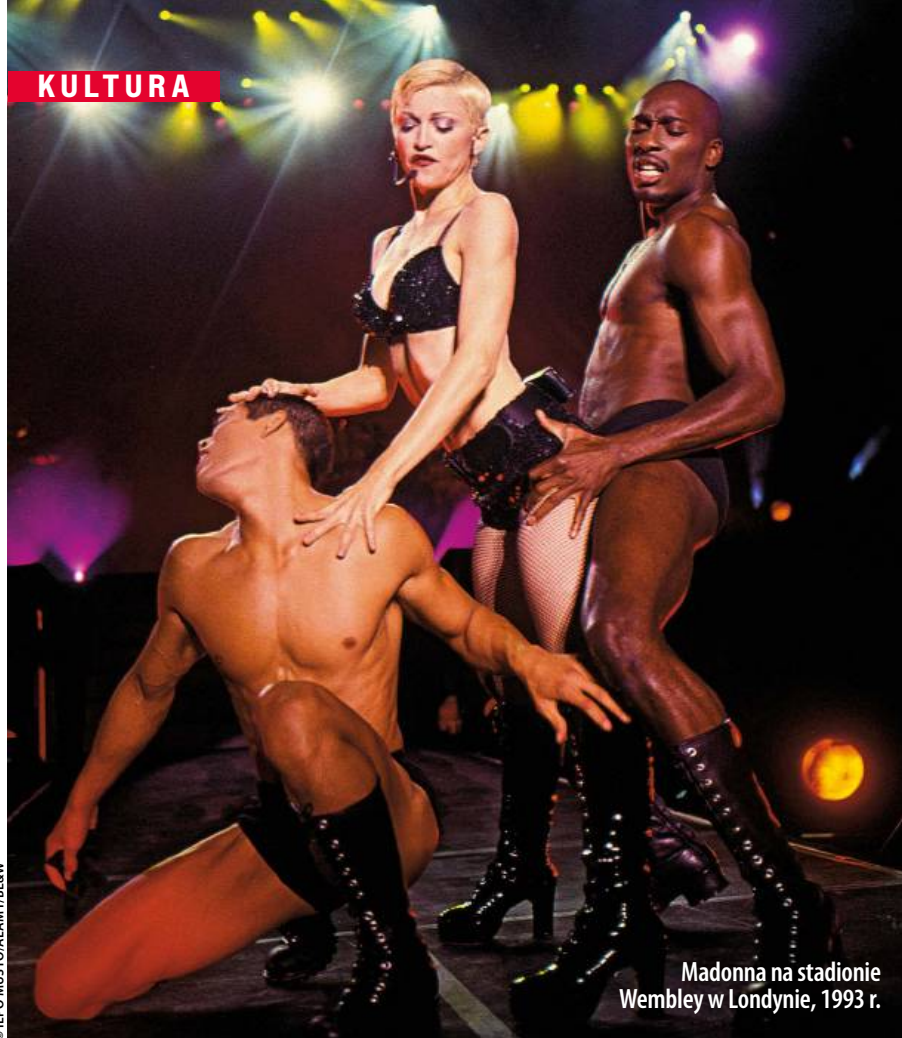


Prenumerata
cyfrowa
obu tytułów:
projektpulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7





Madonna na stadionie Wembley w Londynie, 1993 r.

Tresura masowa

Jedna z najgłośniejszych książek sezonu mówi o tym, jak popkultura ostatniego ćwierćwiecza ukształtowała świat antyfeministyczny i traktujący seks jako walutę.

BARTEK CHACIŃSKI

Dokładnie 20 lat temu raper Snoop Dogg na gdyńskim festiwalu Open'er wystąpił jako sutener. Cały skwer Kościuszki oklaskiwał jego show rozpoczynający się od utworu „P.I.M.P.” z repertuaru innego gangsta rapera 50 Centa. Tytuł oznacza właśnie sutenera, ale też postawę gwiazdora o takim statusie, że otacza go wianuszek dziewczyn: młodych, nie całkiem ubranych i gotowych na wszystko. Popularny do dziś raper i producent przyjechał wtedy do nas także jako świeżo upieczony współtwórca serii filmów pornograficznych firmy Hustler „Snoop Dogg’s Doggystyle” i „Snoop

Dogg’s Hustlaz”, w których występował w roli autora muzyki, scenarzysty, reżysera, a przede wszystkim – człowieka firmującego cykl i zdobywającego kolejne branżowe nagrody Adult Video News.

Dziś Snoop Dogg jest twarzą igrzysk olimpijskich: towarzyszył jako główny bohater przekazaniu organizacyjnej pałeczki z Paryża do Los Angeles, inkasując za to – jak donoszono – ok. 9 mln dol. Na plaży w Santa Monica wykonał dla globalnej publiczności utwór w duecie z oskarżanym wielokrotnie o przemoc wobec kobiet (i tłumaczącym to „błędami młodości”) Dr. Dre. A zatrudniały go w tej roli dwie burmistrzynie, bo tak się

składa, że władzę w obu miastach sprawują kobiety.

Tego akurat przypadku nie opisała Sophie Gilbert w swojej wydanej przed miesiącem książce „Girl On Girl. How Pop Culture Turned a Generation of Women Against Themselves” (dosł. „Dziewczyna przeciw dziewczynie. Jak popkultura zwróciła pokolenie kobiet przeciwko sobie”). Ale nikt dotąd lepiej niż zdobywczyni National Magazine Award, finalistka Pulitzera, publicystka „The Atlantic”, nie wyjaśnił procesów, które do takich paradoksalnych sytuacji doprowadziły.

To tylko porno

Gilbert w swojej książce wraca do mnóstwa znaczących scen z najnowszej historii popkultury. Snoop Dogg też się tu pojawia: wchodzący na galę nagród MTV w 2003 r. z dwiema dziewczynami w obrożach i na smyczach. Wątek mariażu hip-hopu z przemysłem filmów dla dorosłych autorka pokazuje obszernie. „Dominacja porno w popkulturze przyszła niczym bankructwo w słynnym opisie Ernesta Hemingwaya: najpierw stopniowo, a później nagle” – konstatuje relacjonując, w jaki sposób estetyka porno zmieniała na początku XXI w. świat mody i telewizyjnych reality shows. Śledzi przypadki napastowania seksualnego przez raperów oskarżanych o mizoginię i sesje fotografów, którym później postawiono zarzuty.

W 2004 r. Terry’emu Richardsonowi – czołowemu fotografowi przełomu wieków – Taschen opublikował w formule *coffee table book* luksusowy album „Terryworld” czyniący z porno formę sztuki. A jego autor w przerwach między sesjami ważnych i znanych (fotografował wtedy m.in. Baracka Obamę, jeszcze jako senatora) oraz reżyserowaniem klipów pouczał przyszłe modelki: „Nieważne, kogo znacie, ważne, komu obciągacie. Nie bez kozery mam suwak w jeansach”. Koncern prasowy Condé Nast zakończył współpracę z Richardsonem dopiero w 2017 r. – jak przypomina Gilbert – trzy lata po dobrze udokumentowanych zarzutach współpracujących z nim modelek.

Kulminacją „kultury gwałtu”, jak ją później nazywano, były wydarzenia w rodzaju powtórki festiwalu Woodstock z 1999 r., kiedy młoda, biała, choć wychowana już na rapie i zespołach pokroju Limp Bizkit czy Korn, publiczność zakończyła imprezę aktami anarchii i powszechnej agresji, a refrenem skandowanym na koncertach było

„pokaż ccyki”. Gilbert interesuje to w równym stopniu co tendencje kultury nieco mniej masowej. Przypomina, że fascynacja porno z przełomu wieków zmieniała także kino autorskie: Lars von Trier, Gaspar Noé i François Ozon kręcili filmy przełamujące wszelkie tabu związane z erotyką. A nową gwiazdą przemysłu porno początku wieku została Sasha Grey – młoda (rozpoczęła karierę tuż po 18. urodzinach) aktorka, która przekraczała granice tego, na co zgadzały się starsze koleżanki, a przy tym popisywała się erudycją i opowiadała w wywiadach, jak to grane przez nią sceny mają przekonać dziewczyny, że „bycie zdzirą jest w porządku”. To współbrzmiało z przypominanym przez Gilbert, dość sprzecznym wewnętrznie przekazem płynącym z pornografii już od lat 70., od czasów „Głębokiego gardła”: że kobieta jest najbardziej wyzwolona na kolanach.

Oczywiście zamiast zainspirować kobiety do wolności, filmy Grey – zauważa Sophie Gilbert – zachęcały tylko mężczyzn do bardziej przemocowych zachowań. To z kolei ukształtowało eksplodującą właśnie internetową pornografię, z serwisem Pornhub (już w 2013 r. osiągnął miliard użytkowników miesięcznie) na czele. „Badanie z 2010 r. (...) wykazało, że jakiś rodzaj fizycznej agresji pojawiał się w 88 proc. popularnych scen z filmów porno” – notuje autorka „Girl On Girl”. Warunki pracy w branży zmieniły wprawdzie nowe możliwości – indywidualna praca z kamerkami, serwis Only Fans czy pornografia generowana przez AI – ale nie zmieniło się jedno: niezależnie od tego, czy przynosi przychód od razu, czy tylko popularność, którą można spieniężyć później, seks ma być walutą.

Wartość dziewczyny

Przewrotność sytuacji polega na tym, że tę kulturę przełomu wieków ukształtowały w dużej mierze same kobiety. Choćby Madonna, której kontrowersyjny album „Sex” w 1992 r. wprowadził do księgarń bardzo ryzykowne erotycznie zdjęcia wykorzystujące sadomasochistyczną estetykę. Miało to być wyzwalające, a okazało się bronią obosieczną: „Po Madonnie łatwiej było uznać pornografię za formę sztuki” – notuje Gilbert. Podobnie było z „Made in Heaven”, głośną na początku lat 90. serią prac pokazujących sceny seksu cenionego artysty Jeffa Koonsa z jego ówczesną żoną Iloną Staller, bardziej znaną jako Cicciolina – była aktorką porno i parlamentarzystką.

Lata 90., które rozpoczęły się dla amerykańskiego feminizmu dynamicznie – nadawał im ton punkowy ruch Riot Grrrl oraz prawdziwy wysyp samodzielnych artystek i autorek piosenek poruszających trudne kobiece tematy – kończyły się rodzajem napompowanego komercyjnego oszustwa, czyli m.in. sukcesem dziewczęcej grupy popowej Spice Girls.

Ta wersja *girl power*, którą zaproponowały Spice Girls, była – jak pisze Gilbert – przeformowana jak plastelina i chodziło w niej raczej o zgrabną formę neutralizacji feminizmu. Albo raczej podmienienia oryginału taką alternatywą, która nie krzyczy o żadną poważną polityczną czy społeczną zmianę, tylko buduje zachowania konsumenckie. Celem było oblepienie kontraktami Spice Girls niczym słupa reklamowego i sprawienie, że hasło *girl power* kojarzyło się dorastającym dziewczynom z Pepsi, Polaroidem, Cadbury’s, Chupa Chups i Hasbro. Debiutancki singiel i wielki przebój „Wannabe” ukazał się w lipcu 1996 r. „A do końca 1997 r. dziewczyny wspólnie zarobiły pół miliarda dolarów wyłącznie z kontraktów reklamowych” – zauważa autorka książki.

Gilbert wprowadza tu wątki osobiste: „Zaczęłam tę książkę od roku 1999, bo wtedy skończyłam 16 lat i dużo wtedy myślałam o kobiecości, o przyszłości, o nowym mileniu. A zarazem z mediów dowiadywałam się, co wyznacza moją wartość jako nastoletniej dziewczyny”. Co zobaczyła w 1999 r.? Okładkę „Rolling Stone’a” z Britney Spears w czarnej bieliźnie na różowej pościeli jako rozerotyzowaną nastolatkę. W pozie ta Britney przypominała wyświetlany w kinach film „American Beauty”, późniejszego zdobywcę pięciu Oscarów. Film opowiadał historię mężczyzny w kryzysie wieku średniego, zafiksowanego erotycznie na najlepszej przyjaciółce swojej córki.

W tym samym roku do kin weszła pierwsza część serii „American Pie”, rozpoczynając zdaniem Gilbert „złotą erę młodzieżowej komedii erotycznej”.

Jedna z gwiazd gatunku Anna Faris (znana z ról m.in. w serii „Straszny film”) w późniejszym wywiadzie dla „New Yorkera” twierdziła, że „te role zepsuły całe pokolenie chłopaków”. Gilbert zauważa, że ich bohaterowie odpowiadali późniejszej figurze incela, czyli kogoś, kto uważa, że seks mu się należy, tylko kobiety go tego prawa pozbawiają.

Insta i gangsta

Mechanizm działania kultury masowej, który opisuje Gilbert, odtwarza się cyklicznie. Kiedy w ostatnich latach przeważają argumenty równościowe i zwycięża ruch MeToo, cała para idzie w przemysł beauty, również ukształtowany przez kobiety. Choćby Kim Kardashian, 44-letnią dziś modelkę i celebrytkę, której wygląd zmieniał się wraz z trendami w social mediach. „W krainie Kardashianek ciało wydaje się nieskończenie formowalne” – zauważa Gilbert. Najpierw powiększa sobie pośladki w najszybciej rozpowszechniającym się nowym zabiegu chirurgii plastycznej, a później nagle chudnie, kiedy musi się zmieścić w sukni Marilyn Monroe podczas słynnej Met Gala. I zrzuca błyskawicznie niemal 10 kg, co wywołuje plotki o zażywaniu Ozempicu. Przy tym wszystkim nie zdradza oznak starzenia się. Bo Kardashian ma – tu autorka przywołuje określenie użyte przez dziennikarkę „New Yorkera” Jię Tolentino – „instagramową twarz”, czyli oblicze cyborga przekraczające granice rasy, wieku i pochodzenia. Ten efekt można uzyskać za pomocą makijażu, filtrów czy skalpela, ale metoda jest drugorzędna. Ważne, jak się wygląda w sieci.

Od początku nowego wieku błyskawicznie rośnie liczba wykonywanych w USA zabiegów medycyny estetycznej. Wielkie bizneswomen nowej ery (oczywiście wraz ze sztabami mężczyzn) sprzedają więc dziewczynom wizję ich samych i zestaw służących do jej kreowania produktów: Sheryl Sandberg, szefowa operacyjna koncernu Meta – Instagram, a Kardashianki jako influencerki – produkty beauty wątpliwej jakości. Jednocześnie niemożliwe wydaje się w USA polityczne zwycięstwo kobiety w wyścigu prezydenckim. Wychodząc od sprawy hejtu na żeńską obsadę nowej adaptacji „Pogromców duchów” z 2016 r. i trwające jednocześnie wybory (przegrane przez Hillary Clinton), Gilbert zauważa, że jeśli Amerykanie nie są gotowi powierzyć kobiecie prowadzenia fikcyjnej grupy tropiącej duchy, to jak mieliby jej powierzyć kontrolę nad kodami nuklearnymi?

Zupełnie przy okazji udziela odpowiedzi na inne polityczne pytania, choćby o to, dlaczego w przypadku mężczyzn trudna przeszłość, kontakty ze środowiskiem gangsterskim czy sutenerskim tym samym wyborcom nie przeszkadzają. ■



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna

Kuby Wojewódzkiego

Krzysztof Ibisz świętuje swoje 27. urodziny w kampanii reklamowej niemieckiej sieci sklepów budowlanych OBI. Niemcy weszli do Polski w 1970 r. Wcześniej były Czechy i Austria. Tradycyjnie.

• Pogodynek DDTVN Bartek Jędrzejak poinformował obywateli, że LOT zgubił mu bagaż na trasie Kraków-Warszawa. Napisali o tym wszyscy. To aktualnie jeden z najmocniejszych punktów w jego CV.

• Filip Chajzer pokazał nogi w skarpetach na Helu: „Pan prawie prezydent powtarza, że planeta płonie. No to chyba wszędzie, tylko nietu”. Filip, pogoda a klimat to dwie różne rzeczy. Jak kebab zawinięty i kręcony.

• Łukasz Schreiber, jak przystało na polityka prawnicy, zaraz po rozwodzie oświadczył się nowej partnerce, i to „na zawsze”. Na zawsze – to ważne święto w Kościele. Niezakazane i ruchome.

• Prof. Radosław Markowski powiedział o Szymonie Hołowni, że ma potencjał „mężusia stanu”. Według słownika „mężuś” to zdrobnienie od kogoś, kogo nawet Kosiniak-Kamysz nie chce.

• W mediach gruchnęła wiadomość, że nową edycję programu „Idź na całość” może poprowadzić Norbi. To dobry pomysł. Uczestnicy programu są jak słuchacze Norbiego. Kupują kota w worku.

Maciej Stuhr, znany jako młody Stuhr i ojciec młodego Stuhra, skończył właśnie 50 lat. Ta familia to fenomen. W byciu młodym Stuhrem każdy ma kartę stałego klienta.

• „Sylwia Bomba poleciała do Bukaresztu i już pożałowała” – to wiadomość z Plotek.pl. Norwidowi zarzucano nieudolność artystyczną i brak spójności. Przy talencie Bomby nie popełnimy już tego błędu.



Danuta Holecka z TV Republika dostała Nagrodę Główną Wolności Słowa Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Jak mawiała moja babcia: upadek jest formą lotu.

• „Forbes” umieścił Katarzynę Cichopek na 9. miejscu w rankingu 100 najbardziej wpływowych marek osobistych w Polsce. Od momentu, w którym ja pojawiłem się na okładce „Forbesa”, nie ufam tej marce.

• Sandra Kubicka i Baron odwołali rozwód. „Pracujemy nad związkiem i jest lepiej niż kiedykolwiek”. Odwoływanie rozwodu jest jak zapinanie pasów, gdy auto jest już na złomowisku. Ciekawe, ale nieskuteczne.

• Prezes PZPN Cezary Kulesza został sfotografowany za kierownicą Mercedesa GLS. I to jest jedyna rzecz, która łączy nas z niemiecką piłką.

• Wszyscy piszą o Sławoszu Uznańskim-Wiśniewskim, to ja też. Jak wróci z kosmosu, jego pensja wzrośnie do 40 tys. zł miesięcznie. Jak się informacja rozniesie, to, Houston, będziecie mieli problem.

• Krzysztof Gojdz zdemaskował USA: „Dla administracji Trumpa jest to pokaz siły i demonstracja przewagi militarnej”. Ciekawe. Znam takich, którzy myślą, że „Miodowe lata” to nazwa diety.

• W RMF pojawi się audycja Justyny Steczkowskiej pt. „Diva w kapciach”, w której wokalistka przedstawi swoje domowe oblicze. Dobry pomysł. Może znajdzie tam słownik, żeby dobrze zrozumieć tytuł.

Jakub Porada, dziennikarz znany z TVN24, został ojcem syna Teosia. W wieku 55 lat. Nic spektakularnego. Al Pacino w tym wieku czekał na narodziny swojej aktualnej partnerki.



Niewesołe miasteczko

Bywam hostessą na jachtach: gotuję, robię drinki, sprzątam toalety. Jakiś czas temu przyglądałam się klientom, którzy wynajęli łódkę, żeby popłynąć na elitarny festiwal. Miałam wrażenie, jakby cała okolica stała się parkiem rozrywki dla tych, którzy kupili sobie takie festiwalowe doświadczenie. Mieszkańcy salwowali się ucieczką. Z pewnością usłyszeli od lokalnych władz, że można przecierpieć kilka dni niewygód, bo to pieniądze dla regionu.

Tak przecież argumentował burmistrz Luigi Brugnaro, kiedy dziennikarze pytali, czy nie jest zaniepokojony, że ślub Jeffa Bezosa z dziennikarką telewizyjną Lauren Sánchez powiększy dodatkowo problem nadmiernej turystyki w Wenecji. Ostatecznie Bezos wpłacił do miejskiej kasy 3 mln euro darowizny. Burmistrz z oburzeniem odnosił się do protestujących aktywistów i ekologów oraz dziękował młodej parze za hojność.

Owszem, za taką sumę można naprawić szkody, jakoś zamortyzować ślad węglowy i ocalić kilka fresków, ale są też konsekwencje, których żadne pieniądze nie cofną. Chodzi o „ślad narracyjny”. Jaki przekaz poszedł w świat? Ano taki, że jeśli sowicie posmarujesz, to nawet najpiękniejsze, najbardziej wyjątkowe miejsca globu mogą zostać wykorzystane przez bogaczy jako tło ich kaprysów i zabaw.

Czy to antyczne ruiny, czy renesansowe miasto, czy rezerwat w dżungli – wszystko może stać się lunaparkiem.

Celebryci się bawią i my też. Tylko że oni – naszym kosztem. W tanecznym rytmie z uśmiechami na ustach niszczą świat.

Luna Park, od którego nazwy powstało to słowo, powstał w Nowym Jorku na Coney Island w początkach XX w., inspirowany ówczesnymi wyobrażeniami o księżycowym krajobrazie. Taki Księżyc dla każdego w zasięgu ręki, większość atrakcji była dostępna za 50 centów.

Dzisiejsze lunaparki dla bogaczy są przeciwieństwem tej fantazji: dostać się tam trudno, wstęp uwarunkowany jest koneksjami, pozycją oraz zasobnością portfela. Rozrywki najbogatszych nie odbiegają jednak wcale od ludycznych uciech tych, których bawiły szybkie kolejki czy zjeżdżalnie w Luna Parku. Prasa donosiła, że państwo młodzi i goście bawili się na „piana party” i „pidżama party”, a ich stroje przypominały kostiumy na bal przebierańców. Zaproszenie na ślub wyglądało niczym pocztówka ze sklepu z suvenirami: spadające gwiazdy, most Rialto i motylki. Kasa duża, ale rozrywka nadal tania, tyle że strojna w piórka wyrafinowania.

Suknia Sánchez projektu Dolce & Gabbana podobno inspirowana była stylem Sofii Loren, ale na okładce amerykańskiego „Vogue’a” wygląda jak „beza” ze sklepu na przedmieściach. Sylwetki i twarze zaproszonych gości są tak wyciosane przez Ozempic i chirurgię plastyczną, że ich wygląd zamiast zachwycać, niepokoi. Jedno z przyjęć weselnych było inspirowane powieścią „Wielki Gatsby”, czytana chyba bez zrozumienia. Jej gorycz i tragizm bohatera, który wie, że ten blichtr naprawdę nie ma znaczenia, zdają się uchodzić uwadze. Tu ważne są jedynie efektowne dekoracje. Zabawę traktuje się w tym kręgu śmiertelnie poważnie – musimy pokazać, że bawimy się najlepiej, a cały świat ma oglądać i zazdrościć.

A ci bez kasy? To jedynie widownia oddzielona szpalerem fotografów albo podglądająca w internecie. Celebryci zaś karmią się uwagą – niezależnie od tego, czy jest przyjazna, czy nie. Ich zabawa to nasze dzisiejsze dostępne lunaparki za grosze. Oni się bawią i my też. Tylko że oni – naszym kosztem. Gapimy się, a oni w tanecznym rytmie, z uśmiechami na ustach, przyjęcie za przyjęciem, ekscjes za ekscjesem niszczą świat.

Jean Baudrillard, francuski filozof i socjolog, stworzył pojęcie symulakrum, które tłumaczył na przykładzie Disneylandu. Jeśli jest świat i jest Disneyland, to wszystko jasne: jest prawda i jest iluzja. Jeśli świat jest Disneylandem, a Disneyland światem, to też łatwo – w istocie iluzja jest prawdą. A symulakrum to Disneyland, który udaje, że odpowiada na jakiś świat, ale tego świata nie ma. Istnieje tylko kopia bez oryginału. Zabawa Bezosa i jego lubej to poważna sprawa. Z tego lunaparku nie ma wyjścia, nawet przez sklep z pamiątkami.

Trudno nie wspomnieć w tym kontekście o pracy Banksy’ego „Dismaland”, co można tłumaczyć jako „Posępny Park Rozrywki”. Taki jest właśnie Disneyland bogaczy, ale nie jesteśmy w stanie tego zauważyć. Po remontowaniu swojego miasteczka Banksy przekazał materiały, które posłużyły do jego budowy, schronisku dla osób w kryzysie bezdomności.

Bezos zapłacił Wenecji krocie za milczącą zgodę na jego bajkę, ale dzięki protestującym z No Space For Bezos weselnicy zrezygnowali z przyjęcia w XVI-wiecznym centrum miasta, a jachty nie mogły wpłynąć do weneckiego portu. Realny sprzeciw z konkretnym rezultatem. To niewielkie zmiany, na pewno nie są w stanie zatrzeć „śladu narracyjnego” możliwych tego świata. Ale, jak powiedziała Ursula Le Guin, władza królów też wydawała się niegdyś jedyną zasadą rzeczywistości. Oligarchowie mogą się tarzać teraz w pianie i pieniądzu, ale warto pamiętać, że Maria Antonina na szeszlunku w Wersalu też raczej nie spodziewała się nagłej zmiany narracji.

KAROLINA SULEJ



Pole truskawek

Dzień był wyjątkowo upalny, burzowy. Uczciwie przyznaję, że zostałam ostrzeżona – alert RCB wpadł mi na telefon grubo przed południem. Gdybym go posłuchała i została w domu, oddając się zabezpieczeniu przedmiotów na balkonie oraz ładowaniu powerbanków, nigdy nie usłyszałabym tego chłopca. Ale trochę nie było wyjścia – nasz kot miał umówioną wizytę kontrolną po zabiegu stomatologicznym, więc zawiozłyśmy go z żoną do lecznicy. A potem, podrzuciwszy Michasia z powrotem do domu i uraczywszy go smaczkami, wybrałyśmy się na lody. W końcu opiekunkom też należy się rekompensata za straty moralne poniesione wskutek napiętych relacji futrzastego pacjenta z medycyną. Zwłaszcza w taki upał.

Po drodze do lodziarni przystanęłyśmy jeszcze na sefie przy klombie, na którym rósł bambusowy gąszcz i spektakularnie kwitła juka, i dziwowałyśmy się głośno, do czego to doszło z globalnym ociepleniem na Mazowszu. Parę chwil później siedziałyśmy już przy stoliku, oblizując chłód o smaku wanilii bez cukru oraz sorbetu z gorzkiej czekolady wylewający się z naszych różków. Rozmawiałyśmy o tym, jak nam minął dzień, aż przyszedł ten moment, kiedy żadna z nas niczego nie mówiła.

I w tej luce, w tym bąblu ciszy, moich uszu dobiegł głos. „Zabrali nam nasze miasta i zabili 150 tys. Polaków, w tym moją babcię. Niemcy nas przeprasili, a oni nie” – pero-

Pomyślałam, że ktoś taki mógłby donieść na własnych rodziców. Jego matka chyba też to czuła.

rował jakiś chłopiec za moimi plecami. Niezachwiana pewność siebie upiornie kontrastowała z wiekiem mówcy i ciężarem gatunkowym złożonej historycznej materii, do której się odnosił. Głosu matki nie było słychać, ale polemiczny styl kolejnych fraz wyrzucanych przez chłopięce usta sugerował, że przynajmniej próbowała stawiać opór jego „żelaznej logice”. Musiała wspomnieć chyba coś o toczącej się wojnie, bo mały wystąpił nagle z mową potępiającą prezydenta Zełenskigo i w ten sposób wykpił się od współczucia dla ofiar wojny.

Obejrzałam się, wiedzioną ciekawością, jak wygląda dziecko, które takim tonem mówi takie rzeczy. Jego matka złapała mój wzrok. Chłopiec – dorodny, dobrze odżywiony okularnik – miał ok. 11 lat. Ubrany był w koszulkę bramkarza reprezentacji Polski, ze znanym nazwiskiem i numerem jeden. Ciekawe, że nie wybrał sobie napastnika czy pomocnika, tylko właśnie bramkarza – kogoś,

kto zamyka dostęp, zapobiega wtargnięciu czegoś obcego do wnętrza. I ta jedynka – pierwszeństwo, górowanie.

Pomyślałam, a raczej poczułam, że chłopcy z Hitlerjugend i Pawko Morozow musieli brzmieć tak jak on. Ktoś taki mógłby donieść na własnych rodziców. Jego matka chyba też to czuła. Słabość jej reakcji zdawała się wynikać z bezradności albo zawstydy, albo obu przyczyn naraz. Sprawiała wrażenie, jakby uważała tę walkę za przegraną. Jakby się wewnętrznie przed synem cofała. Zdecydowanie nie od niej zaraził się antyukraińskim nacjonalizmem. Może od ojca. Bo że od kogoś z rodziny, wskazywała na to wzmianka o babci. Czy rzeź wołyńska w rodzinie może być uzasadnieniem dla nienawiści obejmującej cały naród? Bywa nim, jak widać, choć jest to uzasadnienie bałamutne.

Urodzony w Równem tłumacz i eseista Ryszard Przybylski, jeden z najwybitniejszych polskich historyków literatury, ocalał z rzezi wołyńskiej, gdy miał może dwa lata więcej niż chłopiec z lodziarni. Ostrzeżony przez ukraińskich sąsiadów, ukrył się z matką na polu truskawek. Widział odcięte ludzkie ręce, był naocznym świadkiem zbrodni. Koszmarny z truskawkowym polem w roli głównej nękały go jeszcze u kresu życia. Rzeź była jego sprawą, chciał czy nie. Interesował się nią, można rzec, namiętnie. A jednak trauma nie przerodziła się u niego w uogólnioną nienawiść do Ukraińców. Nie zapomniał, że miał wśród nich przyjaciół. Nigdy nie powiedziałby, że Ukraińcy „zabrali nam nasze miasta”. Był prawdziwym człowiekiem „kresów”, nie tylko „polskich”, bo także ukraińskich, żydowskich, niemieckich, czeskich. Rzeź wołyńska nauczyła go jednego – że nacjonalizm jest złem. Każdy, również polski. Polskiego zresztą nie znosił najbardziej. W końcu miał go najbliżej. Co powiedziała by zajądającemu truskawkowe lody chłopcu, który z rzezi wołyńskiej wystrugał sobie dzisiaj kij bejsbolowy do okładania ukraińskich kolegów ze szkoły?

Tego samego dnia gruchnęła wiadomość o wstrzymaniu przez rząd programu „Szkoła dla wszystkich”. Miał pomagać w integracji dzieci z traumą wojenną i doświadczaniem migracji, w większości ukraińskich, choć nie tylko. Polska otrzymała na to pieniądze z Unii Europejskiej. Wiceministra edukacji, która się tym zajmowała, podała się do dymisji. Trudno zrozumieć, dlaczego program został wstrzymany. Potrzebują go zarówno dzieci ukraińskie, jak i polskie, bo integracja zawsze jest procesem dwukierunkowym. Jedne i drugie potrzebują asystentów międzykulturowych, którzy pomogą im się porozumieć na gruncie codzienności. Potrzebujemy tego wszyscy jako społeczeństwo – na wczoraj. Może premier powinien częściej chodzić na lody?

RENATA LIS



Szkoło, moja szkoło!

Najserdeczniej gratuluję wszystkim młodziankom, dziewczętom, paniom nauczycielkom, panom nauczycielom, PT dyrekcjom i innym czcigodnym osobom urzędowym, a nawet samej pani ministrze z okazji wakacyjnej przerwy w szaleństwie zwanym szkołą! Zaiste niemożliwym zjawiskiem jest to upiorne dziecko średniowiecza i oświecenia udające Greka. Im bardziej zagłębiam się w ten mikrokosmos oślisłego oportunisty i obłudy, tym większy ogarnia mnie podziw dla potęgi kulturowego bezwładu i ponadczasowego kołtuństwa, które przez nikogo nie niepokojone pastwią się nad kolejnymi pokoleniami na wpół zbuntowanych, na wpół ogłupiałych, a w końcu słusznie, acz szpetnie zblazowanych dzieci. A wszystko dlatego, że rodzice nie mają co z nimi zrobić w godzinach okołopołudniowych, za to państwo ma taką potrzebę, żeby przekabacić je w posłusznych obywateli i (w razie czego) przykładowych żołnierzy.

W ideę powszechnego szkolnictwa zaangażowali się przewodnicy duchowi nowoczesnego świata: uczeni, społecznicy, liberalni i wielce oświeceni politycy, pedagodzy, a wreszcie uczeni wszech nauk. Ba, nawet księża i pastory pokochali to miejsce, w którym mogą do woli, i to niezbyt często za publiczne pieniądze, paść swoje jagnięta. Szkoła jest jak skamielina przechowująca dawne i nieaktualne już formy kulturowe, stosunki społeczne, przebrzmiałe

Szkoła jest jak skamielina. Upiorne dziecko średniowiecza i oświecenia udające Greka. Jakże ten absurd mógł się wydarzyć?

postacie wiedzy i anachroniczne wyobrażenia o dzieciństwie i wychowaniu. Gdybyż tylko skamielina! Po wierzchu błyszczą i pachną reformami, a w środku trup to pustym zionący oczodołem. Może to ten Litwin, co z nocnej wrócił wycieczki?

Dla jasności: kilka lat po maturze prawie nikt niczego z tego nie pamięta, a jak pamięta, to nie używa. Żadnych tangensów, spinów, orzéseków, praw Ohma, Buczaczków, Kordianów. Nikomu to jednakże nie przeszkadza, bo nie o to chodzi, żeby ludzie wiedzieli, co ma w brzuszku pantofelek, lecz o to, by chodząc do szkoły, spełniali projekty Wielkich Reformatorów, chcących z pospólstwa i gawiedzi uczynić „społeczeństwo obywatelskie”. Nic z tego nie wyszło.

Jakże ten absurd mógł się wydarzyć? Przelećmy sobie przez główne przedmioty, bo za każdym kryje się część szkolnej mitologii i mitomanii. Oto „Język polski”. Wic polega na tym, żeby wymusić na młodzieży czytanie

nacjonalistycznych ramot, których nigdy nie czytałyby z własnej woli i do których nigdy nie powróci. Po co? Kiedyś po to, żeby ugruntować w młodych umysłach ideę narodu, niezłomnego i wiernego, a dziś po to, żeby dawać zatrudnienie rzeszom polonistów, których jako strażników narodowych świętości ruszyć niepodobna. Skutek? Taki, że naród bierze pseudohumanistyczne wymądrzanki za mądrość i uczoność. Podobnie z przedmiotem „Historia”. Tyle że w tym przypadku cel jest czysto polityczny i wciąż aktualny: nakarmić narodową pychę mitami i banialukami, by karna młodzież szła za władzą sztandary dzierżąc. Skutek? Kompletna i beznadziejna nieznajomość i nierozumienie przeszłości przez naród oraz podwyższony poziom gotowości do dawania posłuchu populistom i „narodowcom”.

A przedmioty ścisłe? Już służę. „Matematyka”? Wymyślono, aby jej nauczać powszechnie, nie bacząc na zupełną niemożliwość i beznadziejność tego przedsięwzięcia. Za cały rezultat służy wielka mądrość klas średnich, wyrażająca się w dictum: „Byłem nogą z matematyki, albowiem jestem humanistą”. Czemu więc tak się tę działwę beznadziejnie męczysz? Ano dlatego, że matematyka królową jest nauk, wstępem do wiedzy wszelakiej, a przy okazji dowodem na istnienie Boga, który tak zmyślnie ten świat stworzył, że cały się praw matematycznych słucha. Ścisłe, a metafizyczne. Złote, a skromne.

Czas na „Biologię”. Mówi jeden do drugiego: „Pożycz cewkę Malpighiego”... Ale nie, wcale tu nie o cewki, rzęski i czułki toczyła się sprawa, lecz o to, jak by to działwie powiedzieć, naukowo się przy tym do rzeczy biorąc, skąd się dzieci biorą. W dobie pornografii na wyciągnięcie telefonu została szkoła z kostnoszkieletowymi i błonkoskrzydłymi niczym z kończyną chwytną w nocniku.

Może więc „Fizyka” zda się na coś? Nie zda się, bo taka trudna, że prawie nikt nic nie wie. Zostaje jedynie ogólne wrażenie w narodzie, że Pan Bóg tak świat stworzył, że składa się on z małych kuleczek, które się przyciągają, choć czasem odpychają. Jak to w życiu. A umysł prosty i niewyszukany myśli sobie, że świat cały to ta Ziemia i te gwiazdy na niebie, przeto fizyka jest „o wszystkim”. No, z wyjątkiem Pana Boga, który to „wszystko” tak ładnie urządził.

Dla Pana Boga też musi się znaleźć w szkole miejsce, choć zakład to naukowy. Jak to pogodzić? Mądrze to sobie w XIX w. wymyślono: będzie się w szkole uczyć religii, ale pod pretekstem, że to są nauki umoralniające, a dla równowagi skonstruuje się pewien nadmiar chrześcijaństwa porcją greckich mitów. Wszak my wszyscy z Aten. Biskupi też chętnie na ten układ przystali, bo Ateny wraz z Rzymem dobrze zasłaniają to trzecie, niewygodne trochę miasto, o którym już uczyć nie trzeba. Udanych wakacji!

JAN HARTMAN



Porady dla prezes Manowskiej

Czerwiec mamy piękny, ale zdaniem publicysty Michała Karnowskiego nie powinien nam on przesłaniać faktu, że Donald Tusk, zachęcając do powtórnego przeliczenia głosów w celu poznania prawdziwych wyników wyborów prezydenckich, „uderzył w samo serce polskiego państwa”.

„To jest naprawdę zły człowiek” – ostrzega publicysta i wzywa do powstrzymania premiera, który w nieodpowiedzialnym dążeniu do poznania prawdy utracił wszelkie hamulce. „Jeśli mu się uda, upadnie polska demokracja, a potem upadnie państwo polskie” – prognozuje.

W celu ocalenia polskiego państwa, „cudem odrodzonego po 123 latach zaborów, później znów zmartwychwstałego po krwawej niemieckiej okupacji i półwieczu brutalnego komunizmu”, Karnowski proponuje niezwłoczne utworzenie rządu ocalenia tego państwa. Nie rozstrzyga, kto miałby być premierem, ale biorąc pod uwagę powagę sytuacji i brak czasu do namysłu, najlepszy byłby jakiś premier z tablety, ewentualnie sam tablet, pod warunkiem że ktoś pomógłby prezesowi Kaczyńskiemu go obsługiwać.

Sprawa jest pilna w obliczu tragedii, jaką jest skierowanie do Sądu Najwyższego 56 tys. protestów wyborczych mających na celu obalenie przemocą nowo wybranego prezydenta RP. Zdaniem prezes Manowskiej

w większości nienadających się do rozpatrzenia, bo napisanych niechlujnie, zawierających słowa na „k” i na „ch”, a także obraźliwe dla Izby Kontroli Nadzwyczajnej SN „porady bardzo brutalne, dokąd mamy się udać i w jakim tempie”.

Manowska nie zdradza, dokąd autorzy protestów każą jej i neosędziom z tej Izby się udać, bo twierdzi, że musiałyby użyć bardzo wulgarnych słów. Jednak wielu ekspertów przyznaje, że jak najszybsze udanie się tam przez Manowską i jej kolegów bardzo pomogłoby w uzdrowieniu sytuacji panującej w SN.

Pani prezes, która zapowiedziała, że nigdzie się nie uda, skarży się, że protesty wyborcze nie tylko zdeorganizowały pracę sądu, ale też wywołały cierpienie niewinnych pracowników, którzy, nie dosypiając i nie dojadając, musieli te protesty analizować. „Ja zresztą też przyjeżdżałam, zamiast spędzać ten czas z rodziną czy przyjaciółmi”, nie kryje Manowska, która osobiście dostarczała wycieńczonym pracownikom pożywienie w postaci upieczonego przez siebie ciasta drożdżowego.

Pierwsza prezes nie wyklucza dalszych wrogich działań przeciwko SN, np. „akcji typu zamach czy uwięzienie sędziów”. Biorąc pod uwagę międzynarodowy autorytet i niezależność Manowskiej oraz żądze odwetu „giertychowców” za przemycenie upieczonego przez nią ciasta, wydaje się to, niestety, prawdopodobne.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE”

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Mariusz Janicki (Wiceprezes),
Katarzyna Białek, Bartek Chaciński

DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY

Katarzyna Białek

Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA

Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca),
Witold Pawłowski, Bartek Chaciński

BIURO REKLAMY

tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl

Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),
Julian Sobiech (reklama cyfrowa)

PROJEKTY SPECJALNE tel. 22 451-61-93

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI
ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH
W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl

Infolinia: tel. 67 210 86 30,
e-mail: infolinia@polityka.pl

Monika Grabowska,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15

e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA

www.polityka.pl/cyfrowa

Infolinia: tel. 22 336-79-16,

e-mail: cyfrowa@polityka.pl

WYDANIE INTERNETOWE

www.polityka.pl

REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.

18 1750 0009 0000 0000 1004 2763

SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych
i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez
Wydawcę jest zabroniona, nielegalna
i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Dalsze rozpowszechnianie
artykułów, w tym artykułów
na aktualne tematy polityczne,
gospodarcze i religijne
opublikowanych w POLITYCE
jest zabronione.

Przedruki po uzyskaniu
zgody Wydawcy.
Kontakt: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

Administratorem Państwa danych osobowych
jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą
w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa
dane osobowe będą przetwarzane w celu
udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą
zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA,
chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie
(art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA
w Biedronce

Drodzy Czytelnicy, przypominamy, że POLITYKA jest już dostępna w ciągłej sprzedaży w 2100 sklepach sieci Biedronka. Polecamy się Państwa uwadze przy codziennych zakupach i zapraszamy do lektury!



Arcy Arctowski

Jako autor tekstu „Arcy Arctowski” (POLITYKA 25) zapewniam, że nie było moją intencją odebranie należnej sławy żadnej z osób zaangażowanych w proces projektowania i budowy Budynku Głównego Polskiej Stacji Antarktycznej im. Henryka Arctowskiego.

Osoby i instytucje pominięte przepraszam i uzupełniam: generalnym projektantem i autorem koncepcji architektonicznej jest studio architektoniczne Kuryłowicz & Associates. W skład zespołu, którym kierowała prof. Ewa Kuryłowicz, weszli architekci: Piotr Kuczyński, Karolina Czumaj, Bartosz Świniarski i Aleksander Krauze. Przy projekcie współpracowali również Mikołaj Karczewski i Bruno Guziak. W prace nad konstrukcją zaangażowani byli: Konrad Leski i Sławomir Szulmierz. Instalacje sanitarne zaprojektował Krzysztof Staszewski, a wodno-kanalizacyjne – Dorota Stolarska. Instalacje elektryczne – Jan Lichocki. Nad akustyką pochyliła się Ewa Więckowska-Kosmala.

Chciałbym dodać jeszcze, że koncepcja wielobranżowa projektu powstała w wyniku współpracy Kuryłowicz & Associates i Buro Happold. Z kolei za projekt wykonawczy odpowiadają firmy DEMIURG i Home of Houses. Wykonawcą części budowlanej w pierwszych etapach był Dekpol Budownictwo we współpracy z firmą Betpref. Natomiast ostatni etap realizacji stacji wykona konsorcjum firm Dekpol Budownictwo i Andrewex Construction. Nadzór inwestorski wykonuje Project Management sp. z o.o. Inwestorem jest Instytut Biochemii i Biofizyki PAN.

JULIUSZ CWIELUCH



Fitness za rogiem

Ileż to razy słyszeliśmy, że w dbaniu o siebie chodzi o ruch i o zmianę nawyków – jeśli to ma być zmiana na stałe (POLITYKA 16). Trudno się nie zgodzić, ciężiej wykonać.

Najłatwiej zacząć od spaceru. Wysiąść przystanek wcześniej, jeśli korzystamy z komunikacji, zamienić windę na schody, pójść po kawę do sklepu, przejść się po prostu, żeby pomyśleć, oczyścić głowę lub spotkać się z kimś nam bliskim na pogawędkę. Jest jeszcze jeden powód... spacer do paczkomatu. Zjawisko o skali krajowej! Nie poprę tego badaniami, ale zaryzykuję, że w tygodniu jedna z częstszych form poderwania się z kanapy.

Nie znam pana Rafała Brzoski, żeby była jasność. Nie wiem, czy ta funkcjonalność paczkomatu była brana pod uwagę w procesie projektowym, ale działa jak marzenie. Jest zaprojektowana tak dobrze, że chce się z niej korzystać. Wydaje mi się, że nie przesadzę, jeśli wyjdę z wnioskiem, że ten kawałek kodu oprogramowania powinien mieć swoją ulicę.

To, że paczkomat jest niemal za każdym rogiem, wcale nie oznacza, że spacer jest zawsze tylko po paczkę i z powrotem. Coraz częściej słychać: jak już idziemy, to przejdźmy się dalej po dzielnicy. Posiedźmy chwilę na tym nowym skwerku. Byłeś kiedyś w tej kawiarni parę ulic dalej? I nagle z pięciominutowego spaceru robi się godzinny, którego nie mieliśmy w planach. Pod przykrywką wygody to metalowe urządzenie wślizgnęło się w naszą codzienność i dołożyło nam nową aktywność. Bez żadnej kampanii o narodowej potrzebie ruchu poderwało nas z sof.

Dodatkowo przed paczkomatem często natykamy się na kogoś znajomego (...). Automat staje się powoli animatorem



InPost Paczkomat 24/7

lokalnym, który buduje społeczność. Kto by się spodziewał.

Od jakiegoś czasu regularnie spotykałam sąsiadów wychodzących wieczorem na spacer. Myślałam sobie, jakie to wspinałoby, że po tylu latach razem ciągle lubią być ze sobą i znajdują w codzienności moment dla siebie. (...) Sąsiada uznałam za romantyka. Aż w końcu odważyłam się na powiedzenie im paru komplementów. Sąsiadka śmiała się do rozpuku. My spacerujemy do paczkomatu – powiedziała.

Nasz krajobraz jest pełen tych automatów. Bryła może nie jest najpiękniejsza. Szczególnie w zielonych miejscach za bardzo dominuje. Ale dzięki nim wychodzimy z domu i nabijamy licznik kroków. (...)

MONIKA BOROWIAK

Od redakcji:

I my gorąco zachęcamy do tej formy aktywności – szczególnie że teraz za pośrednictwem paczkomatów InPost mogą Państwo również prenumerować POLITYKĘ! Wystarczy złożyć zamówienie na stronie naszego sklepu (www.sklep.polityka.pl) i wybrać pobliski paczkomat, a nowy numer naszego tygodnika będzie na Państwa czekał co środę do odbioru. Zawsze świeży, zawsze na czas. Więcej informacji na s. 9.

Z ogromnym żalem przyjęliśmy informację
o śmierci naszej koleżanki

Jolanty Wierchowskiej,

wieloletniej redaktorki POLITYKI.

Rodzinie i bliskim składamy wyrazy głębokiego współczucia
Zespół



Uważany za dobro narodowe Włoch ma kibiców na całym świecie. Ten styl, lekkość – jakby fruwał nad kortem! Kim jest lider światowego rankingu ATP **Jannik Sinner**? Jak wypadnie w ruszającym właśnie Wimbledonie?

To już ponad rok, jak niespełna 24-letni włoski rudzielec przewodzi rankingowi ATP, z dużą przewagą nad kolejnym klasyfikowanym Carlosem Alcarazem z Hiszpanii. To z nim stoczył niedawno bój w finale French Open. Mecz trwał niemal pięć i pół godziny i jeszcze przed końcem przeszedł do historii tenisa jako najpiękniejszy. Najbardziej dramatyczny. Epicki. Pewnie powstanie o nim kiedyś film – przepowiadają wniebowzięci Włosi...

Otóż Jannik tego starcia tytanów nie wygrał. Ale Włosi nie chcą mówić o przegranej. Bo czyż można przegrać maraton o milimetr? Bo nie był to tylko mecz tenisowy, to była epopeja! Przegrać w takim stylu to przywilej, możliwość wzrostu. Tylko wielcy umieją tak przegrywać! Zresztą właśnie rozpoczęty Wimbledon to idealna szansa na rewanż i być może kolejną niezapomnianą batalię.

Jannik Sinner – ani imię włoskie, ani nazwisko, ani uroda. I jeszcze ten akcent. Jako dziecko nie mówił po włosku. Urodził się w Górnej Adydze, gdzie



Jolanta Maria Berent – filolożka, dziennikarka, tekściarka, autorka limeryków. Zafascynowana psychologią, językiem i Italią, gdzie mieszkała i studiowała.

przeważa niemiecki. Tam, w Dolomitach, schronisko Haus Sinner prowadzili jego rodzice: kucharz i pokojówka, z pasją do narciarstwa i ze stokami pod samym domem. Jannik szusował już jako trzylatek. Zaczynał trenować narciarstwo alpejskie. Zdobywał mistrzostwo Włoch. Wydawało się, że jego ścieżka została wytyczona. Ale ojciec zabrał go na mecz tenisowy i to tenis stał się od tego dnia jego światem. Oglądał mecze Federera, Nadala, Djokovicia, studiował każdy ich ruch. Trenował nawet w pokoju – odbijał piłkę od włącznika światła, zapalając je i gasząc. W wieku 13 lat zostawił narty na rzecz rakiety, z gór pojechał nad morze, do Ligurii. Trenować. Uczyc się samodzielności.

Dziś ma dom w Monte Carlo, ale najchętniej wraca do Haus Sinner. Mówi, że życzyłby wszystkim dzieciom takiej wolności, jaką dali mu rodzice. Jest jeszcze starszy brat – kompan, powiernik. Urodzony w Rostowie nad Donem. Sinnerowie adoptowali go jako niemowlaka w przekonaniu, że nie mogą mieć własnych dzieci. A kilka lat później urodził im się Jannik. To ich ma za swoich prawdziwych idoli.

Gdy wyjeżdża na turniej, jego tropem podążają Carota Boys – sześciu mężczyzn z Piemontu przebranych za marchewki. To miała być jednorazowa akcja, przygotowana dwa lata temu przez fanów na turniej w Rzymie. Ale entuzjazm publiczności i mediów sprawił, że jeden ze sponsorów zaproponował marchewkowym chłopcom wyjazdy na kolejne. Skąd marchewki? Gdy inni tenisiści wcinają na korcie banany (potas!), Jannik chrupie marchew. To stąd ten kolor włosów – żartują niektórzy. Jeszcze w podstawówce otrzymał przezwisko „Fox”. Na swoje logo wybrał lisa właśnie.

Niektórzy mówią: chłodny. Inni: skromny, naturalny. Sam twierdzi, że jego największą zaletą jest prostota. Potrafi rozbawić widzów uśmiechem, żartem. Uważny na potrzebujących, hojny. No i kocha gotować! O takich jak on zwykło się mówić *bravo ragazzo* – każda *mamma* byłaby z niego dumna. Nie narzeka też na powodzenie u rówieśniczek, ale i w tej sprawie obowiązują galanteria i dyskrekcja.

Bardzo przeżył aferę dopingową, której stał się mimowolnym bohaterem. Niedozwolony steryd dostał się do jego organizmu z powodu zaniedbania fizjoterapeuty. Cena mogła być wysoka. Ostatecznie Sinner przyjął karę trzymiesięcznego zawieszenia. Jeśli wierzyć pogłoskom, odrzucił 10 mln dol. od Elona Muska za reklamowanie Tesli. Miał powiedzieć: „Zatrzymaj je i wydaj na coś, co naprawdę pomoże ludziom!”. Nie odmówił za to Andrei Bocellemu, z którym nagrał utwór „Polvere e Gloria” („Kurcz i sława”). Bocelli śpiewa po włosku, a Sinner wypowiada po angielsku frazy o potrzebie bycia sobą i o tym, że talent to efekt pracy.

Uważa, że aby zostać mistrzem, niezbędna jest „maniakalność”, całkowite oddanie sprawie. Nad wyraz spokojny jak na maniaka, również przed wyjściem na kort: „Presję może czuć lekarz przed operacją, ktoś, kto dźwiga wielką odpowiedzialność, ratuje życie. Ja nic nie ryzykuję – w najgorszym razie przegram mecz”. ■

Refreny, które relują

WIRAL

Młodzieżowe słowo roku 2023, czyli „rel” („mam tak samo”), idealnie nadaje się do określenia stosunku, jaki żywi się do muzyki popularnej. Stadiony wypełniają się fankami, które doskonale rozumieją, co o nieszczęśliwej miłości śpiewa Taylor Swift; w powieści „Wierność w stereo” Nick Hornby rozważa, czy pierwsza była muzyka, czy nieszczęście, a Morrissey z The Smiths w piosence „Panic” chce spalić dyskotekę i powiesić prezentera, bo ten puszcza muzykę, „która nie mówi nic o moim życiu”.

Jest to zatem zjawisko niezbyt nowe, ale media społecznościowe nadały mu nowy wymiar. Widać to zwłaszcza na TikToku – obecnym w sieciowym pejzażu od niemal dekady i mimo ewolucji w medium dostarczające rozrywki i informacji wciąż kojarzonym jako „aplikacja, na której się tańczy”. Hitotwórczy potencjał TikToka jest znany od lat (POLITYKA 39/21), warto jednak zwrócić uwagę, że popularność zdobywają tam nie tylko kawałki, do których się dobrze tańczy, ale też takie, które przemawiają głosem pokolenia – jak „Goodluck, Babe” Chappell Roan (POLITYKA 21).

Taką piosenką okazało się „Messy”. Wykonująca ją Lola Young odwiedzi tegoroczny festiwal Open’er. Utwór ukazał się w maju 2024 r., ale dopiero jesienią stał się hitem – opowiadający o toksycznej, pełnej sprzeczności relacji refren był wykorzystywany jako tło do mówienia o sobie.



Podobną popularność zdobyła inna artystka z Open’era, **Doechii**. Jej hit „Denial is a River”, w którym z dystansem spowiada się z nieudanego związku i ciemnej strony sukcesu, okazał się „rel” dla wszystkich zagubionych w labiryncie ludzkich spraw. Tiktokowa społeczność „przypomniała” sobie także o jej piosence „Anxiety” z 2019 r., która dostarczała nie tylko nici emocjonalnego porozumienia, ale też wzbudzała nostalgię przez użycie sampla z „Somebody That I Used to Know” Gotye, hitu YouTube’a z 2011 r. Przykłady te pokazują, że w świecie algorytmów i fabryk przebojów wciąż znajduje się miejsce na autentyczne emocje i słowa płynące prosto z duszy.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

Zawijanie z portu

SŁOWO

Te same social media, które dały popularność **Ekipie**, dziś pokazują, że na niedawnym festiwalu tej grupy youtuberów w krakowskim Tauronie nie brakowało wolnych miejsc na widowni. Tymczasem Ekipa we wspólnym utworze z Modelkami (i raperem Qrym), opublikowanym na początku czerwca i już bardzo popularnym, z góry zapowiedziała, co zrobi z zarobionymi pieniędzmi: „Ej, jutro mnie tu nie zobaczysz/ Pozdro, Polsko, zawijamy”. Nie chodzi tu o oskubanie publiczności, chociaż w takich kontekstach czasownik się pojawiał: „Zawinał 6 mld zł i zbiegł do USA” – pisało o inżynierze, który za rządów PiS zatopił kontrakt na Caracale dla polskiej armii. A jedyne znaczenie czasownika

zawijać związane z przemieszczaniem się dotyczyło do niedawna zawijania statku do portu. W tym wypadku chodzi o kierunek odwrotny – ucieczkę na wakacje do Kalifornii („Pokaż mi, co buja cię jak/ Jak wakacje w Santa Cruz”). Tak się bawią ludzie sukcesu.

„Dziękujemy za wszystko, zawijaj do swoich” – pisze kibic do zagranicznego piłkarza w polskiej lidze. A raper w zwrotce pohukuje: „Wchodzę na pełnej, możesz stąd zawijać, śmieciu”. A dzieci w podstawówce „zawijają z lekcji”. Dlaczego bez „się”? Strona zwrotna też się pojawia, ale zwykle oznacza w języku potocznym zawinięcie o charakterze ostatecznym, czyli odejście na tamten świat.

Zawijanie ma za to szczególne znaczenie w sytuacjach konfliktów z prawem, kiedy trzeba uciekać szybko w obawie przed interwencją organów ścigania, które też zajmują się zawijaniem (zatrzymywaniem). W takich sytuacjach liczy się więc, czy ten, kto zawinił, zawinie pierwszy. Innymi słowy: ten, kto coś zawinił, musiał szybko zawijać, żeby go nie zawinęli.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Tańczę do melodii, którą nuciliśmy razem,
Chodząc po Japonii pod Myslovitz i Nirvanę
Kuban, Zalia, Kyoto, 2025 r.
pod Myslovitz – z Myslovitz na słuchawkach





Miś z owiec

Słynny biały miś z zakopiańskich Krupówek to już krajowa legenda. Ma ponad sto lat, a zdjęcie z nim zdobi niejeden album rodzinny.

Biały miś często stoi, czasami siedzi, spaceruje i pozuje do zdjęć z turystami. Można go spotkać w okolicach wodnego oczka na Krupówkach w Zakopanem. O dowolnej porze roku. Biały miś stojący na dwóch łapach to jeden z najbardziej znanych symboli miasta, swoista ikona popkultury, która ma już ponad 103 lata. Zdjęcie z nim zapewne znajdzie się w niejednym rodzinnym albumie.

Pierwszy strój białego misia został wykonany w latach 20. poprzedniego wieku w zakładzie kuśnierskim w Zakopanem. Zamówił go fotograf Henryk Schabenbeck. To z tych czasów pochodzi też pierwsze zdjęcie z misiem. Było w albumie rodzinnym wnuczki kuśnierza, który wykonał strój. – *Od tego czasu zmieniał się stopniowo sam miś, ale i ludzie, którzy robili sobie z nim zdjęcia. Fotografowali się z nim wszyscy. Turyści, letnicy w Zakopanem, górale, dzieci, dorośli i całe rodziny. Na ponad tysiącu zdjęć, które zgromadziłyśmy, można zobaczyć cały obraz społeczeństwa XX w.* – opowiada Barbara Caillot, która razem z Aleksandrą Karkowską kilka lat temu rozpoczęła projekt „Foto z misiem”. Na stronie Oficyny Wydawniczej „Oryginały” ogłosili, że szukają



Magdalena Gorlas

– dziennikarka w podróży. Publikowała m.in. w „Chicago Tribune”, POLITYCE, „Vogue’u”, „Dużym Formacie” czy „Piśmie, Magazynie Opinii”.

PODRÓŻE

z nim zdjęć – archiwalnych oraz współczesnych. I ruszyła lawina zgłoszeń, która trwa do dzisiaj.

Ludzie zapraszali autorki do domów, pokazywali im rodzinne albumy, wracali wspomnienia. Okazało się, że słynny biały miś był też widziany poza Zakopanem i Podhalem, np. w Krynicy Górskiej, Gdyni, Sopocie, a nawet w Warszawie.

Autorki zaczęły dochodzić, skąd i kiedy na zdjęciach zaczęła pojawiać się jego postać. – *Dotarliśmy do informacji, że podczas pierwszej wojny światowej albo chwilę po jej zakończeniu do berlińskiego ogrodu zoologicznego trafiły białe niedźwiedzie – wspomina nasza rozmówczyni. – Okazało się, że to był strzał w dziesiątkę, ponieważ ludzie pokochali nowe zwierzęta i bardzo chcieli mieć z nimi fotografie. Ktoś wpadł na pomysł, że uszyje sobie kostium takiego białego niedźwiedzia. Tylko nie ustaliliśmy, gdzie dokładnie ta osoba pojawiła się po raz pierwszy.*

Może było tak, że pan Schabenbeck pojechał do Berlina i podpatrzył ten kostium, a może było odwrotnie, to znaczy tamten człowiek przyjechał do Zakopanego i zobaczył go tutaj?

Co takiego biały miś ma w sobie, że zdobył taką popularność? – *Z pewnością ma wartość sentymentalną. Poza tym odnosimy wrażenie, że jest uniwersalny i łączy po prostu wiele osób. Nie ocenia, kocha każdego i sprawia, że chcemy się do niego przytulić, żeby być dzieckiem. Nawet jeżeli jesteśmy dorośli – dodaje Caillot.*

Obecnie funkcję białego misia oficjalnie pełni **Marek Zawadzki**.

I ma się dobrze. To góral z dziada pradziada. I chociaż z zawodu jest kierowcą, przez lata pracował między turystami. Na początku fiakrował, czyli przewoził turystów góralskim konnym powozem. Później razem z żoną Małgorzatą prowadzili wyciąg orczykowy na Wierszykach.

Białym misiem został w 2012 r. Za namową znajomego odkupił stare przebranie i stanął na Krupówkach jak przed laty Andrzej Worwa czy Franciszek Palider. – *Jednak tamten strój tak naprawdę nie nadawał się do wykorzystania, więc postanowiłem uszyć już swój prawdziwy, taki z baranich skór, a dokładnie z cakli, czyli rasy owiec chowanej na Podhalu. Na jeden strój potrzeba skóry z dziesięciu owiec. Teraz, po latach, mam już cztery, w tym dwie wersje podstawowe: zimową i letnią. Stroje mają nawet swoje imiona, na przykład zimowy to Bartek – śmieje się Marek Zawadzki.*

Pan Marek też ma zdjęcie z misiem. Pochodzi z 1962 r. – *Tata zabrał mnie na Krupówki i zrobił zdjęcie z miśkiem powyżej poczty, koło starego Orbisu. Kto by przypuszczał, że kiedyś ja będę występował w stroju misia, a dzieci będą ze mną pozować...*

Marek Zawadzki na razie nie planuje zmiany zawodu. Zostanie białym misiem. A na 70. urodziny planuje w swoim stroju wejście na Giewont.

Genua ma wiele zalet. Wspaniały klimat, morze na wyciągnięcie ręki oraz nadziewanego morelami i orzechami falstaffa, którego najlepiej spróbować w kawiarni Kleinguti. Ale przede wszystkim ma bazyliowe pesto.

Jedyne słuszone pesto



Po porannej kawie i spróbowaniu falstaffa – ciastka uwielbiał Giuseppe Verdi – ruszyłem na targ. Sterty bazylii kuśliły, by zrobić słynny sos z jeszcze słynniejszej bazylii d.o.p. Pra, czyli tej najbardziej aromatycznej, rosnącej na zachód od Genui, w ściśle określonym rejonie między Pegli a Voltri, chronionej dziś unijnym prawem.

Kiedy poprosiłem o pęczek, kalecząc zapewne nie tylko włoski akcent, ale i język, wszyscy pojęli od razu, co zamierzam z nim zrobić. W otaczających mnie Włochach zapłonęła pasja kulinarna i nauczycielska jednocześnie. Wszyscy naraz, wzbudzając niewielką targową sensację, zaczęli radzić, co mogę, a czego nie mogę zrobić, by pesto było najlepsze, no i naprawdę genueńskie. Bo choć świat traktuje makaron z sosem z bazylii jako oczywistość, to szybko zrozumiałem, że wbrew pozorom nie wszystko jest jasne. Z rozmowy wynikało, że składników na talerzu powinno być nieco więcej i obowiązują zasady. Oto czego dowiedziałem się na targu.

Po pierwsze: prawdziwe genueńskie pesto podaje się z makaronem, młodymi ziemniakami i fasolką szparagową. Naraz! Najlepiej byłoby warzywa ugotować razem z makaronem, to jednak wyczyn, więc można osobno, ale trzeba wówczas mieć świadomość naginania reguł.

Po drugie: pesto powstaje w kamiennym młynku. Elektryczne blendery nie mają w Genui najlepszej opinii, bo podczas miksowania temperatura wzrasta, a to rujnuje smak delikatnej bazylii, której w dodatku nie wolno myć, bo przecież w trakcie suszenia papierowym ręcznikiem pozbawia się ją połowy aromatu.

KUCHNIA



Bartek Kieżun
– dziennikarz, podróżnik i fotograf. Autor bestsellerowych przewodników kulinarnych: „Italia do zjedzenia” i „Neapol łakomym okiem”. Gotuje, karmi, prowadzi warsztaty kulinarne, organizuje kolacje degustacyjne i pisze.

Jeśli więc liście są przykurzone, można spłukać je wodą i zostawić do wysuszenia.

Po trzecie: idealnie, kiedy sięgnie się po oliwę z Ligurii, najlepiej z miejscowości Taggia, słynącej z wyjątkowych oliwek. Jedna z pań wyjaśniła, że chodzi o delikatność oliwy, a te z południa, z Sycylii i Apulii, są najzwyczajniej w świecie zbyt intensywne w smaku. Jeśli ich użyję, to nie mam szans na smakowy balans. A potem radziła kupić słoiczek oliwek tagliasca w oliwie, bo są genialne.

Byłem przekonany, że to już wszystko, ale nie. Rozmowa zesłała na czosnek. Wyszło na jaw, że też musi być z Ligurii, bo podobnie jak oliwa jest delikatny i ma szansę pięknie zagrać z serami. Sery w liczbie mnogiej mnie zaintrygowały, więc czekałem na ciąg dalszy, który oczywiście nastąpił. Po krótkiej sprzeczce ustalono, że mam użyć mieszanki parmigiano reggiano i pecorino romano w proporcjach dwa do jednego z przewagą sera z Parmy. Zanotowałem i zapytałem o orzeszki piniowe. Wszyscy zaczęli mówić szybko i niekoniecznie do mnie, atmosfera przypominała włoski parlament. Kulinarni puryści twierdzą, że używa się ich tylko w okolicy Savony i nie mają one swego miejsca w prawdziwym genueńskim pesto.

Gruba morska sól była już oczywistością. ■

Pasta con pesto genovese (dla 4 osób):

- 500 g makaronu
- 250 g małych, młodych ziemniaków
- 2 garście fasolki szparagowej

Pesto:

- 70 listków bazylii
- 125 ml oliwy extra vergine
- 2 ząbki czosnku
- 65 g parmigiano reggiano
- 35 g pecorino romano
- 30 g orzeszków piniowych
- gruba sól morska

Wykonanie:

- Wsypujemy sól, bazylię i rozgniecione płaską stroną noża ząbki czosnku. Wszystko razem ucieramy energicznym okrężnym ruchem tłuczka. Bazylię dokładamy garściami tak długo, aż się skończy, bo cała naraz do moździerza nie wejdzie.
- Dodajemy połowę orzeszków i dalej krążymy tłuczkiem po nierównościach kamiennego naczynia. Nie trzeba rozbijać ich na kompletną miazgę, bo przyjemnie chrupią podczas jedzenia.
- Następnie wsypujemy sery, a na koniec wlewamy oliwę, stale mieszając, by uzyskać gęsty kremowy sos.
- W idealnych warunkach pesto mieszamy z makaronem, który nazywa się trofie. To takie krótkie płaskie kłuski suszone na prętach sprawiających, że się skręcają, co ułatwia im chwytanie sosu.
- Zamiast trofie można też użyć linguine – zapewniali mnie Włosi na targu. Na odchodne kazali zapamiętać, że jeśli przed mieszaniem sosu z makaronem wleję do miski odrobinę wody, w której się gotował, łatwiej będzie połączyć składniki, a sos będzie jeszcze bardziej kremowy. Tak zrobiłem!

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podcasty



Jego słucha Trump

Scott Bessent to najpotężniejszy człowiek świata, o którym być może nie słyszeliście, a na pewno najpotężniejszy zdeklarowany gej w historii Ameryki. Formalnie „tylko” sekretarz skarbu USA, a przede wszystkim interpretator strumienia świadomości, jaki na tematy ekonomiczne wylewa się z ust Donalda Trumpa.

Łukasz Wójcik przedstawia Scotta Bessenta szerzej w nowym wideokaście POLITYKI „Portret polityka”. Bohaterem kolejnego odcinka będzie potężny premier Izraela Benjamin Netanjahu. Premiera w czwartek.



Marian Turski 26 czerwca skończyłby 99 lat. Kolegę i niezwykłego redaktora wspominają Wiesław Władysław i Marcin Zaremba w specjalnym wydaniu naszego podcastu historycznego. Marian znalazł swój sposób na opowiadanie o historii i zgromadził wokół siebie i tygodnika wybitnych ekspertów w tej dziedzinie. Szedł na rekord. Jak stwierdził kiedyś Daniel Passent: „Z trudem można znaleźć znanego historyka, który nie pisał do POLITYKI bądź nie był jurorem lub laureatem Nagrody Historycznej POLITYKI”.



Las wyrósł w kościele

Gotycki kościół św. Jana w Gdańsku w swojej wielowiekowej historii widział niejedno. Ale nikt nie przypuszczał, że wyrośnie w nim las. Drzewa, krzaki i trawa w zabytkowych murach to element instalacji artystycznej „LeŚnia”.

„Spacerując po naszym zagajniku, doświadczycie subtelnych i zmysłowych interwencji”, obiecują organizatorzy, czyli Nadbałtyckie Centrum Kultury, które opiekuje się zabytkiem od 1995 r. Uwaga: kościół/las można zwiedzać tylko do 5 lipca.



Pociąg do Chorwacji

ZPolski do Chorwacji dotrzemy już bezpośrednio koleją. To opcja dla osób, którym się nie spieszy: przejazd z Warszawy do Rijeki trwa 20 godzin, z Katowic 17 – zawiadamia Ce-

zary Kowanda. Cztery razy w tygodniu będą kursować trzy wagony, dwa z miejscami siedzącymi i trzeci z kuszetkami. Bilety rozeszły się w mig. „Ogromne zainteresowanie pokazuje, że chcemy jeździć pociągami po naszym kontynencie, nawet jeśli trwa to znacznie dłużej niż podróż samolotem. Tylko trzeba nam to umożliwić”.



Szpieg na dwóch kółkach

Rower przydaje się w rekreacji, ale i w pracy szpiega. „To wymienione narzędzie pracy operacyjnej”, przekonuje pisarz Vincent V. Severski w podkaście „Rowery, nie bajki” Juliusza Ćwielucha.

To pierwszy odcinek serii, który można również obejrzeć. „Bo to taki projekt, który ciągle się uczy – wyjaśnia gospodarz podcastu. – Ale proszę, nie mylcie nas Państwo z autorem tego słynnego cytatu”.



G A L E R I A P O L I T Y K I



J A N K O Z A

CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital

operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej

dla dzieci, młodzieży i dorosłych:

Badania wstępne, okresowe i kontrolne

Orzeczenia sportowo-lekarskie

Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu

Zabiegi interwencyjne:

blokady / neulolizy współczulne

blokady / neulolizy nerwów obwodowych

termolezja

Poradnia Podologiczna

Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka

Dietetyka kliniczna

Dietetyka sportowa

Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja

Rehabilitacja ortopedyczna:

stawów rzepkowo-udowych

stawów barkowych

kręgosłupa

stawów kolanowych

kontuzji sportowych

po zwichnięciach stawów

urazów mięśni

więzadeł

po złamaniach

Fizykoterapia

Masaż leczniczy

Diagnostyka funkcjonalna

Rehabilitacja w uroginiekologii

Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T

Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców
w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa

Pełny zakres badań

Diagnostyka

RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych.
CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnostyce, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

OJCZYZNA DON KICHOTA



KUP TERAZ



W sprzedaży



148
stron

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Wydanie cyfrowe – subskrypcja polityka.pl/cyfrowa

Wydanie audio – sklep.polityka.pl i polityka.pl/cyfrowa

Podkast POLITYKA o historii – polityka.pl/podkasty

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny